

Tom Sharpe

Odjazd według Wilta

- Sielanka - powiedział do siebie Wilt.

Była to uwaga bez związku, ale siedząc w college'u na zebraniu Komisji ds. Finansowych i Ogólnych, musiał jakoś sobie ulżyć, zwłaszcza że doktor Mayfield piąty rok z rzędu wstał z miejsca i oznajmił:

- Musimy umieścić Fenlandzki College Nauk Humanistycznych i Technicznych na mapie.

- Sądziłem, że już tam jest - wtrącił doktor Board, jak zwykle uciekając się do dosłowności, aby ratować swe zdrowie psychiczne. - Ściśle biorąc, o ile mi wiadomo, jest tam od roku 1895, kiedy to...

- Doskonale pan wie, co mam na myśli - przerwał mu doktor Mayfield. - Rzecz w tym, że college nie może już zawrócić z drogi.

- Dokąd? - zapytał doktor Board.

Doktor Mayfield odwrócił się do dyrektora.

- Próbuję powiedzieć... - zaczął, lecz doktor Board nie dał mu skończyć. -...że jesteśmy samolotem w połowie drogi do celu albo znakiem kartograficznym. Albo może jednym i drugim.

Dyrektor westchnął i pomyślał o wcześniejszej emeryturze.

- Panie doktorze - powiedział - jesteśmy tu po to, aby się zastanowić, jak utrzymać obecną strukturę kursów i poziom zatrudnienia w obliczu nacisków lokalnych władz oświatowych i rządu centralnego, chcących zredukować college do roli agendy Departamentu Zwalczenia Bezrobocia.

Doktor Board uniósł brew.

- Naprawdę? Sądziłem, że jesteśmy tu po to, aby uczyć. Oczywiście mogą się mylić, ale kiedy zaczynałem pracę w tym zawodzie, takie właśnie wpojono mi przekonanie. Teraz się dowiaduję, że mamy utrzymywać strukturę kursów, cokolwiek to znaczy, i poziom zatrudnienia. Mówiąc prościej, posady dla chłopców.

- I dziewcząt - dorzuciła kierowniczką Gastronomii, która nie słuchała zbyt uważnie.

Doktor Board przyjrzał się jej krytycznie.

- Jak również paru istot nieokreślonej płci - mruknął.

- Jeżeli doktor Mayfield... -...będzie mógł kontynuować bez przeszkód - wpadł mu w słowo dyrektor - może podejmiemy przed lunchem jakąś decyzję.

Doktor Mayfield kontynuował, a Wilt patrzył przez okno na nowy gmach Elektroniki, zastanawiając się po raz łycho wie który, co takiego jest w zebraniach, że zmieniają wykształconych i względnie inteligentnych ludzi, jak jeden mąż absolwentów uniwersytetów, w zawziętych i kłóliwych nudziarzy, którym zależy wyłącznie na tym, aby usłyszeć własny głos i dowieść wszystkim innym, że się mylą. A zebrania zdominowały college. Za dawnych czasów mógł spędzać ranki i popołudnia, próbując wykładać albo przynajmniej obudzić intelektualną ciekawość tokarzy i monterów czy nawet tynkarzy i drukarzy, i chociaż nie mógł ich wiele nauczyć, wracał wieczorem do domu ze świadomością, że przynajmniej dowiedział się czegoś od nich.

Teraz wszystko wyglądało inaczej. Jego Przedmioty Ogólnokształcące przemianowano na Sekcję Komunikacji Językowej i Ekspresji Werbalnej, i spędzał większość czasu na zebraniach albo pisząc okólniki i opinie, albo czytając równie bezsensowne dokumenty z innych sekcji. Tak samo było w całym college'u. Kierownik Budownictwa, którego piśmienność zawsze stała pod znakiem zapytania, musiał uzasadnić zajęcia z murarstwa i tynkarstwa w czterdziestopięciostronicowej dysertacji pt. „Konstrukcje modułarnej i aplikacja powierzchni wewnętrznych”, dzieło tak monumentalnie nudnym i niepoprawnym gramatycznie, że doktor Board zaproponował, aby przesłać je Królewskiemu Stowarzyszeniu Architektów Brytyjskich wraz z rekomendacją, aby autora przyjęto na członka sekcji semantyki - względnie cemenytki - budowlanej. Podobne kontrowersje wywołała monografia kierowniczkę Gastronomii zatytułowana „Postępy dietetyczne w multifazowym żywieniu zbiorowym”. Doktor Mayfield zgłosił zastrzeżenie, że częste wzmianki o żółtkach mogą zostać źle zrozumiane w pewnych kręgach. Doktor Cox, kierownik Nauk Ścisłych, chciał wiedzieć, co to jest żywienie multifazowe i jak, do diabła, można nie lubić żółtek, przecież są bardzo smaczne. Doktor Mayfield wyjaśnił, że chodziło mu o Azjatów, a kierowniczkę Gastronomii zagmatwała sprawę jeszcze bardziej, stwierdzając, że nie jest feministką. Wilt przesiedział całą tę dyskusję w milczeniu, dziwiąc się, tak jak teraz, nowoczesnemu przekonaniu, że można zmienić rzeczywistość, używając innych słów. Kucharz był kucharzem, nawet jeśli mianowało się go konsultantem kulinarnym. A nazwanie montera instalacji gazowych inżynierem technologii ciała lotnego nie zmieniło faktu, że ukończył on kurs monterski.

Zastanawiał się, ile jeszcze ma czasu, zanim nazwą go specjalistą oświatowym albo kontrolerem procesów myślowych, gdy jego uwagę zwróciła kwestia „godzin kontaktowych”.

- Gdyby usystematyzowano sekcyjne siatki zajęć na bazie godzin kontaktowych w czasie rzeczywistym - powiedział doktor Mayfield - mog-

libyśmy wyeliminować dublujące się obszary, które w obecnych okolicznościach obniżają rentowność naszego poziomu zatrudnienia.

Zapadła cisza, podczas której kierownicy sekcji próbowali coś z tego zrozumieć. Doktor Board prychnął i dyrektor połknął przynętę.

- Dobrze, Board?

- Niespecjalnie - odparł kierownik Języków Nowożytnych - ale dziękuję, że pan pyta.

- Świetnie pan wie, co doktor Mayfield ma na myśli.

- Wyłącznie „na bazie” minionych doświadczeń i lingwistycznych domysłów - powiedział doktor Board. - W tym przypadku zbija mnie z tropu zwrot „godziny kontaktowe w czasie rzeczywistym”. O ile rozumiem znaczenie tych słów...

- Doktorze Board - przerwał mu dyrektor, szczerze żałując, że nie może faceta zwolnić - chcemy po prostu wiedzieć, ile godzin kontaktowych realizują tygodniowo członkowie pana sekcji.

Doktor Board udał, że sprawdza to w notesie.

- Zero - odrzekł po chwili.

- Zero?

- Przecież powiedziałem.

- Sugeruje pan, że pański personel w ogóle nie uczy? To wierutne kłamstwo. Jeżeli...

- Nic nie mówiłem o uczeniu i nikt mnie o to nie prosił. Doktor Mayfield wyraźnie pytał o „godziny kontaktowe w czasie rzeczywistym”...

- Mniejsza o „czas rzeczywisty”. Chodziło mu o zajęcia, które się faktycznie odbyły.

- Mnie też - odparł doktor Board - i jeśli którykolwiek z moich wykładowców dotykał studentów choć przez minutę, a co dopiero przez godzinę...

- Board - syknął dyrektor - nadużywa pan mojej cierpliwości. Proszę odpowiedzieć na pytanie.

- Już na nie odpowiedziałem. Kontakt znaczy dotyk, a zatem godzina kontaktowa musi oznaczać godzinę dotykania. Ni mniej, ni więcej. Proszę zajrzeć do dowolnego słownika, a przekona się pan, że słowo „kontakt” pochodzi bezpośrednio od łacińskiego contactus. Bezokolicznik brzmi contigere i z którejkolwiek strony na niego spojrzeć, znaczy „dotykać”. Nie może znaczyć „uczyć”.

- Dobry Boże - wycedził dyrektor przez zaciśnięte zęby, ale doktor Board jeszcze nie skończył.

- Nie wiem, co doktor Mayfield propaguje w Sekcji Socjologii, i być może wprowadził dydaktykę dotykową, czy też, używając języka potocznego, „obłapki oświatowe”, ale w mojej sekcji...

- Zamknij się pan! - krzyknął dyrektor, któremu w końcu puściły nerwy.
- Wszyscy przedstawiają mi na piśmie wykaz godzin dydaktycznych, rzeczywistych godzin dydaktycznych, poszczególnych członków swoich sekcji...

Po skończonym zebraniu doktor Board szedł korytarzem obok Wilta.

- Walka o precyzję językową jest właściwie beznadziejna - powiedział - ale przynajmniej wetknąłem kij w szprychy umysłu Mayfielda. Ten facet to wariat.

Pół godziny później Wilt podjął ten wątek z Peterem Braintree w części barowej „Kota w Worku”.

- Cały ten system jest obłąkany - stwierdził przy drugim piwie. - Mayfield zrezygnował z budowania imperium za pomocą kursów dyplomowych i wsiadł na konika rentowności.

- Nic nie mów - mruknął Braintree. - Zmniejszono nam już o połowę tegoroczny fundusz na książki, a Forster i Carston zostali wykurzeni na wcześniejszą emeryturę. Dojdzie do tego, że będę uczył, mając osiem egzemplarzy Króla Lira na sześćdziesięciu studentów.

- Ty przynajmniej czegoś uczysz. Spróbowałbyś ekspresji werbalnej z trzecią mechaniczną. Dranie wiedzą o samochodach absolutnie wszystko, a ja nie mam pojęcia, co znaczy nazwa mojej własnej sekcji. To jest dopiero marnowanie pieniędzy podatników. Poza tym spędzam więcej czasu na zebraniach, niż prowadząc te rzekome wykłady, i to najbardziej mnie wkurza.

- Jak tam Eva? - zapytał Braintree, rozpoznając nastrój Wilta i próbując zmienić temat.

- Plus ca change, plus c'est la meme chose. Chociaż to nie do końca prawda. Przynajmniej dała sobie spokój z akcją Prawo Wyborcze dla Małych Dzieci, po tym jak dwaj faceci z CIP-y przyszli do nas zbierać podpisy i odeszli ze spuchniętymi uszami.

- Z cipy?

- Centrala Informacji Pedofilskiej. Dawniej nazywano takich zboczeńcami. Dranie popełnili ten błąd, że próbowali zyskać poparcie Ewy dla obniżenia granicy seksualnej pełnoletności do lat czterech. Mógłbym im powiedzieć, że cztery nie jest w naszej rodzinie szczęśliwą liczbą, zważywszy na to, co wyprawiają moje córki. Kiedy Eva z nimi skończyła, pomyśleli pewnie, że Oakhurst Avenue 45 jest filią jakiegoś cholernego zoo i że przedstawili swoją sprawę tygrysy z małymi.

- Wyjdzie to świniom na dobre.

- Ale nie wyszło na dobre panu Birkenshaw. Samantha natychmiast zorganizowała trzy pozostałe w GANG, czyli Grupę Antygwałcicielską, i ustawiły sobie w ogrodzie tarczę. Na szczęście sąsiedzi interweniowali, zanim jakiś chłopczyk z naszej ulicy został wykastrowany. Czworaczki ostrzyły już scyzoryki. Ściśle biorąc, były to noże Sabatiera z kuchni i zupełnie nieźle sobie z nimi radziły. Emmeline trafiała w mosznę tego cholerstwa z osiemnastu stóp, a Penelope przebiła je z dziesięciu.

- Je? - zapytał Braintree słabym głosem.

- Przyznaję, było nadnaturalnych rozmiarów. Zrobiły je z dętki starej futbolówki i dwóch piłek tenisowych. Ale to penis pchnął sąsiadów do akcji. Penis i pan Birkenshaw. Nie wiedziałem, że ma taki napletek. W sumie wątpię, czy ktokolwiek o tym wiedział, zanim Emmeline wypisała jego nazwisko na cholernej prezerwatywie, owinęła jej koniec serwetką od tortu i wiatr poniosł draństwo przez dziesięć posesji w porze największej oglądalności w sobotnie popołudnie. Zawisło na wiśni w ogrodzie pani Lorrimer na rogu, dzięki czemu napis BIRKENSHAW był doskonale widoczny ze wszystkich czterech ulic.

- Dobry Boże - westchnął Braintree. - Co, u licha, pan Birkenshaw na to powiedział?

- Jak dotąd niewiele - odparł Wilt. - Nadal jest w szoku. Spędził większą część sobotniego wieczoru na posterunku policji, wyjaśniając, że nie jest Nieuchwytnym Nagusem. No wiesz, tym ekshibicjonistą, którego próbują złapać od lat.

- Birkenshaw? Chyba upadli na głowę. Facet jest radnym miejskim.

- Był - sprostował Wilt. - Wątpię, czy będzie ponownie kandydował. Nie po tym, co Emmeline powiedziała policjantce. Oświadczyła, że wie, jak wygląda jego kutas, bo zwabił ją do swojego ogrodu i machał jej nim przed nosem.

- Zwabił? - powtórzył niepewnie Braintree. - Z całym szacunkiem dla twoich córek, Henry, nie powiedziałbym, że są szczególnie powabne. Pomysłowe, owszem, i...

- Diaboliczne - dokończył Wilt. - Możesz o nich mówić, co chcesz, nie obrażę się. Ja z tymi jędzami mieszkam. Jasne, że jej nie zwabił. Od miesiący toczy wojnę z jego kotem, bo przychodzi i pierze naszego. Pewnie próbowała zwierzaka otruć. W każdym razie była w jego ogrodzie i według niej pan Birkenshaw machał kutasem. Oczywiście jego wersja jest inna. Zeznał, że zawsze siusia na kompost i jeśli małe dziewczynki go podglądają... To też niezbyt się policjantce spodobało. Powiedziała, że to nie higieniczny zwyczaj.

- Co w tym czasie robiła Eva?

- Och, to i owo - odparł lekko Wilt. - Między innymi oskarżyła pana Birkenshaw, że jest spokrewniony z Rozpruwaczem z Yorkshire. Zapobiegłem umieszczeniu tego w policyjnym raporcie, mówiąc, że histeryzuje. To jest dopiero dolanie oliwy do ognia. Na szczęście byłem pod opieką policjantki i o ile wiem, paragraf o zniesławieniu nie dotyczy dziesięciolatek. Jeżeli się to zmieni, przyjdzie nam emigrować. Ale na razie muszę do-rabiać wieczorami do pensji, żeby mogły chodzić do tej przeklętej szkoły dla tak zwanych zdolnych dzieci. Czesne jest astronomiczne.

- Myślałem, że macie jakąś zniżkę, bo Eva tam pomaga.

- Pomagała. Teraz ma tam zakaz wstępu - powiedział Wilt i zamówił jeszcze dwa piwa.

- Dlaczego, do licha? Według mnie powinni się cieszyć, że mają kogoś tak energicznego jak Eva jako darmową pomoc do sprzątania i gotowania.

- Nie, kiedy rzeczony pomocy strzeli do głowy, żeby wypolerować komputery pastą do metalu. To cud, że nie kazali nam ich odkupić. Z drugiej strony, chętnie bym im oddał te, które mamy u siebie. Cały dom jest torem przeszkód z kabli koncentrycznych i dyskietek, i nie mogę się nawet zbliżyć do telewizora. A kiedy to zrobię, włącza się jakaś „drukarka mozaikowa”, która wydaje dźwięki jak gniazdo spieszących się szerszeni. I po co to wszystko? Żeby cztery małe dziewczynki o przeciętnej, choć szatańskiej inteligencji mogły wyprzedzić zarozumiałych małych chłopców w szkolnym wyścigu szczurów.

- Jesteśmy po prostu staroświeccy - westchnął Braintree. - Prawda jest taka, że komputery to przyszłość i dzieci umieją się nimi posługiwać, a my nie. Nawet tym językiem.

- Nie mów mi o tej nowomowie. Myślałem, że bufory to potoczne określenie biustu. Tymczasem jest to coś w pamięci, a pamięć nie jest tym, czym była. Nic nie jest. Nawet mały i myszy. I żeby opłacić te elektroniczne ekstrawagancje, spędzam wtorkowe wieczory w więzieniu, ucząc jakiegoś cholernego gangstera rzeczy, których nie wiem o E.M. Forsterze, a piątki w bazie lotniczej w Baconheath, prowadząc wykłady o brytyjskiej kulturze i instytucjach dla bandy jankesów, którzy mają czas do Armageddonu.

- Uważaj, żeby to nie dotarło do Mavis Mottram - powiedział Braintree, kiedy skończyli piwo i wyszli z pubu. - Prowadzi teraz ostrą kampanię antyatomową. Strasznie truła o tym Betty i dziwię się, że jeszcze nie zwerbowała Evy.

- Próbowwała, ale wyjątkowo nic z tego nie wyszło. Eva jest zbyt zajęta martwieniem się o czworaczki, żeby brać udział w demonstracjach.

- Mimo wszystko, nie wychylaj się z tą pracą w bazie. Nie chcesz chyba, żeby Mavis pikietowała twój dom.

Wilt nie był przekonany.

- Czy ja wiem? Może zyskałbym wtedy odrobinę sympatii sąsiadów. Wbili sobie do tych tępych głów, że jestem potencjalnym ludobójcą albo lewackim rewolucjonistą, bo uczę w college'u. Bycie pikietowanym przez Mavis z powodu całkowicie fałszywego zarzutu, że popieram bombę, mogłoby poprawić mój wizerunek.

Wrócili do college'u przez cmentarz.

Na Oakhurst Avenue 45 był to jeden z lepszych dni Ewy Wilt. Miewała dni dobre, lepsze i nie najlepsze. Dobre dni były dniami, kiedy wszystko szło dobrze: odwoziła czworaczki do szkoły bez większych kłótni, sprzątała dom, robiła zakupy, jadła na lunch sałatkę z tuńczyka, a potem trochę cerowała albo szyła, sadziła coś w ogrodzie, odbierała dziewczynki ze szkoły i nie zdarzało się nic szczególnie paskudnego. W dni nie najlepsze wszystko szło źle. Czworaczki kłóciły się przed śniadaniem, po śniadaniu i w jego trakcie, Henry wściekał się na nie i musiała ich bronić, chociaż doskonale wiedziała, że Henry ma rację, grzanki nie chciały wyjść z tosteru i spóźniała się z dziewczynkami do szkoły, coś psuło się w odkurzaczu albo nie mogła spuścić wody w ubikacji i nic na świecie nie działało się tak jak powinno, toteż kusiło ją, żeby wypić przed lunchem kieliszek sherry, a to nie było dobre, bo potem chciała się zdrzemnąć i przez resztę dnia na próżno próbowała nadrobić stracony czas.

W lepsze dni robiła to samo, co w dni dobre, ale podnosiła ją na duchu myśl, że czworaczki wspaniale sobie radzą w szkole dla wybitnie zdolnych dzieci, na pewno dostaną stypendia i czeka je medycyna albo praca naukowa, albo jakiś naprawdę twórczy zawód, i że cudownie jest żyć w czasach, kiedy istnieją takie możliwości, nie jak wtedy, gdy ona była dziewczynką i musiała robić, co jej kazano. W lepsze dni zastanawiała się nawet, czy nie zaproponować swojej matce, aby przeniosła się do nich z tego domu starców w Luton, który kosztował tyle pieniędzy. Oczywiście tylko się zastanawiała, bo Henry nie znosił starszej pani i zagroził, że wynajmie sobie pokój na mieście, jeśli przyjdzie mu z nią spędzić więcej niż trzy dni pod jednym dachem.

- Nie pozwolę, żeby ta stara prukwa zatruwała mi tu atmosferę swoimi papierochami i wstrętnymi nawykami - wrzeszczał tak głośno, że chociaż pani Hoggart była wtedy w łazience, nie potrzebowała aparatu słuchowego, aby uchwycić sedno przekazu. - A jak jeszcze raz odkryję przy śniadaniu, że dołała do imbryka brandy, i to mojej brandy, uduszę sukę.

- Nie masz prawa tak mówić. W końcu to rodzina...

- Rodzina? - ryknął Wilt. - Twoja pieprzona rodzina, nie moja. Ja nie ściągam ci na kark mojego ojca...

- Twój ojciec cuchnie jak stary borsuk - odpaliła Eva. - Nie dba o higienę. Mama przynajmniej się myje.

- I powinna, zważywszy, ile tapety kładzie na tę swoją paskudną gębę. Webster nie był jedynym, który przez skórę dostrzegał czaszkę. Kiedy wczoraj rano próbowałem się ogolić...

- Kto to jest Webster? - spytała Eva, zanim Wilt zdążył jej z niesmakiem opowiedzieć, jak pani Hoggart wyłoniła się saute zza zasłony prysznicowej.

- Nikt. To cytat z wiersza*, a skoro mówimy o chodzeniu bez biustonosza, ta stara wiedźma...

- Nie waż się jej tak nazywać. To moja matka, a pewnego dnia ty też będziesz stary i bezradny i będziesz potrzebował...

- Możliwe, ale nie jestem bezradny teraz i nie potrzebuję, żeby jakaś Lady Drakula straszyla mnie w łazience i paliła papierosy w łóżku. To cud, że od tej płonącej kołdry nie zajął się cały dom.

Właśnie wspomnienie tej okropnej awantury oraz okopconej kołdry powstrzymywało Evę od spełnienia jej chwalebnych zamierzeń z lepszych dni. Poza tym w słowach Henry'ego było sporo prawdy, nawet jeśli ujął ją dosyć nieprzyjemnie. Eva zawsze żywiła wobec matki mieszane uczucia, i plany, aby zamieszkać z nią na stałe, brały się po części z żądzy zemsty. Pokazałaby jej wtedy, co to znaczy być naprawdę dobrą matką. Tak więc w lepsze dni dzwoniła do starszej pani i opowiadała jej, jak cudownie czworaczki radzą sobie w szkole, jaka szczęśliwa atmosfera panuje w ich domu i jakim wspaniałym ojcem jest Henry - w tym momencie pani Hoggart niezmiennie dostawała ataku kaszlu - a w dni najlepsze zapraszała ją na weekend, by tego pożałować, gdy tylko odłożyła słuchawkę. Wtedy dzień zmieniał się w nie najlepszy.

Dziś jednak oparła się pokusie i pojechała do Mavis Mottram na szczerą pogawędkę przed lunchem. Miała tylko nadzieję, że Mavis nie spróbuje jej zwerbować na demonstrację antyatomową.

Mavis spróbowała.

- Argument, że masz pełne ręce roboty z czworaczkami, jest bez sensu, Evo - odparła, gdy Eva zaprotestowała, że za nic nie mogłaby zostawić dzieci z Henrym, i co by się stało, gdyby poszła do więzienia. - Jeśli wybuchnie wojna jądrowa, nie będziesz miała żadnych dzieci. Wszystkie zginą w pierwszej sekundzie. Baza w Baconheath naraża nas na pierwsze uderzenie. Rosjanie będą zmuszeni ją zniszczyć, żeby się bronić, a z bazą wyleci w powietrze całe Ipsford.

* John Webster (1578-1632) - dramaturg angielski; aluzja do wiersza T.S. Eliota *Whispers of Immortality*. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki.)

Eva zastanowiła się chwilę.

- Nie rozumiem, dlaczego bylibyśmy celem pierwszego uderzenia, jeżeli to Rosjanie zostaną zaatakowani - odrzekła w końcu. - Czy nie byłoby to drugie uderzenie?

Mavis westchnęła. Zawsze bardzo trudno było cokolwiek Evie wytłumaczyć, a teraz, gdy mogła się zasłaniać czworaczkami jak tarczą, było to właściwie niemożliwe.

- Wojny nie zaczynają się w taki sposób. Przyczyną ich wybuchu są tak trywialne drobiazgi, jak zamordowanie arcyksięcia Ferdynanda w Sarajewie w 1914 roku - powiedziała, ujmując rzecz na tyle prosto, na ile pozwalała jej wiedza wyniesiona z Uniwersytetu Otwartego.

Na Evie nie zrobiło to wrażenia.

- Mordowanie ludzi nie jest trywialne - oświadczyła. - Jest wstrętne i głupie.

Mavis zakłęła w myślach. Powinna była pamiętać, że doświadczenia z terrorystami uprzedziły Evę do morderstw politycznych.

- Jasne, że tak. Nie mówię, że nie. Chodzi mi o...

- To musiało być straszne dla jego żony - dodała Eva, jak zwykle biorąc sobie do serca konsekwencje domowe.

- Zginęła razem z nim, więc nie sądzę, aby się specjalnie tym przejęła - odparła kwaśno Mavis. W Wiltach było coś okropnie antyspołecznego, ale postanowiła brnąć dalej. - Chodzi mi o to, że najstraszliwsze wojny w historii ludzkości wybuchały przypadkiem. Jakiś fanatyk zastrzelił księcia i jego żonę i w rezultacie zginęły miliony zwyczajnych ludzi. Taki przypadek może się powtórzyć i tym razem nie ocaleje już nikt. Ludzka rasa przestanie istnieć. Chyba nie chcesz, żeby tak się stało?

Eva spojrzała smętnie na stojącą na kominku porcelanową figurkę. Zrozumiała, że w swój lepszy dzień powinna była omijać Mavis szerokim łukiem.

- Po prostu nie wiem, co mogłabym zrobić, żeby temu zapobiec - powiedziała i rzuciła do walki Wilta. - A zresztą Henry mówi, że Rosjanie nie przestaną konstruować bomby i mają też gaz paraliżujący, i Hitler również go miał i użyłby go w czasie wojny, gdyby wiedział, że my go nie mamy.

Mavis połknęła haczyk.

- Mówi lak, bo zależy mu na tym, żeby wszystko zostało po staremu. Zależy na tym wszystkim mężczyznom. Właśnie dlatego są przeciwko pokojowemu ruchowi kobiet. Czują się zagrożeni, ponieważ przejmujemy inicjatywę, a bomba jest w pewnym sensie symbolem męskiego orgazmu. To potencja na poziomie masowej zagłady.

- Nie myślałam o tym w ten sposób - odparła Eva, która nie bardzo wiedziała, jak coś, co zabija całą ludzkość, może być symbolem orgazmu. - A poza tym Henry był kiedyś członkiem CND*.

- Był - prychnęła Mavis - ale już nie jest. Mężczyźni po prostu chcą, żebyśmy były bierne i pozwalały im odgrywać dominującą rolę w seksie.

- Henry na pewno tego nie chce. Nie jest zbyt aktywny seksualnie - zaproponowała Eva, wciąż myśląc o eksplodujących bombach i orgazmach.

- Dlatego, że jesteś normalną kobietą - stwierdziła Mavis. - Gdybyś nie nawiądyła seksu, dobierałby się do ciebie bez przerwy. A tak utrzymuje swoją dominację, odmawiając ci twoich praw.

- Nie powiedziałabym tego.

- A ja owszem i nawet nie próbuj zaprzeczać.

Eva spojrzała na nią z niedowierzaniem. Mavis zbyt często narzekała w przeszłości na liczne romanse męża.

- Przecież zawsze mówiłaś, że Patrick jest niewyżyty.

- Był - sprostowała Mavis z dość złowieszczym naciskiem w głosie. - Dni jego skoków w bok minęły. Odkrywa teraz, jak wygląda męska menopauza. I to przed czasem.

- Tak mi się zdaje. Ma dopiero czterdzieści jeden lat, prawda?

- Czterdzieści - odparła Mavis - ale ostatnio bardzo się postarzał, dzięki doktor Kores.

- Doktor Kores? Chyba mi nie powiesz, że Patrick do niej poszedł po tym jej okropnym artykule w „News”? Henry spalił gazetę, żeby nie przeczytały go dziewczynki.

- To do niego podobne. Jest przeciwko wolności informacji.

- Przyznasz chyba jednak, że nie był to zbyt sympatyczny artykuł? Można ostatecznie powiedzieć, że mężczyźni są tylko... żywymi bankami spermy, ale nie uważam, aby było w porządku chcieć ich wszystkich wysterylizować, kiedy już spłodzą dwoje dzieci. Nasz kot przesypia całe dnie i...

- Doprawdy, Evo, jesteś strasznie naiwna. Doktor Kores słowem nie wspomniała o sterylizacji. Zauważyła po prostu, że kobiety muszą cierpieć męki porodu, nie mówiąc już o miesiączce, a przy obecnej eksplozji demograficznej, jeżeli czegoś nie zrobimy, stanie przed nami widmo światowego głodu.

- Nie wyobrażam sobie, żeby Henry się na to zgodził - stwierdziła Eva. - Nie pozwala nikomu nawet napomknąć o wazektomii. Mówi, że ma niepożądane skutki uboczne.

* Campaign for Nuclear Disarmament (Ruch na rzecz Rozbrojenia Jądrowego) - brytyjska organizacja założona w 1958 r.

- Jakby pigułka ich nie miała - zachnęła się Mavis - i to o wiele bardziej niebezpiecznych. Ale multinarodowe korporacje farmaceutyczne mają to gdzieś. Dbają wyłącznie o zyski, a na ich czele stoją mężczyźni.

- Pewnie masz rację - odparła Eva, która przywykła do słuchania o multinarodowych korporacjach, ale wciąż nie wiedziała, czym właściwie są, a słowo „farmaceutyczne” już zupełnie zbiło ją z tropu. - Niemniej jestem zaskoczona, że Patrick się na to zdecydował.

- Zdecydował się na co?

- Na wazektomię.

- A kto mówi, że Patrick miał wazektomię?

- Przecież powiedziałaś, że poszedł do doktor Kores.

- Ja do niej poszłam - wyjaśniła Mavis ponurym tonem. - Pomyślałam sobie: „Mam już serdecznie dość twojego latania za babami, chłopcze, i może doktor Kores będzie w stanie mi pomóc”. I miałam rację. Dała mi coś na zmniejszenie jego popędu seksualnego.

- I Patrick to bierze? - spytała Eva, teraz już autentycznie zdumiona.

- Bez problemu. Zawsze miał słabość do witamin, zwłaszcza do witaminy E, więc po prostu zamieniłam zawartość buteleczki. To jakieś hormony czy sterydy i zażywa jedną kapsułkę rano i dwie wieczorem. Oczywiście są jeszcze w fazie eksperymentów, ale doktor Kores powiedziała, że sprawdziły się na świniach i nie mogą mu zaszkodzić. Wprawdzie trochę przytył i narzeka, że puchną mu sutki, ale niewątpliwie bardzo się uspokoił. W ogóle nie wychodzi wieczorami, tylko siedzi przed telewizorem i drzemie. To naprawdę duża zmiana.

- Rzeczywiście - przyznała Eva, pamiętając, jaki chutliwy był zawsze Patrick Mottram. - Ale czy jesteś pewna, że to bezpieczne?

- Jak najbardziej. Doktor Kores powiedziała, że będą to podawać gejom i transwestytom, którzy boją się operacji zmiany płci. Kurczą się od tego jądra czy coś w tym rodzaju.

- To nie brzmi zbyt sympatycznie. Nie chciałabym, żeby Henry'emu coś się skurczyło.

- Zapewne - odparła Mavis, która próbowała raz poderwać Wilta na jakimś przyjęciu i nadal czuła się dotknięta brakiem reakcji z jego strony. - Ale mogłabyś poprosić o coś, żeby go pobudzić.

- Naprawdę tak myślisz?

- Zawsze możesz spróbować. Doktor Kores autentycznie rozumie problemy kobiet, czego nie da się powiedzieć o większości lekarzy.

- Nie sądziłam, że jest prawdziwym lekarzem, jak doktor Buchman. Czy nie pracuje na uniwersytecie?

Mavis Mottram stłumiła w sobie impuls, aby odpowiedzieć, że tak, jest specjalistką od hodowli zwierząt, co powinno dogodzić potrzebom Henry'ego Wilta jeszcze lepiej niż potrzebom Patricka.

- Jedno nie jest inkompatybilne z drugim, Evo. Na uniwersytecie również mają wydział medycyny. Doktor Kores otworzyła klinikę dla kobiet z problemami i naprawdę uważam, że gdybyś do niej poszła, przekonałabyś się, że jest bardzo wyrozumiała i pomocna.

Gdy Eva wróciła na Oakhurst Avenue 45, aby zjeść na lunch supkę selera z otrębami, była już zdecydowana. Zadzwoiła do doktor Kores i pójdzie do niej w sprawie Henry'ego. Była też dosyć zadowolona z siebie. Udało jej się odciągnąć Mavis od przygnębiającego tematu bomby i skierować rozmowę na medycynę alternatywną oraz potrzebę, aby kobiety miały większy wpływ na przyszłość, ponieważ mężczyźni narobili takiego bałaganu w przeszłości. Eva była jak najbardziej za tym i pojechała po czworaczki z przekonaniem, że jest to jeden z jej lepszych dni. Wszędzie dookoła pączkowały nowe możliwości.

Nowe możliwości pączkowały również wokół Wilta, ale on nie zaliczyłby tego dnia nawet do kategorii dobrych. Wrócił do swojego gabinetu, woniejąc najlepszym bitterem „Kota w Worku” i mając nadzieję, że będzie mógł popracować w spokoju nad wykładem dla personelu bazy lotniczej, ale okazało się, że czeka na niego okręgowy doradca metodyczny ds. komunikacji językowej i jakiś drugi mężczyzna w ciemnym garniturze.

- To pan Scudd z Ministerstwa Edukacji - wyjaśnił doradca metodyczny. - Z ramienia ministra wizytuje wyrywkowo placówki szkolnictwa wyższego, aby ustalić stopień relewancji wybranych programów nauczania.

- Bardzo mi miło - powiedział Wilt i wycofał się za swoje biurko.

Nie darzył doradcy metodycznego szczególną sympatią, ale było to nic w porównaniu z przerażeniem, jakie budzili w nim mężczyźni w ciemnych garniturach, trzyczęściowych na dodatek, działający z ramienia ministra edukacji.

- Zechcą panowie usiąść.

Pan Scudd się postawił.

- Nie sądzę, aby siedzenie w pańskim gabinecie i omawianie założeń teoretycznych mogło nam przynieść jakąkolwiek korzyść - oświadczył. - Mam za zadanie przekazać panu ministrowi moje obserwacje, moje osobiste obserwacje, odnośnie do tego, co aktualnie dzieje się na parkiecie sali wykładowej.

- Rozumiem - odparł Wilt, modląc się w duchu, aby aktualnie nic się nie działo na parkiecie żadnej z jego sal wykładowych. Miał jeszcze w pami-

ęci wyjątkowo paskudny incydent sprzed kilku lat, kiedy to pewna zdecydowanie zbyt atrakcyjna praktykantka omal nie została zbiorowo zgwałcona, ponieważ drugą gumową rozpałił jakiś fragment Zakochanych kobiet, które polecił im przeczytać kierownik Filologii Angielskiej.

- Więc niech pan prowadzi - powiedział pan Scudd i otworzył drzwi.

Nawet doradca metodyczny przybrał minę winowajcy. Wilt wyprowadził ich na korytarz.

- Byłbym wdzięczny, gdyby zechciał mi pan przybliżyć poglądy ideologiczne pańskiego personelu - odezwał się pan Scudd, przerywając Wiltowi rozpaczliwe rozważania, do której klasy najbezpieczniej będzie faceta zabrać. - Zauważyłem, że ma pan w gabinecie kilka książek o marksizmie-leninizmie.

- Rzeczywiście mam - odrzekł Wilt, grając na zwłokę.

Jeżeli drań chciał tu urządzić polowanie na czarownice, najlepiej będzie mu przytakiwać. Dzięki temu szybko straci parę.

- I uważa pan, że jest to dobra lektura dla młodzieży z klasy robotniczej?

- Potrafię sobie wyobrazić gorszą.

- Doprawdy? A więc przyznaje się pan do lewicowych tendencji w nauczaniu.

- Przyznaję się? Do niczego się nie przyznałem. Powiedział pan, że mam w gabinecie książki o marksizmie-leninizmie. Nie rozumiem, jaki ma to związek z tym, czego uczę.

- Ale stwierdził pan, że potrafi sobie wyobrazić gorszą lekturę dla swoich studentów.

- Owszem - powiedział Wilt - dokładnie tak się wyraziłem.

Facet naprawdę zaczął działać mu na nerwy.

- Czy mógłby pan mi podać jakiś przykład?

- Bardzo chętnie. Co pan powie na *Nagi lunch!*

- *Nagi lunch!*

- Albo *Piekielny Brooklyn*. Nie sądzi pan, że to przyjemna, zdrowa lektura dla młodych umysłów?

- Dobry Boże - wymamrotał doradca metodyczny, nieco poszarzawszy na twarzy.

Pan Scudd też nie wyglądał najlepiej, ale on skłaniał się raczej ku purpurze.

- Naprawdę chce mi pan powiedzieć, że uważa te dwie odrażające książki... że zachęca pan do czytania tego rodzaju książek?

Wilt zatrzymał się pod salą, w której pan Ridgeway toczył beznadziejną walkę z grupą magistrantów, którzy nie chcieli usłyszeć, co sądzi o Bismarcku.

- A kto tu mówi o zachęcaniu studentów do czytania jakichkolwiek książek? - zapytał, przekrzykując harmider.

Pan Scudd zmrużył oczy.

- Chyba nie bardzo rozumie pan sens moich pytań - powiedział. - Jestem tu...

Urwał. Hałas dochodzący z klasy Ridgeway uniemożliwił prowadzenie rozmowy.

- Zauważyłem - mruknął Wilt.

Doradca metodyczny podszedł do nich chwiejnie, aby interweniować.

- Naprawdę uważam, panie Wilt... - zaczął, ale pan Scudd wpatrywał się maniakalnie w okno sali. Młodzian z ostatniej ławki podał właśnie coś, co podejrzenie przypominało skręta, dziewczynie z żółtym irokezem na głowie, lecz za to bez biustonosza.

- Czy jest to typowa klasa? - rzucił pan Scudd, odwróciwszy się do Wilta, aby ten go usłyszał.

- Typowa pod jakim względem? - spytał Wilt, który zaczynał już odzyskiwać pewność siebie.

Po magistrantach, których Ridgeway nie potrafił ani zainteresować, ani utrzymać w ryzach mimo ich rzekomej motywacji do nauki, Scudd będzie mile zaskoczony potulnością drugiej tortowej pod komendą majora Millfielida.

- Pod względem sposobu, w jaki wolno się zachowywać pańskim studentom.

- Moim studentom? Nie mam z nimi nic wspólnego. To Historia, nie Komunikacja Językowa.

I zanim pan Scudd mógłby spytać, dlaczego, u licha, stoją pod salą, w której rozszalało się piekło, Wilt ruszył dalej korytarzem.

- Nie odpowiedział pan jeszcze na moje pytanie - zauważył pan Scudd, kiedy go dogonił.

- Które?

Pan Scudd spróbował sobie przypomnieć. Widok tej cholernej dziewczyny zupełnie go rozproszył.

- To odnośnie do pornograficznych i nasyconych przemocą lektur - powiedział w końcu.

- Ciekawe - odrzekł Wilt. - Bardzo ciekawe.

- Co jest ciekawe? - Że czyta pan takie rzeczy. Bo ja na pewno nie.

Zaczęli wchodzić po schodach i pan Scudd zrobił użytek z chusteczki zdobiącej kieszonkę jego garnituru.

- Nie czytam takich świństw - wysapał, kiedy wdrapali się na ostatnie piętro.

- Miło mi to słyszeć - odparł Wilt.

- A mnie miło będzie usłyszeć, dlaczego poruszył pan tę kwestię.
Cierpliwość pana Scudda wyraźnie była już na wyczerpaniu.

- To nie ja - zaprotestował Wilt, upewniwszy się, że w sali, w której major Millfied miał zajęcia z drugą tortową, istotnie panuje porządek. - To pan ją poruszył w związku z literaturą historyczną, którą znalazł pan w moim gabinecie.

- Nazywa pan Państwo a rewolucja Lenina literaturą historyczną? Bo ja z całą pewnością nie. To komunistyczna propaganda wyjątkowo zjadliwego gatunku i myśl, że w pańskiej sekcji karmi się nią młode umysły, napała mnie prawdziwym przerażeniem.

Wilt pozwolił sobie na uśmiech.

- Proszę kontynuować - powiedział. - Nic nie sprawia mi większej przyjemności niż słuchanie, jak skądinąd inteligentny człowiek traci zdrowy rozsądek i wyciąga fałszywe wnioski. Przywraca mi to wiarę w demokrację parlamentarną.

Pan Scudd wziął głęboki oddech. Po trzydziestu latach pracy na wpływowym stanowisku, z gwarancją zabezpieczonej przed inflacją emerytury w najbliższej przyszłości, miał wysokie mniemanie o swojej inteligencji i nie zamierzał pozwolić, aby ją obrażano.

- Proszę pana - zaczął - chętnie bym się dowiedział, jakie wnioski powinienem wyciągnąć na podstawie obserwacji, że kierownik Sekcji Komunikacji Językowej ma w gabinecie półkę pełną dzieł Lenina.

- Osobiście nie wyciągnąłbym z tego żadnych wniosków - odparł Wilt - ale skoro pan nalega...

- Owszem, nalegam - powiedział pan Scudd.

- Na pewno bym nie pomyślał, że facet jest zagorzałym marksistą.

- Niezbyt konkretna odpowiedź.

- Niezbyt konkretne pytanie - odparował Wilt. - Zapytał pan, do jakich wniosków bym doszedł, a kiedy mówię, że do żadnych, nie jest pan zadowolony. Nie wiem, co jeszcze mógłbym zrobić.

Zanim pan Scudd zdążył odpowiedzieć, doradca metodyczny zdobył się na interwencję.

- Sądzę, że pan Scudd chciałby po prostu ustalić, czy nauczanie w pana sekcji reprezentuje jakieś orientacje polityczne.

- Masę - odrzekł Wilt.

- Masę? - powtórzył pan Scudd.

- Masę? - zawtórował mu doradca metodyczny.

- Całą masę orientacji. Gdyby mnie pan spytał...

- Właśnie to robię - wtrącił pan Scudd.

- Co? - zapytał Wilt.

- Pytam pana o polityczne orientacje w pańskiej sekcji - wyjaśnił pan Scudd, ponownie skorzystawszy z chusteczki.

- Po pierwsze, już panu powiedziałem, a po drugie stwierdził pan chyba, że nie sądzi, aby omawianie założeń teoretycznych mogło przynieść jakąkolwiek korzyść, i chce zobaczyć na własne oczy, co się dzieje na parkiecie sali wykładowej. Zgadza się? - Pan Scudd przełknął ślinę i spojrzał z rozpaczą na doradcę metodycznego, ale Wilt mówił dalej: - Więc niech pan zajrzy do majora Millfielda, który prowadzi tu zajęcia z dziennymi gastronomami, otworzyć nawias, cukiernictwo i piekarstwo, zamknąć nawias, rok drugi, nazywanymi zdrobniale drugą tortową, a potem przyjdzie mi powiedzieć, ile orientacji politycznych udało się panu wycisnąć z tej wizyty.

I nie czekając na dalsze pytania, Wilt zawrócił do swojego gabinetu.

- Wycisnąć? - zagrzmiał dwie godziny później dyrektor. - Musi pan pytać osobistego sekretarza ministra edukacji, ile orientacji politycznych może wycisnąć z drugiej tortowej?

- A więc to był osobisty sekretarz ministra? - zdziwił się Wilt. - To ci heca. Myślałem, że jest inspektorem JKM.

- Wilt - powiedział dyrektor słabym głosem - jeżeli pan sądzi, że drań nie naśle na nas inspektora Jej Królewskiej Mości - w rzeczy samej, nie będę zaskoczony, jeśli zwali się nam na głowę cały inspektorat - a wszystko dzięki panu, niech się pan dobrze zastanowi.

Wilt popatrzył na komisję, którą powołano naprędce w celu zażegnania kryzysu. W jej skład wchodził dyrektor, wicedyrektor, doradca metodyczny i, z niejasnych powodów, kwestor.

- Jest mi obojętne, ilu inspektorów na nas naśle. Przyjmę ich z największą przyjemnością.

- Pan może tak, ale wątpię, czy... - Dyrektor się zawahał. Obecność doradcy metodycznego uniemożliwiła swobodny przepływ opinii o niedomogach innych sekcji. - Zakładam, że wszelkie moje uwagi zostaną potraktowane jako nieoficjalne i całkowicie poufne - powiedział w końcu.

- Jak najbardziej - odparł doradca. - Interesują mnie wyłącznie Przedmioty Ogólnokształcące i...

- Jak miło znów usłyszeć tę nazwę - przerwał mu Wilt. - I to już drugi raz tego popołudnia.

- To trzeba nam było pokazać jakieś kształcenie - warknął doradca metodyczny. - A tak skurczybyk doszedł do wniosku, że ten drugi skretyniały wykładowca jest czynnym członkiem Młodych Liberalów i bliskim przyjacielem Petera Tatchella.

- Pan Tatchell nie jest Młodym Liberałem - sprostował Wilt. - O ile mi wiadomo, należy do Partii Pracy, która jest naturalnie partią lewicową, ale...

- I pieprzonym homo.

- Nie miałem pojęcia. Poza tym chyba należy nazywać ich gejami.

- W dupę - mruknął dyrektor.

- Tak to, zdaje się, robią - dodał Wilt - ale nie wnikajmy w szczegóły. Jak mówię...

- Nie interesuje mnie, co pan mówi. Chodzi o to, co pan powiedział przy panu Scuddzie. Rozmyślnie dał mu pan do zrozumienia, że w naszym college'u zamiast poświęcać się edukacji młodzieży...

- Podoba mi się to „poświęcać” - wtrącił Wilt. - Bardzo mi się podoba.

- Tak, poświęcamy się edukacji młodzieży, Wilt, a pan poddał mi myśl, że zatrudniamy samych płatnych członków partii komunistycznej, a na drugim ekstremum bandę szaleńców z Frontu Narodowego.

- O ile mi wiadomo, major Millfield nie jest członkiem żadnej partii - odparł Wilt. - To, że omawiał społeczne skutki polityki imigracyjnej...

- Polityki imigracyjnej? - wybuchnął doradca metodyczny. - Nic podobnego. Mówił o kanibalizmie wśród czarnuchów w Afryce i o jakimś bydłaku, który trzyma głowy w lodówce.

- To Idi Amin - podpowiedział Wilt.

- Mniejsza o nazwisko. Pozostaje faktem, że pański wykładowca demonstrował uprzedzenia, za które Rada Stosunków Rasowych mogłaby go podać do sądu, a pan kazał panu Scuddowi tam wejść i posłuchać.

- Skąd, do diabła, mogłem wiedzieć, o czym major nadaje? Grupa siedziała cicho, a musiałem ostrzec innych wykładowców, że mamy cholerną wizytację. Jeśli zjawia się pan z nienacką z facetem, który nie ma oficjalnego statusu...

- Nie ma oficjalnego statusu? - powtórzył dyrektor. - Już panu mówiłem, że pan Scudd jest...

- Wiem, ale to go nie usprawiedliwia. Ładuje się do mojego gabinetu z obecnym tu panem Readingiem, grzebie w książkach na mojej półce, po czym mi imputuje, że jestem agentem cholernego Kominternu.

- To kolejna sprawa - powiedział dyrektor. - Celowo dał mi pan do zrozumienia, że wykorzystuje książkę Lenina, jak jej tam...

- *Państwo a rewolucja* - podsunął Wilt. - ...jako pomoc naukową na zajęciach z praktykantami. Zgadza się, panie Reading?

Doradca metodyczny przytaknął bezgłośnie. Nie doszedł jeszcze do siebie po tych głowach w lodówce i późniejszej wizycie u przedszkolank, które prowadziły ożywioną dyskusję na nieprawdopodobny i absolutnie

przerażający temat postnatalnej aborcji dzieci upośledzonych fizycznie. Cholerne baby były jej zwolenniczkami.

- A to dopiero początek - podjął dyrektor, ale Wilt miał już dość.

- To koniec - powiedział. - Gdyby facet zdobył się na uprzejmość, mogłoby być inaczej, ale on miał to gdzieś. I nie był nawet na tyle spostrzegawczy, aby zauważyć, że te leninowskie książki mają stempel Sekcji Historii i są pokryte grubą warstwą kurzu. O ile mi wiadomo, leżą na tej półce, odkąd przeniesiono tam mój gabinet, i używano ich kiedyś na specjalistycznym seminarium z rewolucji rosyjskiej.

- To dlaczego mu pan tego nie powiedział?

- Bo mnie o to nie spytał. Nie widzę powodu, aby wychylać się z informacjami przy obcych osobach.

- A *Nagi lunch!* Z tą informacją się pan wychylił - zauważył doradca metodyczny.

- Bo zapytał o gorsze lektury i nie przyszło mi na myśl nic bardziej obrzydliwego.

- Dzięki Bogu i za to - wymamrotał dyrektor.

- Ale stwierdził pan, że nauczanie w pańskiej sekcji reprezentuje masę - tak, na pewno użył pan tego słowa - orientacji politycznych. Sam słyszałem - ciągnął doradca.

- Dobrze pan słyszał - odparł Wilt. - Biorąc pod uwagę, że całe to nauczanie polega na zagadywaniu studentów, żeby przez godzinę siedzieli cicho, i że zajmuje się tym czterdziestu dziewięciu wykładowców, licząc niepełne etaty, ich opinie polityczne muszą obejmować całe spektrum.

- Nie taki obraz mu pan przedstawił.

- Nie jestem tu od przedstawiania obrazów - zachnął się Wilt. - Jeżeli ktoś o tym zapomniał, jestem nauczycielem, nie jakimś cholernym ekspertem od public relations. A teraz muszę iść na zajęcia z technikami-elektrykami, bo pan Stott jest na zwolnieniu.

- Co mu się stało? - zapytał nieopatrznie dyrektor.

- Kolejne załamanie nerwowe. Trudno się dziwić - odrzekł Wilt i wyszedł z pokoju.

Członkowie komisji popatrzyli bezradnie na drzwi.

- Naprawdę pan sądzi, że ten cały Scudd nakłoni ministra do przeprowadzenia kontroli? - zapytał wicedyrektor.

- Tak mi powiedział - odparł doradca metodyczny. - Po tym, co tu zobaczył i usłyszał, sprawa na pewno otrze się o parlament. Nie chodzi nawet o seks, chociaż to też nieźle go wkurzyło. Facet jest katolikiem i ten nacisk na antykoncepcję...

- Proszę, nie - wyszeptał dyrektor.

- Najgorsze było to, że jakiś pijany łobuz z trzeciej mechanicznej kazał mu iść się pieprzyć. No i, oczywiście, Wilt.

- Czy nie możemy zrobić czegoś z Wiltem?- zapytał rozpaczliwie dyrektor, gdy wracali z wicedyrektorem do swoich gabinetów.

- Nie bardzo wiem, co - odparł wice. - Odziedziczył połowę wykładowców po Morrisie, a ponieważ nie może się ich pozbyć, kraje, jak mu materii staje.

- I wykroił nam pytania w parlamencie, pełną mobilizację inspektoratu Jej Królewskiej Mości oraz rządową kontrolę systemu zarządzania college'em.

- Nie sądzę, aby posunęli się tak daleko. Może i Scudd ma wpływy, ale bardzo wątpię...

- Ja nie. Widziałem drania, zanim stąd wyszedł, i niemal toczył pianę z ust. Co to właściwie jest postnatalna aborcja?

- Chyba morderstwo... - zaczął wicedyrektor, ale dyrektor wyprzedził go już w procesie myślowym wiodącym ku przymusowej emeryturze.

- Dzieciobójstwo. To jest to. Spytał, czy jestem świadom, że prowadzimy kurs dzieciobójstwa dla przedszkolank, i czy mamy praktyczne zajęcia wieczorowe dla seniorów poświęcone eutanazji i samobójstwu. Nie mamy, prawda?

- Nic o tym nie wiem.

- Gdybyśmy mieli, poprosiłbym Wilta, żeby je prowadził. Ten skurczybyk kiedyś mnie wykończy.

Inspektor Flint z komisariatu policji w Ipford podzielał uczucia dyrektora. To Wilt podkopał jego szansę na zostanie nadinspektorem, choć ostatecznie pogrzebała je dopiero kariera jednego z Flintowych synów, lana, który wolał marihuanę od książek i zamiast matury dostał wyrok z zawieszeniem, po czym dał się złapać służbom celnym w Dover na przemyście kokainy.

- Mogę się pożegnać z awansem - powiedział melancholijnie Flint, kiedy lana skazano na pięć lat, i ściągnął na siebie gniew pani Flint, która uważała, że zejście syna na złą drogę jest jego winą.

- Gdybyś nie myślał wyłącznie o swojej cholerniej pracy i awansie, i interesował się nim jak na ojca przystało, nie byłby teraz tam, gdzie jest! - wrzeszczała na niego. - Ale nie, musiałeś mówić: „Tak jest, sir, oczywiście, sir” i brać tyle parszywych nocnych dyżurów, ile wlaźło. I weekendowych też. Kiedy łan oglądał własnego ojca? Nigdy. A jeśli już, trułeś mu tylko o takim czy innym bandycie, i jaki byłeś cholernie sprytny, że go przymknąłeś. Tyle, do cholery, mamy z twojej pracy.

I po raz pierwszy w życiu Flint nie był pewien, czy jego żona nie ma racji, choć nie potrafił zdobyć się na to, aby sformułować tę myśl bardziej kategorycznie. Rację miał zawsze on. Był dobrym gliną, a przynajmniej uczciwym gliną. I musiał stawiać pracę na pierwszym miejscu.

- Możesz sobie gadać - odparł, raczej niepotrzebnie, bo i tak nie pozwalała jej robić nic więcej, nie licząc zakupów, zmywania, sprzątania i narzekania na lana, karmienia psa i kota, i ogólnie biorąc, skakania wokół niego samego. - Gdybym nie zasuwał jak głupi, nie mielibyśmy tego domu ani samochodu i nie mogłabyś jeździć z tym cholernym gówniarzem na wakacje na Costa...

- Nie waż się go tak nazywać! - krzyknęła pani Flint, w gniewie przypalając koszulę męża zbyt gorącym żelazkiem.

- Będę go nazywał, jak mi się, do cholery, podoba. Jest parszywym bandytą jak oni wszyscy.

- A ty jesteś parszywym ojcem. Nie zrobiłeś dla swojego syna nic, poza tym, że mnie przerznąłeś, i używam tego słowa celowo, bo jeśli o mnie chodzi, nie było to nic więcej.

Flint wyniósł się z domu na komisariat, snując ponure rozmyślania o kobietach i o tym, gdzie jest lub powinno być ich miejsce, i że będzie pośmiewiskiem całej policji fenlandzkiej i nasłucha się dowcipów o odwiedzaniu w pudle recydywisty domowego chowu, handlarza narkotyków na dodatek, i co zrobi pierwszemu draniowi, który nazwie go Śnieżką...

I cały czas w kąciku jego umysłu czaiła się uraza do pieprzonego Henry'ego Wilta. Zawsze tam była, ale teraz przybrała na sile. Wilt zrujnował mu karierę tą swoją lalką, a potem obłączeniem. To prawda, w pewnym momencie niemal go podziwiał, ale było to dawno, bardzo dawno. Skurczybyk miał dom przy cholernej Oakhurst Avenue i ciepłą posadkę w cholernym college'u, i któregoś dnia zostanie pewnie dyrektorem tej śmierdzącej budy, tymczasem nadzieje Flinta na awans i przeniesienie gdzieś, gdzie nie ma Wilta, przysły jak bańka mydlana. Był skazany na pozostanie inspektorem, i na pozostanie w Ipford, do końca swoich dni. I jakby na dowód, że nie ma na co liczyć, ściągnęli na szefa Wydziału Narkotyków niejakiego inspektora Hodge'a, zakichanego cwaniaka. Nadinspektor wezwał Flinta, aby osobiście mu o tym powiedzieć, a to musiało coś znaczyć. Mi-anowicie, że jest do niczego i nie mogą mu zaufać z narkotykami, bo jego syn siedzi. No i znów dostał jednego z tych bólów głowy, które zawsze brał za migreny, ale tym razem policyjny lekarz stwierdził hiperpresję i przepisał mu jakieś pigułki.

- No pewnie, że jestem pod presją - powiedział mu Flint. - Wie pan, ilu parszywych bandytów trzeba jeszcze wsadzić za kratki? Każdy porządny policjant odczuwa presję. To ryzyko zawodowe.

- Niech pan to nazywa, jak chce, ale mówię panu, że ma pan nadciśnienie i...

- Przed chwilą powiedział pan co innego - przerwał mu Flint. - Użył pan słowa presja. Więc co to jest, hiperpresja czy nadciśnienie?

- Panie inspektorze - odparł lekarz - nic przesłuchuje pan podejrzanego. - (Flint miał na ten temat inne zdanie.) I mówię panu najprościej jak potrafię, że hiperpresja i nadciśnienie to jedno i to samo. Będzie pan zażywał jeden diuretyk dziennie...

- Jeden co?

- Ułatwią panu oddawanie moczu.

- Jakbym potrzebował ułatwień. Już teraz wstaję dwa razy w ciągu cholerycznej nocy.

- Więc niech pan lepiej ograniczy picie. Wpłynie to też korzystnie na pana ciśnienie.

- W jaki sposób? Mówi mi pan, że presja jest szkodliwa, a jedyne, co na nią pomaga, to piwko albo dwa.

- Albo osiem - mruknął lekarz, który widział Flinta w pubie. - Tak czy inaczej, trochę pan schudnie.

- I będę mniej sikał. Więc daje mi pan pigułki, żebym sikał więcej, i mówi mi, żebym pił mniej. To się nie trzyma kupy.

Wychodząc z gabinetu, inspektor Flint nadal nie wiedział, w czym pomogą mu pigułki, które ma brać. Nawet lekarz nie był mu w stanie wytłumaczyć, jak działają beta blokery. Powiedział tylko, że działają i że Flint jest na nie skazany do końca życia.

Miesiąc później inspektor zademonstrował lekarzowi ich działanie.

- Nie mogę już nawet pisać na maszynie - oświadczył, pokazując wielkie dłonie z białymi palcami. - Widzi pan? Wyglądają jak łodygi cholerycznego selera po sparzeniu wrzątkiem.

- To działanie uboczne. Przepiszę panu coś, co złagodzi te objawy.

- Nie chcę już brać tych pigułek na sikanie - odparł Flint. - Paskudztwa mnie odwadniają. Bez przerwy latam do kibla i krew nie dociera do palców, bo za mało mi jej zostaje. A to jeszcze nie wszystko. Maglowałem jednego bandytę i przypiliło mnie w momencie, kiedy już miał się przyznać. Mówię panu, cierpi na tym moja praca.

Lekarz spojrział na niego podejrzliwie i zatęsknił za czasami, kiedy pacjenci mu nie pyskowali, a policjanci byli ludźmi innego kalibru niż Flint. Poza tym nie spodobało mu się wyrażenie „maglować bandytę”.

- W takim razie będziemy musieli wypróbować na panu inne leki - powiedział i przeraziła go reakcja inspektora.

- „Wypróbować na mnie inne leki?!“ - wrzasnął Flint. - Kogo pan tutaj leczy, mnie czy te cholerne pigułki? To ja mam nadciśnienie, nie one. I nie zgadzam się, żeby na mnie eksperymentowano. Nie jestem jakimś pieprzonym psem.

- Zapewne - odparł lekarz i podwoił inspektorowi dawkę beta blokerów, ale pod inną nazwą handlową, zmienił mu środek moczopędny i dodał lek przeciwdziałający puchnięciu palców. Kiedy Flint wrócił na komisariat, czuł się jak chodząca apteczka.

Tydzień później trudno było mu wyrazić, jak się czuje.

- Paskudnie jak diabli, tyle wiem - powiedział sierżantowi Yatesowi, który nieopatrznie go o to spytał. - Przez ostatnie półtora miesiąca oddałem więcej cholernego moczu niż Tama Asuańska wody. I dowiedziałem się jednego: w tym zakichanym mieście jest za mało publicznych toalet.

- Sądziłem, że jest ich dość - odparł Yates, który miał raz pecha zostać aresztowanym, gdy zaczął się po cywilnemu w publicznej toalecie koło kina na prawdziwego klozetowego podglądacza.

- Źle sądziłeś - warknął Flint. - Wczoraj przypiliło mnie na Canton Street i myślisz, że udało mi się jakąś znaleźć? Za chińskiego boga. Musiałem się odlać w alejce między dwoma domami i przyuważyła mnie jakaś baba, która rozwieszała pranie. Skończy się na tym, że zamkną mnie za ekshibicjonizm.

- Skoro o tym mowa, zgłoszono nam kolejny przypadek. Tym razem pokazał się nad rzeką, pięćdziesięcioletniej kobiecie.

- Miła odmiana po tych sukach Wiltównach i radnym Birkenshaw. Dobrze się bydlakowi przyjrzała?

- Zeznała, że nie widziała go zbyt dokładnie, bo był po drugiej stronie, ale odniosła wrażenie, że nie ma dużego członka.

- Członka? - ryknął Flint. - Nie interesuje mnie jego członek. Pytałem o gębę drania. Jak, do diabła, chcesz go zidentyfikować? Urządzisz paradę pyt i zaprosisz ofiary na widownię? Jeszcze trochę i zaczniesz rozsyłać portrety pamięciowe penisów.

- Nie widziała jego twarzy. Patrzył w dół.

- I lał, jak znam życie. Pewnie jest na tych samych pieprzonych tabletkach co ja. Poza tym nie wierzyłbym zeznaniom pięćdziesięcioletniej baby. W tym wieku wszystkie mają kota na punkcie seksu. Wiem coś o tym. Moja stara totalnie sfiksowała i muszę jej powtarzać, że ten sakramencki konował tak obniżył mi ciśnienie, że nie postawiłbym masztu, nawet gdybym chciał. Wiesz, co mi raz powiedziała?

- Nie - odparł sierżant Yates, któremu ten temat wydawał się dość niesmaczny, a poza tym było oczywiste, że nie wie, co powiedziała pani Flint, i nie chce się dowiedzieć. Myśl, że ktokolwiek mógłby pożądać inspektora, nie mieściła mu się w głowie.

- Miała czelność zaproponować, żebyśmy zrobili to na odwrót.

- Na odwrót? - powtórzył mimowolnie Yates.

- No wiesz, soixante-neuf. Obrzydliwe. I pewnie nielegalne. Jeżeli ktoś myśli, że w moim wieku będę lizał brochę, i to mojej własnej cholernej żonie, to chyba, kurwa, oszalał.

- Zapewne - przyznał sierżant niemal współczująco.

Zawsze dosyć lubił starego Flinta, ale były jakieś granice.

Desperacko pragnąc zmienić temat na mniej odrażający, rzucił nazwisko szefa Wydziału Narkotyków. W samą porę. Inspektor zaczął właśnie opisywać, jak pani Flint próbowała go pobudzić.

- Hodge? Czego ten cholerny liżydup znowu chce? - zagrział Flint, łącząc obydwie tematy.

- Założyć podsłuch telefoniczny - odrzekł Yates. - Sądzi, że wpadł na trop szajki heroinowej. I to dużej.

- Gdzie?

- Nie chce powiedzieć, w każdym razie nie mnie.

- Na co mu moje pozwolenie? Musi spytać nadinspektora albo naczelnika, ja nic do tego nie mam. A może mam? - Flintowi zaświtało, że może to być subtelny przycinek a propos jego syna. - Jeżeli drań myśli, że będzie sobie ze mnie lał... - wymamrotał i urwał.

- Może bierze te same tabletki co pan - wtrącił Yates, oddając wet za wet.

Ale Flint go nie słyszał. Jego myśli pobiegły torem, który był zdeterminowany bardziej niż przypuszczał przez beta blokery, środki rozszerzające naczynia i inne leki, ale łączył jego nienawiść do Hodge'a z nawarstwionymi zmartwieniami rodzinno-zawodowymi i zmieniał go w bardzo nieprzyjemnego człowieka. Jeżeli szef Wydziału Narkotyków sądził, że zagra mu na nosie, to bardzo się mylił.

- Kto wpada w dołki, sam je kopie - powiedział ze złowrogim uśmiechem.

Sierżant Yates popatrzył nań niepewnie.

- A nie na odwrót? - spytał i natychmiast tego pożałował. Miał dość słuchania o nieudanym życiu seksualnym pani Flint, a kopanie dołek odpadało zdecydowanie. Stary musiał naprawdę oszaleć.

- Masz rację - odparł inspektor. - I drań wpadnie w dołek. Wiesz, komu chce założyć ten podsłuch?

- Nie mówi mi takich rzeczy. Jest zdania, że mundurowym nie można ufać, a nie życzy sobie przecieków.

To ostatnie słowo wyrzuciło Flinta z krzesła. Kiedy wrócił do gabinetu, doznawszy chwilowej ulgi w toalecie, był w niemal obłąkańczo wesołym nastroju.

- Powiedz mu, że może liczyć na naszą pełną współpracę - polecił sierżantowi. - Pomogę mu z największą przyjemnością.

- Jest pan pewien?

- Oczywiście, że jestem pewien. Musi tylko do mnie przyjść. Powiedz mu to.

- Skoro pan każe - odrzekł Yates i zdumiony wyszedł z pokoju.

Inspektor Flint siedział za biurkiem w wywołanym przez leki stanie otumanienia. Na jego ograniczonym horyzoncie widniał tylko jeden jasny punkt. Jeżeli ten drań Hodge chciał zniszczyć sobie karierę, zakładając nielegalne podsłuchy. Flint robi, co w jego mocy, aby go do tego zachęcić. Wzmocniony tym nagłym przyływem optymizmu, bezwiednie sięgnął po następny beta bloker.

Sprawy już się posuwały w kierunku, który inspektor Flint uznałby za zachęcający. Wilt wyszedł z zebrania komisji kryzysowej bardzo z siebie zadowolony. Jeżeli pan Scudd naprawdę miał plecy w Ministerstwie Edukacji, college czekała drobiazgowa kontrola inspektorów Jej Królewskiej Mości, a to było Wiltowi na rękę. Często rozmyślał o korzyściach, jakie przyniosłaby taka konfrontacja. Mógłby, na przykład, zażądać, aby ministerstwo wreszcie jasno określiło, czym są Przedmioty Ogólnokształcące, bo Komunikacją Językową i Ekspresją Werbalną nic były na pewno. Odkąd przed jakimiś dwudziestu laty podjął pracę w college'u, nigdy dokładnie tego nie wiedział i nikt nie potrafił mu wyjaśnić. Zaczął od osobliwych wytycznych sformułowanych przez pana Morrisa, ówczesnego kierownika sekcji, że ma „zapewnić praktykantom kontakt z kulturą”, co polegało na zmuszaniu biedaków do czytania Władcy much i Kandy-da, indagowaniu, o co według nich chodzi w tych książkach, i przeciwstawianiu ich opiniom własnej. Zdaniem Wilta cały ten system był bezproduktywny i, jak to kiedyś ujął, jedynym kontaktem mającym tu miejsce był kontakt wykładowców ze zbiorowym prymitywizmem praktykantów, co tłumaczyło, dlaczego aż tylu z nich przeżyło załamania nerwowe albo przekwalifikowało się na mleczarzy. Jego własne wysiłki, aby wprowadzić do programu kwestie bardziej praktyczne - na przykład, jak składać zeznania podatkowe, jak ubiegać się o zasiłek dla bezrobotnych i, ogólnie biorąc, poruszać się z jako taką pewnością siebie w labiryncie biurokratycznych komplikacji, które uczyniły z państwa opiekuńczego skarbonkę dla klas średnich i inte-

ligentnych nierobów, a niepojęte i upokarzające piekło formularzy i żargonu dla pracowitych biedaków - rozbiły się o obłąkańcze teorie tak zwanych dydaktyków (w rodzaju doktora Mayfielda) z lat sześćdziesiątych i równie irracjonalną politykę finansową rządu w latach siedemdziesiątych. Wilt wytrwale protestował, że Przedmioty Ogólnokształcące nie potrzebują furi kamer wideo i pomocy audiowizualnych, ale w zamian ktoś mógłby mu powiedzieć, czemu konkretnie mają służyć.

Nie była to rozsądna prośba. Doktor Mayfield i doradca metodyczny wysmażyli okólniki, których nikt nie zrozumiał, i odbyło się kilkanaście zebrań, na których nic nie postanowiono, prócz tego, że skoro wszystkie te kamery wideo już w college'u są, równie dobrze można by ich używać, i że nazwa Komunikacja Językowa i Ekspresja Werbalna jest bardziej zgodna z duchem czasu niż Przedmioty Ogólnokształcące. Ostatecznie cięcia budżetowe położyły kres karierze pomocy audiowizualnych, a przez to, że nie można było zwolnić bezużytecznych wykładowców z bardziej akademickich sekcji, na barki Wilta spadło jeszcze więcej nieudaczników. Jeżeli królewscy inspektorzy rzeczywiście przyjadą na kontrolę, może uda im się wyprowadzić college z impasu i nadać wszystkiemu jakiś sens. Wilt tylko się ucieszy. Poza tym był dosyć dumny ze swej umiejętności wychodzenia zwycięsko z wszelkich konfrontacji.

Jego optymizm okazał się przedwczesny. Kiedy posłuchawszy przez pięćdziesiąt minut, jak technicy-elektrycy wyjaśniają mu znaczenie telewizji kablowej, wrócił do swojego gabinetu, wpadła tam rozgorączkowana pani Bristol, jego sekretarka.

- Och, panie kierowniku - zawołała. - Musi pan tam szybko pójść. Ona znowu tam jest i zdarza się to nie pierwszy raz.

- Co się zdarza? - zapytał Wilt zza sterty *Jeźdźców znikąd*, których nigdy nie używał. - Że ją tam widziałam.

- Kogo i gdzie?

- Ją. W toalecie.

- Ją w toalecie? - powtórzył Wilt, mając wielką nadzieję, że pani Bristol nie dostała jednego ze swych napadów. Pewnego razu wpadła w histerię, gdy jedna z dziewcząt z gastronomii oznajmiła, całkowicie niewinnie, że kolega wylizał jej patelnię. - Nie wiem, o co pani chodzi.

Najwyraźniej nie wiedziała tego sama pani Bristol.

- Ma to coś z igłą i... - urwała.

- Jakie coś?

- Strzykawkę - odparła pani Bristol. - Wbitą w rękę i pełną krwi i...

- O Boże - jęknął Wilt i rzucił się do drzwi. - W której toalecie?

- Dla żeńskiego personelu. Wilt stanął jak wryty.

- Chce mi pani powiedzieć, że jedna z nauczycielek wstrzykuje sobie heroinę w toalecie dla żeńskiego personelu?

Teraz pani Bristol dostała hysterii.

- Poznałabym ją, gdyby była nauczycielką. To jakaś dziewczyna. Och, niech się pan pospieszy. Może zrobić sobie krzywdę. - Święta racja - mruknął Wilt, a potem śmignął korytarzem, zbiegł po schodach i wszedł do toalety.

Zobaczył sześć kabin, rząd urny wałek, długie lustro i dozownik z papierowymi ręcznikami. Ani śladu jakiegokolwiek dziewczyny. Ale drzwi trzeciej kabiny były zamknięte i ktoś wydawał w środku nieprzyjemne dźwięki. Wilt się zawahał. W mniej dramatycznych okolicznościach mógłby pomyśleć, że pan Rusker, którego żona była entuzjastką błonnika, ma jeden ze swoich ciężkich dni. Ale pan Rusker nie korzystał z damskiej toalety. Może gdyby ukląkł, coś by dojrzał. Po namyśle Wilt postanowił tego nie robić. (A) Nie chciał dojrzeć czegoś i (B) zaczynało mu świtać, że jest, delikatnie mówiąc, w niezręcznej sytuacji, a zaglądnienie pod drzwi damskich toalet może zostać opacznie zrozumiane. Lepiej zaczekać na zewnątrz. Dziewczyna, jeżeli rzeczywiście była to dziewczyna, a nie jakieś osobliwe urojenie pani Bristol, będzie musiała kiedyś wyjść.

Sprawdziwszy jeszcze, czy w koszu na śmieci nie ma strzykawki, Wilt ruszył na palcach do wyjścia. Nie zaszedł daleko. Za jego plecami otworzyły się drzwi kabiny.

- Tak myślałam - zagrzmiał jakiś głos. - Ohydny podglądacz!

Wilt znał ten głos. Należał on do panny Hare, starszej asystentki z Wychowania Fizycznego, którą kiedyś, trochę za głośno, porównał w pokoju nauczycielskim do Myry Hindley*. Chwilę później jego ręka została wykręcona na plecach aż do karku, a twarz weszła w kontakt z kafelkami na ścianie.

- Ty mały zboczeńcu - podjęła panna Hare, wyciągając najbardziej nieprzyjemne i, z punktu widzenia Wilta, najmniej pożądane wnioski. Panna Hare była ostatnią osobą, którą chciałby podglądać. Tylko zboczeniec mógłby mieć na to ochotę. Nie był to jednak dobry moment, aby tak powiedzieć.

- Ja tylko szukałem... - zaczął, lecz wuefmenka najwyraźniej nie zapomniała dowcipu o Myrze Hindley.

- Zachowaj wyjaśnienia dla policji - wrzasnęła i wzmocniła swoją wypowiedź, waląc jego głową o kafelki.

Nadal rozkoszowała się tą czynnością, w przeciwieństwie do Wilta, gdy otworzyły się drzwi i do toalety weszła pani Stoley z Geografii.

* Na początku lat 60. Myra Hindley i jej partner Ian Brady torturowali i zabili czworo dzieci, robiąc przy tym zdjęcia; do dziś oboje przebywają w więzieniu

- Przyłapałam voyeura na gorącym uczynku - powiedziała panna Hare. - Niech pani wezwie policję.

Rozpłaszczony na ścianie Wilt próbował przedstawić swoje stanowisko, ale bez powodzenia. Kościste kolano panny Hare wbiło mu się w krzyż i wypadł mu sztuczny ząb.

- Przecież to pan Wilt - odparła niepewnie pani Stoley.

- Jasne, że to Wilt. Właśnie czegoś takiego można się było po nim spodziewać.

- No cóż... - zaczęła pani Stoley, która najwyraźniej się tego nie spodziewała.

- Na litość boską, niech się pani pospieszy. Nie chcę, żeby pokurcz mi uciekł.

- Czy próbuję? - wymamrotał Wilt i za swój trud rąbnął nosem o ścianę.

- Skoro pani tak mówi - odrzekła pani Stoley i wyszła z toalety, aby wrócić po pięciu minutach z dyrektorem i wicedyrektorem.

Wuefmenka przeprowadziła tymczasem Wilta na podłogę i uklękła na nim.

- Co się tu, do licha, dzieje? - spytał dyrektor.

Panna Hare wstała.

- Przyłapałam go na podglądaniu moich intymnych narządów - oświadczyła. - Próbował zbiec, ale go schwytałam.

- Wcale nie - zaprotestował Wilt.

Wymacał na podłodze swój ząb i nieroztropnie włożył go na miejsce. Miał smak wyjątkowo silnego odkażacza, który nie nadawał się na płyn do płukania ust i robił coś z jego językiem. Kiedy z trudem wstał i rzucił się do umywalki, panna Hare założyła mu półnelsona.

- Na miłość boską, niech mnie pani puści - ryknął Wilt, przekonany, że zaraz umrze wskutek zatrucia karbolem. - To wszystko jest okropną pomyłką.

- Twoją - warknęła panna Hare i odcięła mu dopływ powietrza do płuc.

Dyrektor popatrzył na nich niepewnie. W innych okolicznościach mógłby się ucieszyć z kompromitacji Wilta, lecz oglądanie, jak dusi go atletycznie zbudowana kobieta w rodzaju panny Hare, której zadarła się spódnica, przekraczało jego wytrzymałość.

- Niech go pani lepiej puści - powiedział, kiedy Wilt poczerwieniał i wywiesił język. - Dość paskudnie krwawi.

- Dobrze mu tak - odparła panna Hare, z ociąganiem uwalniając Wilta, który pokuśtykał do umywalki i odkręcił kran.

- Wilt - zwrócił się do niego dyrektor - co to wszystko ma znaczyć?

Ale Wilt wyjął sobie sztuczny ząb i rozpaczliwie próbował przepłukać usta wodą.

- Czy nie będzie lepiej, jeśli złoży oświadczenie już w obecności policji? - zapytała panna Hare.
- Policji? - wychrypieli unisono dyrektor i wicedyrektor. - Chyba nie sugeruje pani, że mamy wezwać policję z powodu tego... hm... incydentu.
- Ja sugeruję - zagulgotał Wilt znad umywalki.
- Nawet panna Hare wyraźnie się złękła.
- Ty? - powiedziała. - Miałeś tupet tu przyjść i podglądać...
- Gówno prawda - przerwał jej Wilt.
- Jego język odzyskiwał normalne rozmiary, ale nadal smakował jak świeżo odkażona muszla klozetowa.
- Jak śmiesz - krzyknęła panna Hare i chciała znów się na niego rzucić, gdy interweniował wicedyrektor.
- Chyba powinniśmy poznać wersję pana Wilta, zanim zrobimy coś nieprzemyślanego, nie sądzi pani?
- Wuefmenka ewidentnie tak nie sądziła, ale znieruchomiała.
- Już wam powiedziałam, co robił - odparła.
- Tak, ale...
- Schylał się i zaglądał pod drzwi - ciągnęła bezlitośnie panna Hare.
- Wcale nie - zaprzeczył Wilt.
- Nie waż się kłamać. Zawsze wiedziałam, że jesteś zbrodnicą. Pamięta pan tę odrażającą historię z lalką? - spytała, zwracając się do dyrektora, ale odpowiedział jej Wilt.
- Pani Bristol - wymamrotał, wycierając nos w papierowy ręcznik. - To pani Bristol wszystko zaczęła.
- Pani Bristol?
- Sekretarka Wilta - wyjaśnił wicedyrektor.
- Sugeruje pan, że szukał tutaj swojej sekretarki? - zapytał dyrektor. - To pan chce powiedzieć?
- Nie. Chcę powiedzieć, że pani Bristol wam powie, dlaczego tu byłem, i wolałbym, żebyście to od niej usłyszeli, zanim ten cholerny buldożer na anabolikach znów zacznie mnie napastować.
- Nie pozwolę się obrażać jakiemuś...
- Więc niech pani lepiej obciągnie spódnicę - wtrącił wicedyrektor, który był całkowicie po stronie Wilta.
- Weszli po schodach na górę, mijając grupę anglistów, którzy skończyli właśnie zajęcia z panem Gallenem na temat sielankowości *Preludium Wordswortha* i nie byli przygotowani na niesielankowy widok krwawiącego nosa Wilta. Podobnie jak pani Bristol.
- Mój Boże, co się panu stało? - zapytała. - Zaatakowała pana?
- Niech im pani powie - odparł Wilt. - Proszę, niech im pani powie.
- Co mam im powiedzieć?

- To, co powiedziała pani mnie - warknął Wilt, ale pani Bristol była zbyt zaniepokojona jego stanem, a także wytrącona z równowagi obecnością dyrektora i wicedyrektora.

- Chodzi panu o...

- Chodzi mi... Mniejsza z tym, o co mi chodziło - odrzekł Wilt wściekłym tonem. - Proszę im po prostu powiedzieć, co robiłem w damskiej toalecie.

Na twarzy pani Bristol odmalował się jeszcze większy zamęt.

- Ale ja nie wiem - wybąkała. - Nie było mnie tam,

- Wiem, do diabła, że pani tam nie było. Oni chcą wiedzieć, dlaczego ja tam byłem.

- No cóż... - zaczęła pani Bristol i znowu straciła kontenans. - Nie powiedział im pan?

- Chryste - jęknął Wilt. - Wydusi to pani z siebie? Zostałem oskarżony o podglądactwo przez pannę Burke-Hare* ...

- Jeszcze raz mnie tak nazwiesz, a rodzona matka cię nie pozna - powiedziała panna Hare.

- Nie żyje od dziesięciu lat, więc nie sądzę, aby poznała mnie teraz - zareplikował Wilt, wycofując się za swoje biurko.

Panna Hare została obezwładniona, a dyrektor starał się coś zrozumieć z coraz bardziej zagmatwanej sytuacji.

- Czy ktoś mógłby rzucić trochę światła na tę przykrą sprawę? - zapytał.

- Najprędzej ona- odparł Wilt, wskazując swoją sekretarkę. - W końcu to ona mnie wrobiła.

- Wrobiłam pana? Nic podobnego. Powiedziałam tylko, że w toalecie dla personelu jest dziewczyna ze strzykawką i że nie wiem, co to za jedna, i... -pani Bristol zamilkła, onieśmielona wyrazem przerażenia na twarzy dyrektora. - Czy powiedziałam coś złego?

- Widziała pani dziewczynę ze strzykawką w toalecie dla personelu? I powiedziała o tym panu Wiltowi?

Pani Bristol tępo skinęła głową.

- Skoro mówi pani „dziewczyna”, zakładam, że nie ma pani na myśli nauczycielki?

- W żadnym razie. Nie widziałam jej twarzy, ale nauczycielkę na pewno bym poznała. Miała tę okropną strzykawkę pełną krwi i...

Popatrzyła błagalnie na Wilta.

- Powiedziała pani, że wstrzykiwała sobie narkotyki.

- W toalecie nie było nikogo oprócz mnie - wtrąciła panna Hare. - Usłyszałabym.

* Burke i Hare - irlandzcy przestępcy z początku XIX w, wykradali ciała z grobów i sprzedawali je studentom medycyny do eksperymentów

- Mogła to być jakaś słuchaczka z cukrzycą - zasugerował wicedyrektor
 - która z oczywistych powodów nie chciała pójść do toalety dla studentów.
 - Jasne - mruknął Wilt. - Ogólnie wiadomo, że cukrzycy noszą ze sobą strzykawki pełne krwi. Wciągnęła krew, żeby wypłukać całą heroinę.
 - Wciągnęła krew? - powtórzył dyrektor słabym głosem.
 - Tak robią narkomani - wyjaśnił wice. - Wstrzykują coś sobie, a potem...
 - Nie chcę wiedzieć - przerwał mu dyrektor.
 - Jeżeli brała heroinę...
 - Heroina! Tylko tego nam brakowało - powiedział dyrektor i opadł na krzesło.
 - Moim zdaniem - odezwała się panna Hare - jest to jedno wielkie kłamstwo. Byłam tam dziesięć minut...
 - I co pani robiła? - zapytał Wilt. - Nie licząc napastowania mnie.
 - Coś kobiecego, jeśli musisz wiedzieć.
 - Jak zażywanie sterydów. Mówię wam, kiedy zszedłem na dół...
- Pani Bristol oprzytomniała.
- Powiedział pan „na dół”?
 - Jasne, że powiedziałem „na dół”. A co miałem powiedzieć? Na górę?
 - Ale ta toaleta jest na czwartym piętrze, nie na drugim. Tam ją widziałam.
 - Teraz mi to pani mówi? Dokąd ja, u diabła, według pani poszedłem?
 - Ja zawsze chodzę na górę - odparła pani Bristol. - Przecież pan wie. Dzięki temu utrzymuję kondycję. Codziennie trochę ruchu i...
 - Och, zamknij się - przerwał jej Wilt i przyłożył do nosa zakrwawioną chusteczkę.
 - Uporządkujmy to trochę - powiedział dyrektor, uznawszy, że przyszła pora na wykazanie się autorytetem. - Pani Bristol mówi Wiltowi, że jakaś dziewczyna wstrzykuje sobie w toalecie to czy owo, a Wilt, zamiast pójść na górę, schodzi na drugie piętro i...
 - Zostaje ciężko pobity przez panią Bokser Burkę - dokończył Wilt, który zaczął już odzyskiwać rezon. - I pewnie nikt nie pomyślał, żeby pójść na górę i sprawdzić, czy ta ćpunka jeszcze tam jest.
- Ale wicedyrektor już wyszedł.
- Jeżeli ten wypierdek jeszcze raz nazwie mnie Burke... - warknęła panna Hare. - Poza tym nadal uważam, że powinniśmy wezwać policję. Dlaczego Wilt poszedł na dół zamiast na górę? To dosyć podejrzanе.
 - Bo nie korzystam z damskiej czy też, w pani przypadku, obojnaczej toalety.
 - Na litość boską - powiedział dyrektor. - Niewątpliwie zaszła jakaś pomyłka i jeśli wszyscy zachowamy spokój...

Wrócił wicedyrektor.

- Ani śladu dziewczyny - oznajmił. Dyrektor wstał.

- A nie mówiłem? Zaszła pomyłka. Pani Bristol mogło się przywidzieć...

Cokolwiek dyrektor zamierzał insynuować w kwestii przywidzeń pani Bristol, wice nie dopuścił go do głosu.

- Ale w koszu na śmieci znalazłem to - powiedział, pokazując zwinięty w kulkę papierowy ręcznik, zakrwawiony jak chusteczka Wilta.

Dyrektor popatrzył na ręcznik z obrzydzeniem.

- To niczego nie dowodzi. Kobiety czasami krwawią.

- Uznajmy, że to podcipnik, i będzie po sprawie - zasugerował zjadliwie Wilt, który zaczął mieć dość własnego krwawienia.

- Typowa uwaga wulgarnego seksisty - odparowała panna Hare.

- Zinterpretowałem tylko słowa pana dyrektora...

- A co ważniejsze, to - przerwał mu wice, tym razem pokazując strzykawkę.

Teraz zachnęła się pani Bristol.

- A nie mówiłam? Nic mi się nie przywidziało. Naprawdę była tam dziewczyna ze strzykawką. I co teraz zrobimy?

- Nie powinniśmy wyciągać pochopnych wniosków tylko dlatego, że...

- zaczął dyrektor.

- Wezwiemy policję. Żądam, aby wezwał pan policję - powiedziała panna Hare, zdecydowana w jak najszerszych kręgach rozpowszechnić swą opinię, że Wilt jest podglądaczem.

- Panno Burkę - odparł zdenerwowany dyrektor, który zaczynał podzielać stosunek Wilta do nauczycielki WF-u - ta sprawa wymaga rozwagi.

- Nazywam się Hare i jeżeli nie ma pan przyzwoitości... A ty dokąd?

Wilt skorzystał z okazji, aby podkraść się do drzwi.

- Do męskiej toalety, żeby ocenić obrażenia, których doznałem, potem do szpitala na transfuzję krwi, a potem, jeżeli będę jeszcze na chodzie, do mojego lekarza oraz do najbardziej zajadłego prawnika, jakiego uda mi się znaleźć, żeby oskarżyć panią o czynną napaść.

I zanim panna Hare zdążyła go złapać, Wilt śmignął korytarzem i zamknął się w męskiej toalecie.

Wuefmenka wyładowała swą wściekłość na dyrektorze.

- Tego już za wiele - krzyknęła. - Jeżeli pan nie wezwie policji, ja to zrobię. Fakty muszą wyjść na jaw i jeśli ten maniak seksualny tylko się zbliży do prawnika, społeczeństwo się dowie, jakiego pokroju ludzie tutaj uczą. Chcę, żeby cała ta obrzydliwa sprawa została załatwiona oficjalnie.

Była to ostatnia rzecz, jakiej chciał dyrektor.

- Naprawdę nie sądzę, aby to było rozsądne - powiedział. - W końcu Wilt mógł popełnić naturalną pomyłkę.

Panna Hare nie dała się ugłaskać.

- Pomyłka Wilta nie była naturalna. A poza tym pani Bristol widziała, jak ta dziewczyna bierze heroinę.

- Tego nie wiemy. Może istnieje jakieś zupełnie zwyczajne wytłumaczenie.

- Policja je znajdzie, gdy tylko zobaczy tę strzykawkę - upierała się panna Hare. - Więc jak, dzwoni pan, czyja mam to zrobić?

- Jeżeli tak stawia pani sprawę, zapewne będę musiał - odrzekł dyrektor, posyłając jej nienawistne spojrzenie, i podniósł słuchawkę.

W męskiej toalecie Wilt zbadał swoje oblicze w lustrze. Wyglądało tak nieprzyjemnie, jak się spodziewał. Miał spuchnięty nos i strużki krwi na podbródku, a poza tym pannie Hare udało się otworzyć jakieś stare skaleczenie nad prawym okiem. Wilt umył twarz i pomyślał ponuro o tężcu. Następnie wyjął swój sztuczny ząb i obejrzał sobie język. Wbrew jego przypuszczeniom nie był dwukrotnie większy niż normalnie, ale wciąż smakował odkażaczem. Wyplukał usta wodą z nieco pocieszającą myślą, że sądząc po reakcji jego kubków smakowych, zarazek tężca nie miałby najmniejszych szans na przetrwanie. Potem włożył ząb na miejsce i zaczął się zastanawiać, po raz łącho wie który, co takiego ma w sobie, że przyciąga katastrofy i nieporozumienia.

Twarz w lustrze nie powiedziała mu nic. Była to bardzo zwyczajna twarz i Wilt nie miał złudzeń, że jest przystojna. A jednak, mimo całej swojej zwyczajności, była fasadą, za którą krył się niezwykle umysł. W przeszłości Wilt lubił myśleć, że jest to umysł oryginalny albo chociaż indywidualny, ale niczego to nie tłumaczyło. Każdy człowiek miał indywidualny umysł, a nie wszyscy byli wiecznymi pechowcami. Problem polegał na tym, że brakowało mu pewności siebie.

- Jesteś ofiarą losu - powiedział do mężczyzny w lustrze. - Najwyższy czas, abyś stał się jego kowalem.

Ale już gdy to mówił, wiedział, że nigdy się nim nie stanie. Nigdy nie będzie osobą dominującą, autokratą, którego polecenia spełnia się bez zastrzeżeń. Nie leżało to w jego naturze.

Mówiąc ściśle, brakowało mu energii i determinacji, aby troszczyć się o szczegóły, wyklócać o drobiazgi, zjednywać sobie sprzymierzeńców i przechytrzać przeciwników, jednym słowem, aby skupić się na sposobach zdobywania władzy. Co gorsza, gardził tymi, którzy tę energię mieli. Tacy ludzie niezmiennie uważali, że tylko oni są ważni i do diabła z tym, czego chcą inni. A byli wszędzie, ci komisyjni hitlerzy, zwłaszcza w college'u.

Najwyższy czas się im postawić. Może któregoś dnia spróbuje... Ze snu na jawie obudził go wicedyrektor.

- A, tu jesteś, Henry - powiedział.- Uznałem, że powinienem cię zawiadomić, iż musieliśmy wezwać policję.

- W jakiej sprawie? - spytał Wilt, zaniepokoiwszy się nagle, jak zareaguje Eva, jeśli panna Hare oskarży go o voyeurizm.

- Narkotyki w college'u.

- A, to. Rychło w czas. Studenci ćpają, odkąd pamiętam.

- Chcesz powiedzieć, że wiedziałeś o tym?

- Myślałem, że wszyscy wiedzą. Zresztą to oczywiste, że przy takiej liczbie studentów będziemy mieli paru narkomanów - odparł Wilt i czmychnął, póki wicedyrektor był zajęty przy pisuarze.

Pięć minut później wyszedł z college'u i znów zatonął w tych abstrakcyjnych rozważaniach, które zajmowały mu większość czasu, kiedy był sam. Dlaczego, na przykład, tak bardzo przejmował się tym, że nie ma władzy, skoro w gruncie rzeczy nie zamierzał nic w tej kwestii zrobić? Dostawał przecież niezłą pensję - która byłaby naprawdę dobra, gdyby Eva nie wydawała tyle na edukację czworaczków - i obiektywnie rzecz biorąc, nie miał na co narzekać. Obiektywnie. Jakby to coś znaczyło. Ważne było to, jak człowiek się czuje. A w tej konkurencji Wilt przegrywał nawet w dni, kiedy panna Hare nie masakrowała mu twarzy.

Na przykład taki Peter Braintree. On nie miał poczucia bezsensu ani braku władzy. Odmówił nawet awansu, bo musiałby zrezygnować z nauczania i wziąć na siebie obowiązki administracyjne. Zadowalał się tym, że prowadzi zajęcia z literatury angielskiej, wraca do domu do Betty i dzieci, i po sprawdzeniu wypracowań bawi się kolejką albo skleja modele samolotów. A w weekendy chodził na mecze piłkarskie albo grał w krykieta. Tak samo było z wakacjami. Państwo Braintree zawsze jeździli pod namiot i zawsze wracali weseli, nie mając za sobą kłótni i katastrof, które wydawały się nieodłączną częścią rodzinnych wyjazdów Wiltów. W pewnym sensie Wilt zazdrościł Peterowi, przyznając jednocześnie, że ta zazdrość jest podszyta pogardą - zupełnie, jak wiedział, nie usprawiedliwioną. We współczesnym świecie, w żadnym świecie, nie wystarczało być zadowolonym i mieć nadzieję, że wszystko ułoży się jak najlepiej. Z doświadczeń Wilta wynikało, że wszystko układa się jak najgorzej, vide panna Hare. Z drugiej strony, kiedy próbował coś zrobić, skutki były katastrofalne. A pośrednia droga najwyraźniej nie istniała.

Wciąż głowiąc się nad tym problemem, przeciął Bilton Street i ruszył w górę Hillbrow Avenue. Również tutaj liczne znaki wskazywały na to, że prawie wszyscy są zadowoleni ze swego losu. Drzewa wiśni kwitły i różowobiałe płatki pstryły chodnik jak konfetti. Wilt spoglądał na przydomo-

we ogródki, w większości zadbane i jasno ukwiecone lakiem wonnym. Tylko te, które należały do pracowników uniwersytetu, były nieporządne i zachwaszczone. Na rogu Pritchard Street pan Sands krzątał się wśród swoich wrzosów i azalii, dowodząc obojętnemu światu, że emerytowany dyrektor banku może znaleźć satysfakcję, hodując kwasolubne rośliny na zasadowej glebie. Któregoś dnia pan Sands opowiedział Wiltowi o swych kłopotach i konieczności zastąpienia całej górnej warstwy gleby torfem, aby obniżyć pH. Jako że Wilt nie miał pojęcia, co to jest pH, nie rozumiał, o czym pan Sands mówi, a poza tym bardziej interesował go jego charakter i sekret jego zadowolenia. Facet przez czterdzieści lat pasjonował się przepływem pieniędzy z konta na konto, wahaniami stopy procentowej i udzielaniem pożyczek, a teraz potrafił rozmawiać wyłącznie o potrzebach swoich kamelii i miniaturowych świerków. Nie trzymało się to kupy i było równie niepojęte jak charakter pani Cranley, która przed laty wsławiła się udziałem w procesie dotyczącym pewnego domu publicznego w Mayfair, a teraz śpiewała w chórze u św. Stefana i pisała bezlitośnie fantastyczne, przerażająco niewinne bajki dla dzieci. To Wilita przerastało. Potrafił wyciągnąć ze swych obserwacji tylko jeden wniosek: ludzie mogli zmienić i zmieniali swoje życie z dnia na dzień, i to w dość zasadniczy sposób, a skoro oni mogli, nie było powodu, aby nie udało się to jemu. Wzmocniony tą wiedzą, pomaszerował dalej z większą pewnością siebie oraz z postanowieniem, że tego wieczoru czworaczki mu nie podskoczą.

Jak zwykle nic z tego nie wyszło. Gdy tylko otworzył drzwi, znalazł się pod ostrzałem.

- Och, tatusiu, co sobie zrobiłeś w twarz? - zapytała Josephine.

- Nic - odparł Wilt i spróbował uciec na górę, zanim zacznie się prawdziwa inkwizycja. Musiał się wykapać, a jego ubranie śmierdziało odkażaczem.

Zatrzymała go Emmeline, bawiąca się na schodach chomikiem.

- Nie nadepnij na Percevala - powiedziała. - Jest w ciąży.

- W ciąży? - powtórzył Wilt, lekko zbity z tropu. - To niemożliwe.

- Perceval jest samiczką, więc to możliwe.

- Samiczką? Facet w sklepie zoologicznym zapewniał mnie, że paskudztwo jest samcem. Specjalnie o to zapytałem.

- Ona nie jest paskudztwem - zaprotestowała Emmeline. - Jest przyszłą matką.

- Oby nie - powiedział Wilt. - Nic życzę sobie, żeby chomiczy wyż demograficzny zalał mój dom. A poza tym, skąd wiesz?

- Bo włożyłyśmy ją do klatki z chomikiem Juliana, żeby zobaczyć, czy zagryzą się na śmierć, jak było napisane w książce, ale Perceval wpadł w trans i nic nie zrobił.

- Rozsądny facet - mruknął Wilt, identyfikując się z Percevałem postawionym w tak okropnej sytuacji.

- Ona nie jest facetem. Mamusie chomiki zawsze wpadają w trans, kiedy chcą, żeby je dmuchnąć.

- Dmuchać? - zapytał nieopatrnie Wilt.

- To to, co robisz mamusi w niedzielę rano, i mamusia jest potem cała uśmiechnięta.

- Chryste - jęknął Wilt, w myślach przeklinając Evę za niezamykanie drzwi. Poza tym ta mieszanka trafności spostrzeżeń i dziecinnego języka zaczynała działać mu na nerwy. - Mniejsza o to, co robimy. Chcę...

- Czy mamusia też wpada w trans? - zapytała Penelope, schodząc po schodach z lalką w wózku.

- Bez komentarza - odparł Wilt. - Muszę się wykąpać i to zaraz.

- Nie możesz - powiedziała Josephine. - Sammy ma gnidy i mamusia myje jej głowę. Dziwnie pachniesz. Co masz na kołnierzyku?

- I na przodzie koszuli? - dodała Penelope.

- Krew - warknął Wilt, starając się nasycić to słowo jak największą grozą.

Przepchnął się obok lalczynego wózka i wszedł do sypialni, zastanawiając się, co takiego daje czworaczkom ten okropny zbiorowy autorytet. Cztery oddzielne córki nie byłyby aż tak asertywne, a poza tym czworaczki odziedziczyły po Evie umiejętność przedstawiania wszystkiego w najczarniejszych barwach. Rozbierając się, słyszał, jak Penelope przekazuje Evie przez drzwi łazienki radosną nowinę o jego niepowodzeniu.

- Tatuś pachnie środkiem dezynfekującym i skaleczył się w twarz.

- Zdejmuje spodnie i ma krew na całej koszuli - dorzuciła Josephine.

- Wspaniale - mruknął Wilt. - To powinno na nią podziałać jak płachta na byka.

Ale miarę przebrało dopiero oświadczenie Emmeline, że tatuś powiedział, że mamusia wpada w trans, kiedy chce się pieprzyć.

- Nie używaj tego słowa! - ryknął Wilt. - Mówiłem ci to tysiąc razy. I wcale nie powiedziałem, że twoja cholerna matka wpada w trans. Ja tylko...

- Jak mnie nazwałeś?! - wrzasnęła Eva, wypadając jak burza z łazienki.

Wilt podciągnął slipki i westchnął. Na półpiętrze Emmeline opisywała z kliniczną dokładnością rytuał godowy chomików, powołując się przy tym na ojca.

- Nie nazwałem cię cholernym chomikiem. To wierutne kłamstwo. Nic o pieprzonych gryzoniach nie wiem i nigdy nie chciałem ich...

- To cały ty - krzyknęła Eva. - Najpierw zabraniasz dzieciom przeklinać, a potem sam to robisz. Nie możesz oczekiwać...

- Nie oczekuję, że będą kłamać. To o wiele gorsze niż ich język, a zresztą Emmeline zakłęła pierwsza.

- I absolutnie nie masz prawa opowiadać im o naszym życiu seksualnym.

- Nie opowiadałem im o niczym takim - odparł Wilt. - Stwierdziłem tylko, że nie chcę mieć w domu stada sakramenckich chomików. Facet w sklepie sprzedał mi tego umysłowo upośledzonego szczura jako samca, niejako cholerną maszynkę do rodzenia.

- A teraz jeszcze robisz obrzydliwie seksistowskie uwagi - zagrzmiała Eva.

Wilt rozejrzał się nieprzytomnie po sypialni.

- Nie robię seksistowskich uwag - powiedział w końcu. - Jest ogólnie znanym faktem, że chomiki...

Ale Eva uchwyciła się jego niekonsekwencji.

- Nie zaprzeczaj. Tak o tym mówisz, jakby tylko kobiety chciały tego-co-wiesz.

- Daruj sobie. Te cztery małe france wiedzą o tym-co-wiesz więcej, niż wiesz.

- Jak śmiesz tak nazywać swoje własne córki? To obrzydliwe słowo.

- Ale pasuje - odrzekł Wilt. - A co do ich bycia moimi córkami, powiem ci, że...

- Nie radzę - przerwała mu Eva.

Will skorzystał z rady. Lepiej Ewy za bardzo nie drażnić. Miał dosyć demonstracji kobiecej siły jak na jeden dzień.

- W porządku, przepraszam - powiedział. - To było głupie z mojej strony.

- Ja myślę - mruknęła Eva, nieco udobruchana, i podniosła z podłogi jego koszulę. - Skąd, do licha, masz tyle krwi na nowej koszuli?

- Przewróciłem się w toalecie - odparł Wilt, uznawszy, że nie jest to odpowiedni moment na dokładniejszą relację. - Dlatego tak śmierdzi.

- W toalecie? - spytała podejrzliwie Eva. - Przewróciłeś się w toalecie?

Wilt zacisnął zęby. Jeżeli prawda wyjdzie na jaw, konsekwencje będą straszne, ale musiał brnąć dalej.

- Pośliznąłem się na mydle - powiedział. - Jakiś idiota zostawił je na podłodze.

- A inny idiota na nie nadepnął - dodała Eva, wkładając marynarkę i spodnie Wilta do plastikowego worka. - Jutro po drodze do pracy zaniesiesz to do pralni.

- Dobrze - odparł Wilt i ruszył w stronę łazienki.

- Nie możesz jeszcze wejść. Myję Samancie głowę i nie będziesz mi się tam kręcił bez niczego.

- Zostanę w slipkach - powiedział Wilt i po chwili słuchał za zasłoną prysznicową, jak Penelope oznajmia całemu światu, że samice chomika po kopulacji często odgryzają samcom jądra,

- Nie wiem, po co z tym czekają. To się nazywa mieć ciastko i je zjeść - wymamrotał Wilt, bezwiednie mydląc sobie slipki.

- Słyszałam - zawołała Eva i odkręciła w wannie kurek z gorącą wodą.

Na Wilta polewał się lód. Z jękiem rozpachy zakręcił zimną wodę i wyszedł spod prysznic.

- Tatuś pieni się na majtkach - pisnęły zachwycone czworaczki.

Wilt rzucił się rozwścieczony w ich stronę.

- Zjeżdżajcie stąd w cholere, bo zapienię się, kurwa, w paru innych miejscach - krzyknął.

Eva zakręciła gorącą wodę w wannie.

- Dajesz im zły przykład - oświadczyła. - Powinieneś się wstydzić.

- Jeszcze czego. Miałem okropny dzień w pracy i muszę iść do cholernego więzienia na lekcję z tym upiornym McCullumem, a ledwo wrócę na łono mojej menażerii...

Na dole zadzwonił głośno dzwonek u drzwi.

- Pewnie to znowu pan Leach na skargę - powiedziała Eva.

- Chrzanić pana Leacha - odparł Wilt i wszedł z powrotem pod prysznic.

Tym razem odkrył, jakie to uczucie zostać poparzonym.

Innym osobom w Ipford również zaczynało być gorąco. Dyrektor wrócił właśnie do domu i otwierał barek w nadziei, że uda mu się przytępić wspomnienie tego fatalnego dnia, kiedy zadzwonił telefon. Był to wicedyrektor.

- Niestety mam dość przykrą wiadomość - oznajmił z ponurą satysfakcją, którą dyrektor natychmiast rozpoznał. Kojarzyła mu się z pogrzebami.

- Chodzi o tę dziewczynę, której szukaliśmy...

Dyrektor sięgnął po butelkę ginu i umknęła mu końcówka zdania. Usłyszał dopiero coś o kotłowni.

- Mógłby pan powtórzyć? - poprosił, trzymając butelkę między kolanami i usiłując ją otworzyć jedną ręką.

- Powiedziałem, że woźny znalazł ją w kotłowni.

- W kotłowni? A co tam, do diabła, robiła?

- Umierała - odparł wicedyrektor, przybierając jeszcze bardziej posępny ton.

- Umierała?

Dyrektor otworzył butelkę i nalał sobie duży gin. Sprawa wyglądała gorzej, niż się spodziewał.

- Niestety tak.

- A gdzie jest teraz? - zapytał dyrektor, próbując oddalić od siebie najgorsze.

- Nadal w kotłowni.

- Nadal w... Na Boga, człowieku, jeżeli jest w takim stanie, dlaczego, do cholery, nie zawieźliście jej do szpitala?

- Nie jest w takim stanie - odrzekł wicedyrektor, po czym na chwilę zamilkł. On też miał za sobą ciężki dzień. - Powiedziałem, że umierała. No i umarła.

- O Boże - jęknął dyrektor i pociągnął łyk czystego ginu. Było to lepsze niż nic. - To znaczy, z przedawkowania?

- Przypuszczalnie. Policja na pewno to ustali.

Dyrektor wypił resztę ginu.

- Kiedy to się stało?

- Jakąś godzinę temu.

«- Godzinę temu? Godzinę temu byłem jeszcze u siebie w gabinecie. Dlaczego, do diabła, nikt mnie nie zawiadomił?

- Woźny pomyślał najpierw, że jest pijana, i poszedł po panią Ruckner. Miała zajęcia z haftu ludowego na gospodarstwie domowym w gmachu Morrisa i...

- Mniejsza z tym - warknął dyrektor. - Jakaś dziewczyna umiera na terenie college'u, a pan rozwodzi się o pani Ruckner i hafcie ludowym.

- Nie rozwodzę się o pani Ruckner - odparł urażony wice. - Próbuję tylko wyjaśnić.

- Właśnie słyszę. I co z nią zrobiliście?

- Z panią Ruckner?

- Nie, na litość boską, z tą przeklętą dziewczyną. I obędzie się bez dowcipów.

- Jeśli zamierza pan mówić do mnie takim tonem, niech pan tu przyjedzie i sam zobaczy - odparł wicedyrektor i rzucił słuchawkę.

- Ty mendo - powiedział dyrektor, niechętny zwracając się do swojej żony, która właśnie weszła do pokoju.

Również na komisariacie policji atmosfera była dość napięta.

- Nie pojedę tam - powiedział Flint, wróciwszy z bezowocnej wizyty w szpitalu psychiatrycznym, gdzie rozmawiał z pacjentem, który przyznał się był, zupełnie fałszywie, że jest Nieuchwytnym Nagusem. - To sprawa dla Hodge'a. On jest od narkotyków, a poza tym mam dosyć tego cholernego college'u do końca życia.

- Inspektor Hodge wyszedł - odparł sierżant. - I prosili specjalnie o pana.

- Nie ze mną te numery - zachnął się Flint. - Ktoś cię podpuścił. Jestem ostatnią osobą, którą chcą widzieć. I nawzajem.

- To nie podpucha. Dzwonił sam wicedyrektor. Pan Avon. Wiem, bo mój chłopak tam chodzi.

Flint wytrzeszczył na niego oczy.

- Twój syn chodzi do tej parszywej budy? I ty mu pozwalasz? Chyba oszalałeś. Ja nie dałbym mojemu zbliżyć się do college'u nawet na milę.

- Zapewne - przyznał sierżant, taktownie powstrzymując się od uwagi, że skoro syn Flinta odsiaduje pięcioletni wyrok, nie ma takiego niebezpieczeństwa. - Ale Bili praktykuje u hydraulika i musi chodzić na zajęcia do kształcące. Takie są przepisy.

- Jeżeli chcesz znać moje zdanie, powinien istnieć przepis chroniący młodzież przed kontaktem z draniami, którzy tam uczą. Kiedy pomyślę o Wilcie...

Flint z rozpaczą potrząsnął głową.

- Pan Avon powiedział, że zależy im na pańskim dyskretnym podejściu - ciągnął sierżant. - A poza tym nie wiedzą, jak umarła. To nie musiało być przedawkowanie.

Inspektor się ożywił.

- Dyskretnie podejście i co jeszcze - wymamrotał. - Ale prawdziwe morderstwo na ich terenie... To inna para kaloszy.

Wygramolił się z za biurka, zszedł do samochodu i pojechał Nott Road do college'u. Przed bramą stał wóz patrolowy. Flint ominął go i z rozmysłem zaparkował na miejscu zarezerwowanym dla kwestora. Potem, czując, że opuszcza go pewność siebie, jak zawsze, kiedy tu wracał, wszedł do głównego budynku. Wicedyrektor czekał na niego przy recepcji.

- Witam, inspektorze. Bardzo się cieszę, że mógł pan przyjechać.

Flint przyjrzał mu się podejrzliwie. Dotychczas nie był tu mile widziany.

- No dobra, gdzie są zwłoki? - zapytał szorstko i z przyjemnością odnotował, że wicedyrektor się wzdrygnął.

- Eee... w kotłowni. Ale bardzo prosimy o dyskrecję. Gdyby udało się uniknąć rozgłosu, bylibyśmy ogromnie panu wdzięczni.

Inspektor Flint poweselał. Jeżeli dranie skamlą o rozgłosie i potrzebie dyskrecji, sprawa musi wyglądać bardzo źle. Z drugiej strony, sam zyskał dzięki college'owi więcej parszywego rozgłosu, niżby chciał.

- Jeżeli ma to coś wspólnego z Wiltem... - zaczęła, ale wicedyrektor potrząsnął głową.

- Nie, nic z tych rzeczy, zapewniam pana. W każdym razie, nie bezpośrednio.

- Co znaczy nie bezpośrednio? - spytał czujnie Flint.

Z Wiltem nic nigdy nie było bezpośrednio.

- On pierwszy został powiadomiony, że panna Lynchknowle się narkotykuje, ale poszedł do niewłaściwej toalety.

- Poszedł do niewłaściwej toalety? - powtórzył Flint i odsłonił zęby w fałszywym uśmiechu. Po sekundzie ten uśmiech zgasł. Inspektor zwietrzył kłopoty. - Panna jaka?

- Lynchknowle. Dlatego wspomniałem o... konieczności zachowania dyskrecji. Rozumie pan...

- Nie musi mi pan mówić. Przecież wiem - przerwał mu Flint, trochę zbyt obcesowo jak na gust wicedyrektora. - Córka lorda namiestnika odwała u was kitę i nie chcecie, żeby tatuś... - Inspektor urwał i wbił w wicedyrektora twarde spojrzenie. - A skąd się w ogóle tutaj wzięła? Nie powie mi pan, że kręciła z którymś z waszych tak zwanych studentów.

- Sama była naszą studentką - powiedział wicedyrektor, usiłując zachować godność w obliczu jawnego sceptycyzmu Flinta. - Uczęszczała do trzeciej ss i...

- Do trzeciej SS? A co to, do diabła, za grupa? Pierwsza mięsna była wystarczająco obrzydliwa, zważywszy, że chodziło o młodych rzeźników, ale jeśli chce mi pan powiedzieć, że prowadzicie zajęcia dla neofaszystek i że jedną z nich była cholerna córka lorda Lynchknowle'a...

- Starsze sekretarki - prychnął wicedyrektor. - Bardzo porządny kurs. Zawsze mieliśmy znakomite rezultaty.

- Jak zgony - mruknął Flint. - No dobra, rzućmy okiem na waszą najnowszą ofiarę.

Pewien już, że wzywając Flinta, popełnił błąd, wicedyrektor poprowadził gościa przez dziedziniec. Ale inspektor jeszcze nie skończył.

- Podobno uważacie, że było to przypadkowe przedawkowanie?

- Oczywiście. Nie sugeruje pan chyba, że mogło to być coś innego?

Inspektor Flint przyglądał sobie wąsy.

- Jeszcze za wcześnie, żeby sugerować cokolwiek. Pytam, dlaczego twierdzicie, że przyczyną zgonu były narkotyki.

- Pani Bristol zobaczyła, jak jakaś dziewczyna wstrzykuje sobie coś w toalecie dla personelu, i poszła po Wilta...

- Dlaczego akurat po Wilta? To ostatnia osoba, po którą ja bym poszedł.

- Pani Bristol jest jego sekretarką - wyjaśnił wicedyrektor, po czym przedstawił inspektorowi zagmatwany przebieg wydarzeń.

Flint słuchał z ponurą miną. Spodobał mu się tylko fragment, jak panna Hare załatwiła Wilta. Wyczuł w niej bratnią duszę. Reszta pasowała do jego opinii o college'u.

- Wiem jedno - oznajmił, kiedy wicedyrektor skończył. - Nie będę wyciągał żadnych wniosków, dopóki nie przeprowadzę gruntownego śledztwa.

Podkreślam, gruntownego. Ta historia nie trzyma się kupy. Nie zidentyfikowana narkomanka daje sobie w żyłę w kiblu, a potem znajdujecie w kotłowni zwłoki panny Lynchknowle. Dlaczego zakładacie, że to ta sama dziewczyna?

Wicedyrektor odparł, że wydaje się to logiczne.

- Jak komu - burknął Flint. - I co robiła w kotłowni?

Wicedyrektor popatrzył żałośnie na drzwi i oparł się pokusie, by powiedzieć, że umierała. Mógł to przełknąć dyrektor, ale inspektor Flint nie wyglądał na człowieka, który dobrze przyjmuje stwierdzenia oczywistych faktów.

- Nie mam pojęcia. Może chciała się schronić w jakimś ciemnym i ciepłym miejscu.

- A może nie - odrzekł Flint. - Tak czy owak, wkrótce się tego dowiem.

- Jeszcze raz proszę, aby był pan dyskretny - powiedział wicedyrektor. - To bardzo delikatna...

- Chrzanię dyskrecję - przerwał mu Flint. - Interesuje mnie wyłącznie prawda.

Dwadzieścia minut później, kiedy w college'u zjawił się dyrektor, było już aż nadto oczywiste, że Flintowe poszukiwanie prawdy przybiera dość niepokojące rozmiary. Pani Ruckner, lepiej obeznana z subtelnościami haftu ludowego niż z reanimacją, pozwoliła, aby zwłoki obsunęły się za kocioł, którego nikt do tej pory nie wyłączył, a inspektor zabronił je wynieść, dopóki nic zostaną sfotografowane ze wszystkich możliwych stron, i wezwał ekipę techniczną Wydziału Zabójstw oraz policyjnego lekarza. Na parkingu przed college'em stał więc rząd radiowozów i ambulans, a w budynkach roilo się od policjantów. I wszystko to mogli zobaczyć studenci schodzący się na zajęcia wieczorowe. Dyrektor odniósł wrażenie, że Flint chce nadać sprawie jak największy szkodliwy rozgłos.

- Czy ten facet oszalał? - zapytał wicedyrektora, dając krok nad białą taśmą, którą położono na ziemi wokół schodów do kotłowni.

- Dopóki nie stwierdzi, że zdarzył się wypadek, traktuje to jak morderstwo - odparł wicedyrektor słabym głosem. - I na pana miejscu bym tam nie wchodził.

- A to czemu?

- Po pierwsze, jest tam trup...

- Co z tego? - prychnął dyrektor, który brał udział w II wojnie światowej i lubił o tym wspominać. - Nie ma się czego brzydzić.

- Skoro pan tak twierdzi. Niemniej...

Ale dyrektor zszedł już po schodkach i zniknął we wnętrzu kotłowni. Kiedy po chwili go stamtąd wyprowadzono, nie wyglądał najlepiej.

- Jezu Chryste! Mógł mnie pan uprzedzić, że robią sekcję zwłok na miejscu - wymamrotał. - Dlaczego, do diabła, jest w takim stanie?

- Wydaje mi się, że pani Ruckner...

- Pani Ruckner? Pani Ruckner? - zabalgotał dyrektor, bezskutecznie próbując dopasować to, co właśnie zobaczył, do wiotkiej postaci nauczycielki haftu ludowego. - Co pani Ruckner ma, do cholery, wspólnego z tym... tym...

Zanim udało mu się wysłować, podszedł do nich inspektor Flint.

- Przynajmniej tym razem mamy prawdziwe zwłoki - stwierdził radośnie, z właściwym sobie wyczuciem chwili. - To w college'u coś nowego, nieprawdaż?

Dyrektor spojrział na niego z nienawiścią. Cokolwiek Flint sądził o korzyściach płynących z walania się po college' u prawdziwych zwłok, nie podzielał jego opinii.

- Niech pan posłucha, inspektorze... - zaczął, próbując narzucić swój autorytet.

Ale Flint otworzył jakieś kartonowe pudło.

- Powinien pan najpierw tu zajrzeć - powiedział. - Czy są to publikacje, do których czytania zachęcacie swoich studentów?

Dyrektor zajrzał do pudła i osłupiał. Sądząc po okładce pisma leżącego na wierzchu - przedstawiała dwie kobiety, jakiś stojak oraz obrzydliwie androgenicznego mężczyznę skutego łańcuchami i... dyrektor wolał nie myśleć, jak to wygląda - były to „publikacje”, o jakich studenci nie powinni nawet wiedzieć, a co dopiero je czytać.

- Pod żadnym pozorem - odparł. - To czysta pornografia.

- Ostra pornografia - poprawił go Flint. - I jest jej znacznie więcej. To stawia sprawy w zupełnie nowym świetle, nieprawdaż?

- Dobry Boże - wyjąkał dyrektor, gdy Flint oddalił się zwawym krokiem - czy nic nie zostanie nam oszczędzone? Skurczybyk najwyraźniej się tym wszystkim delektuje.

- Zapewne z powodu tamtej okropnej historii z Wiltem - odparł wice. - Chyba nigdy o niej nie zapomniał.

- Ja też - mruknął dyrektor, rozglądając się ponuro po otoczeniu, w którym miał niegdyś nadzieję zasłynąć. W pewnym sensie mu się to udało, dzięki wielu rzeczom powiązanim w jego umyśle z Wiltem. W tej jednej kwestii zgodziłby się z inspektorem. Drań powinien trafić za kratki.

I w pewnym sensie Wilt za nie trafił. Nie chcąc, aby Eva wiedziała, że spędza piątkowe wieczory w bazie lotniczej w Baconheath, w poniedziałki poświęcał się nauczaniu niejakiego pana McCulluma w Ipsfordzkim Zakładzie Karnym i dał jej do zrozumienia, że ma z nim lekcje również cztery

dni później. Czuł się trochę winny z powodu tego podstępu, ale rozgrzeszał się myślą, że jeśli Eva chce fundować czterem córkom kosztowną edukację oraz komputery, nie może oczekiwać, iż jego pensja, nawet powiększona przez Służbę Więzienną JKМ, na to wystarczy. Musiał więc dorabiać w bazie lotniczej, a poza tym obcowanie z panem McCullumem stanowiło formę pokuty. Łagodziło też Wiltowe poczucie winy, choć jego uczeń robił, co mógł, aby mu je zaszcześcić. Wykładowca z Uniwersytetu Otwartego wpoił McCullumowi solidne podstawy socjologii, i wysiłki Wilta, aby zainteresować go E.M. Forsterem i Howard's End, szły na marne, ponieważ więzień wolał mówić o nierównościach społeczno-ekonomicznych, przez które stał się tym, kim się stał, i wylądował tam, gdzie wylądował. Wypowiadał się również dość swobodnie na temat walki klas, konieczności przeprowadzenia rewolucji, najlepiej krwawej, i ponownego podziąłu dóbr. Jako że McCullum przez całe życie zdobywał dobra wysoce nielegalnymi i nieprzyjemnymi metodami, które obejmowały zamordowanie czterech osób i użycie lampy lutowniczej jako środka perswazji w dyskusji z kilkoma dłużnikami, dzięki czemu zarobił przydomek Harry Fajerwerk oraz dwadzieścia pięć lat od prawicowego sędziego, jego argumentacja wydawała się Wiltowi nieco podejrzana.

Nie przepadał też za jego zmianami nastroju. McCullum przechodził bowiem od jękliwego uzalania się nad sobą i stwierdzeń, że władze chcą zeń zrobić warzywo, przez napady zapału religijnego, podczas których trochę za często padało nazwisko lorda Longforda*, do tępej agresji, kiedy groził, że usmaży pieprzonych kapusiów, którzy go wsypali. Z trojga złego Wilt wolał McCulluma- warzywo i cieszył się, że prowadzi lekcje przez siatkę z solidnego drutu i w obecności jeszcze solidniejszego strażnika. Po przygodzie z panną Hare i słownych ciągach, które wziął od Evy, chciał mieć jakąś ochronę, zwłaszcza że tego dnia McCullum bynajmniej nie był w nastroju warzywnym.

- Co ty tam wiesz - powiedział Wiltowi ochrypłym głosem. - Myślisz, że zjadłeś wszystkie rozumy, ale nigdy nie siedziałeś. Tak samo twój E.M. Forster. On też był męską dziwką z klasy średniej.

- Możliwe - odparł Wilt, pojmując, że tego wieczoru nie należy zbytnio naciskać McCulluma, aby trzymał się tematu. - Niewątpliwie pochodził z klasy średniej, ale właśnie dlatego posiadał wrażliwość niezbędną do...

- Pieprzę wrażliwość. Skurczybyk żył z psem, oto, jaki był wrażliwy.

Wilt uznał tę ocenę prywatnego życia wielkiego pisarza za problematyczną. Strażnik najwyraźniej również.

- Z psem? - powtórzył Wilt. - Nie wydaje mi się. Jest pan pewien?

* Longford - polityk brytyjski, znany ze swych kampanii na rzecz uwalniania więźniów.

- Jasne, że jestem pewien. Żył z pieprzonym psem nazwiskiem Buckingham.

- A, tak - mruknął Wilt, przeklinając się w myślach za to, że polecił bydlakowi biografię Forstera jako lekturę pomocniczą. Wiedział przecież, że wszelkie wzmianki o policjantach wprawiają Harry'ego Fajerwerka w paszukudny nastrój. - Jeśli jednak spojrzymy na niego jako na pisarza i obserwatora sceny społecznej...

McCullum nie chciał o tym słyszeć.

- Mowa-trawa. Spędzał więcej czasu, zaglądając we własny odbyt.

- W przenośni rzeczywiście można...

- Dosłownie - warknął McCullum i przewrócił w książce kilka kartek. - Co powiesz na to? Drugi stycznia, „...mam złudzenia, że jestem czarujący i piękny... bla, bla... ale przypudrowałbym nos, gdybym się nie bał, że ktoś zauważy... bla, bla... Odbyt jest zarośnięty włosami...” Tak napisał w swoim cholernym dzienniku. Bezwstydna narcystyczna ciota.

- Musiał chyba użyć lustra - wymamrotał Wilt, zdetonowany tą rewelacją. - Niemniej jego powieści odbijają...

- Wiem, co chcesz powiedzieć - przerwał mu McCullum. - Że mówią prawdę o społeczeństwie tamtych czasów. Bzdura. Facet spoufalał się z pieprzonym krawężnikiem i mogli go za to zamknąć. W jego książkach jest mniej więcej tyle prawdy o społeczeństwie, co w romansidłach cholernej Barbary Cartland. A wszyscy wiemy, co ona tworzy, prawda? Literackie szparagi.

- Literackie szparagi?

- Przysmak pokojówek - wyjaśnił McCullum z osobliwą lubością w głosie.

- Interesująca teoria - odparł Wilt, który nie miał pojęcia, o czym bydlak mówi. - Choć osobiście uważam, że powieści Barbary Cartland to czysty eskapizm, natomiast...

- Wystarczy - włączył się strażnik. - Nie chcę więcej słyszeć tego słowa. Macie rozmawiać o książkach.

- Posłuchaj Wilberforce'a - powiedział McCullum, nie spuszczać wzroku z Wilta. - Ma cholernie bogate słownictwo, prawda?

Strażnik nie wytrzymał nerwowo.

- Nie nazywam się Wilberforce - warknął - i dobrze o tym wiesz.

- Więc nie mówiłem o tobie - odrzekł McCullum. - Wszyscy wiedzą, że nazywałeś się Gerard i nie jesteś jakimś pieprzonym idiotą, który nie potrafi przeczytać rezultatów wyścigów konnych. A teraz, jak mówił pan Wilt...

Wilt usiłował sobie przypomnieć.

- Że Barbara Cartland jest pożywką dla kretynek - podpowiedział McCullum.

- No tak, cóż, a więc według pana czytanie romansów wyrządza klasie robotniczej jeszcze większą szkodę niż... Co się stało?

McCullum uśmiechał się doń przerażająco przez siatkę.

- Klawisz się wkurzył - wysyczał. - Wiedziałem, że tak będzie. Mam go na liście płac, a jego żona czyta Barbarę Cartland, więc nie mógł tego słuchać. Szybko, weź to.

Wilt spojrzał na zwitek papieru, który McCullum przepychał przez druty.

- Co to jest?

- Moje cotygodniowe wypracowanie.

- Przecież pisze je pan w zeszycie.

- Wyobraź sobie, że to zeszyt - powiedział McCullum - i szybko schowaj.

- Nie...

- Tak - przerwał mu McCullum z groźnym wyrazem twarzy.

Wilt włożył zwitek do kieszeni i Fajerwerk się odprężył.

- Nie najlepiej ci się chyba powodzi? - spytał. - Mieszkasz w połówce bliźniaka i jeździsz escortem. Nie masz willi z jaguarem w garażu, co?

- Nie mam - przyznał Wilt, który nigdy nie marzył o jaguarze.

Eva była wystarczająco niebezpieczna w małym samochodzie.

- No właśnie. A dzięki mnie możesz zarobić pięćdziesiąt kawałków.

- Kawałków?

- Tysięcy. Gotówką - powiedział McCullum i zerknął na drzwi.

Wilt również, z nadzieją, ale strażnika nie było widać.

- Gotówką?

- Używane banknoty, małe nominały, nie do wyśledzenia. W porządku?

- Nie w porządku - zaprzeczył stanowczo Wilt. - Jeżeli pan sądzi, że może mnie przekupić...

- Stul japę - wychrypiał paskudnie McCullum. - Masz żonę i cztery córki i mieszkasz przy Oakhurst Avenue 45. Jeździsz escortem koloru bladego gówna, numer rejestracyjny HPR 79IN. Oszczędności trzymasz u Lloydsa, numer konta 0737... Chcesz, żebym mówił dalej?

Wilt nie chciał i wstał z krzesła, ale McCullum bynajmniej nie skończył.

- Siadaj, póki jeszcze masz kolana - warknął. - I córki.

Wilt usiadł. Nagle zrobiło mu się trochę słabo.

- Czego pan chce? - zapytał. McCullum się uśmiechnął.

- Nic nie chcę. Nic zupełnie. Po prostu idź do domu i obejrzyj tę kartkę, a wszystko będzie cacy.

- A jeśli tego nie zrobię? - spytał Wilt, czując, że słabnie jeszcze bardziej.

- Utrata rodziny to przykra sprawa - odparł McCullum. - Bardzo przykra. Zwłaszcza dla kaleki.

Wilt patrzył przez drucianą siatkę, zastanawiając się, nie po raz pierwszy w życiu, choć sądząc z rozwoju wypadków prawdopodobnie ostatni, co takiego ma w sobie, że przyciąga okropności. A McCullum był okropny, okropny i złowrogo skuteczny. Dlaczego zło jest takie skuteczne?

- Chcę wiedzieć, co jest na tej kartce - powiedział.

- Nic - odrzekł McCullum. - To tylko znak. Moim zdaniem Forster był typowym produktem mieszczańskiego środowiska. Miał kupę dziwactw i mieszkał ze swoją mamuszką...

- Chrzanić matkę E.M. Forstera - przerwał mu Wilt. - Chcę wiedzieć, dlaczego myślisz, że zgodzę się...

Ale jego nadzieje na przedyskutowanie własnej przyszłości zniweczył powrót strażnika.

- Koniec wykładu, zamykamy interes.

- Do zobaczenia za tydzień, panie Wilt - powiedział McCullum z obelśnym uśmiechem, gdy odprowadzano go z powrotem do celi.

Wilt w to wątpił. Postanowił już sobie, że nigdy więcej bydlaka nie zobaczy. Dwadzieścia pięć lat było o wiele za krótkim wyrokiem dla gangstera i mordercy. Dożywocie powinno oznaczać dożywocie. Powędrował żałośnie korytarzem w stronę wyjścia, myśląc o kartce w kieszeni i okropnej alternatywie, jaką miał przed sobą. Oczywiście wyjściem było zameldowanie o groźbach McCulluma strażnikowi przy głównej bramie. Ale drań powiedział, że ma jednego strażnika na liście płac, a jeśli jednego, czemu nie kilku. W rzeczy samej, patrząc wstecz, Wilt przypominał sobie, że McCullum wielokrotnie sugerował, iż ma w więzieniu duże wpływy. Na zewnątrz również, skoro znał nawet numer jego konta bankowego. Nie, musiałyby zawiadomić naczelnika więzienia, a nie zwykłego klawiszka.

- Miał pan miłą sesję z Fajerwerkiem? - zapytał strażnik stojący na końcu korytarza, z naciskiem, który Wilt uznał za złowieszczy. Tak, zdecydowanie musiałyby porozmawiać z naczelnikiem.

Przy bramie było jeszcze gorzej.

- Ma pan coś do zgłoszenia? - zapytał strażnik, szczerząc zęby. - A może się pan skusi i zostanie u nas?

- Na pewno nie - odparł pospiesznie Wilt.

- Nie jest tu tak źle. Zapewniamy wszystkie wygody i telewizję, a i zarcie się poprawiło. Przytulna cela z kilkoma miłymi kolegami... Mówią, że to naprawdę zdrowy tryb życia. Bez takich stresów jak na zewnątrz...

Ale Wilt nie chciał tego dłużej słuchać i wyszedł na świat, który uważał dotąd za wolny. Teraz mu się taki nie wydawał. Nawet domy po drugiej stronie ulicy, skąpane w blasku wieczornego słońca, straciły swój skromny urok; ich okna były puste i groźne. Wsiadł do samochodu i przejechał milę Gili Road, po czym skręcił w jakąś boczną uliczkę i stanął. Upewniwszy się, że nikt go nie obserwuje, wyjął z kieszeni kartkę, którą dał mu McCullum, i rozwinął ją. Była pusta. Pusta? Nie miało to sensu. Podniósł ją do światła i wyteżył wzrok, ale nic mu to nie dało. Nie widział nawet żadnych wgłębień mogących świadczyć o tym, że napisano coś na niej zapalką albo tęnym końcem ołówka. Jakiś mężczyzna nadchodził chodnikiem. Z poczuciem winy Wilt upuścił kartkę na podłogę, wyjął ze schowka atlas drogowy i udawał, że go studiuje, póki mężczyzna go nie minął. A i potem spojrzął we wsteczne lustro, zanim ponownie podniósł kartkę. Nadal była czystym, nielinowanym kawałkiem papieru z poszarpanym brzegiem, jakby bardzo niestarannie wydarto ją z bloku. Może bydlak użył atramentu sympatycznego. Ale skąd wzięłby atrament sympatyczny w więzieniu? Chyba że...

Coś drgnęło w literackiej pamięci Wilta. Czy Graham Greene, albo może Muggeridge, nie wspominał, że będąc szpiegiem podczas II wojny, używał jako atramentu ptasiego gówna? A może był to sok z cytryny? W gruncie rzeczy nie miało to większego znaczenia. Atrament sympatyczny był z definicji atramentem niewidocznym i gdyby drań chciał, żeby Wilt go odczytał, powiedziałby mu jak. Chyba że miał nierówno pod sufitem, a zdaniem Wilta każdy, kto w ramach zarabiania na życie zabił cztery osoby i torturował kilka innych lampą lutowniczą, musiał być totalnie pomyłony. Nie, żeby to McCulluma uprawiedliwiało. Zdrowy na umyśle czy nie, bydlak był mordercą, i im szybciej spełni własną przepowiednię i zostanie warzywem, tym lepiej. Szkoda, że się jako warzywo nie urodził.

W nowym przyływie rozpaczy Wilt pojechał do „Dmuchacza Szkła”, żeby przemyśleć sprawę przy piwie.

- Zamykamy dochodzenie - oświadczył inspektor Flint i, nalawszy kawy do plastikowego kubka, poczłapał do swojego pokoju.

- Zamykamy? - powtórzył sierżant Yates, idąc za nim.

- Przecież mówię. Od początku wiedziałem, że to przedawkowanie. Oczywiście sprawa. Ale tych dwóch ważniaków nieźle się spietrało i kontakt z rzeczywistością dobrze im robi. Żyją w cholernym świecie fikcji, gdzie wszystko jest ładne i higieniczne, bo zostało ubrane w słowa.

- Nie myślałem o tym w ten sposób - powiedział Yates. Inspektor wyjął z kartonu jakieś pismo i popatrzył na zdjęcie trzech groteskowo splecionych ciał.

- Ohydztwo - mruknął. Sierżant Yates zajrzał mu przez ramię.

- Trzeba mieć odwagę, żeby dać się tak zdjąć, prawda?

- Moim zdaniem należałoby zdjąć wszystkich takich - odparł Flint. - Chociaż nie robią tego naprawdę. To niemożliwe. Dostaliby przepukliny czy czegoś. Znalazłem cholera w kotłowni i ten sztywniak dyrektor nie był zachwycony. Tak jakoś pozieleniał na gębę.

- Chyba nie są jego? - zapytał Yates.

Flint zamknął pismo i wrzucił je z powrotem do pudła.

- Nigdy nic nie wiadomo, synu. Nigdy nic nie wiadomo. Zwłaszcza z tak zwanymi wykształconymi ludźmi. Ukrywają wszystko za słowami. Z zewnątrz wyglądają normalnie, ale tutaj... - Flint znacząco postukał się w czoło - dzieje się coś naprawdę dziwnego. A to zupełnie inna historia.

- Chyba tak - przyznał Yates. - Zwłaszcza kiedy jest w dodatku higieniczna.

Flint popatrzył na niego podejrzliwie. Nigdy nie wiedział, czy sierżant Yates jest głupi, czy tylko głupiego udaje.

- Usiłujesz być dowcipny?

- Skądże. Tylko najpierw powiedział pan, że żyją w higienicznym świecie słów, a teraz, że mają nie po kolei w głowie. Po prostu połączyłem jedno z drugim.

- Nie rób tego - odrzekł Flint. - Nawet nie próbuj. I zawołaj mi Hodge'a. Narkotyki mogą przejąć ten bajzel i życzyć im powodzenia.

Sierżant wyszedł, zostawiając Flinta oglądającego swoje blade palce i snującego własne dziwne myśli o Hodge'u, college'u i o tym, co może wyniknąć z kontaktu szefa Wydziału Narkotyków z tą diabelską instytucją. I z Wiltem. Była to interesująca perspektywa, zwłaszcza kiedy przypomniał sobie prośbę Hodge'a o zgodę na założenie podsłuchu i jego zamiłowanie do konspiracji. Inspektor Hodge trzymał karty przy orderach i jak dotąd guzik mu to dało. W tę grę mogło grać dwóch, a jeśli kiedykolwiek istniało bagno dezinformacji i nielogiczności, to były nim college i Wilt. Flint odwrócił ten porządek. Wilt i college. A Wilt zaplątał się w sprawę śmierci tej dziewczyny, choćby przez pójście do niewłaściwej toalety. To ostatnie słowo zwróciło uwagę Flinta na jego własne pilne potrzeby. Te cholerne pigułki znów przypościły atak.

Pospieszył korytarzem do ubikacji i kiedy tam stał, gapiąc się na kafelki i wywieszkę, która mówiła: „Nie wrzucajcie petów do pisuaru. Robią się wilgotne i trudno je potem zapalić”, spłynęło nań natchnienie. Mógł wyciągnąć z tej wywieszki naukę, jeśli tylko trochę się postara. Chodziło o związek między rozsądną prośbą i absolutnie odrażającą supozycją. Znów przyszło mu na myśl słowo „nielogiczność”. Napuszczenie cholernego ins-

pektora Hodge'a na Wilta byłoby jak związanie dwóch kotów za ogony, żeby zobaczyć, który wygra. I jeśli nie będzie to Wilt,

Flint srodze się co do drania myśli. A za Wiltem stała Eva i jej upiorne czworaczki, i jeśli ta przerażająca kombinacja nie spieprzy Hodge'owi kariery równie skutecznie jak jemu... Z rozkoszną myślą, że przy okazji zemści się na Wilcie, Flint wrócił do swego gabinetu i zaczął gryzmolić rysunki przedstawiające totalny chaos - dokładnie to, co miał nadzieję wywołać.

Nadal radośnie śnił na jawie o zemście, gdy wrócił sierżant Yates.

- Hodge wyszedł - zameldował. - Zostawił wiadomość, że niedługo będzie z powrotem.

- Typowe - mruknął Flint. - Drań czatuje pewnie w jakiejś kawiarni, usiłując się zdecydować, którą cizję ma zgarnąć.

Yates westchnął. Odkąd Flint był na tych sakramenckich peniso-blokerach, czy jak się tam nazywały, ciągle myślał o dziewczynach.

- Dlaczego miałby to robić? - spytał.

- Bo w ten sposób skurczybyk działa: stosując tanie chwytły. Zwija jakąś małodatę za palenie trawki i próbuje z niej zrobić informatorkę. Naogłądał się za dużo telewizji.

Przerwał mu telefon ze wstępnym raportem z laboratorium.

- Duża dawka heroiny - powiedział technik. - To na dzień dobry. Wzięła coś jeszcze, czego na razie nie rozpoznaliśmy. Może to jakiś nowy produkt, ale na pewno nic typowego. Chyba że to „formalina”.

- Formalina? Co, do diabła, miałaby z nią robić? - zapytał Flint z autentycznym i usprawiedliwionym obrzydzeniem.

- To nazwa halucynogenu podobnego do LSD, tylko gorszego. W każdym razie, damy panu znać.

- Nie mnie - odparł Flint. - Rozmawiajcie bezpośrednio z Hodge'em. Teraz to jego broszka.

Odłożył słuchawkę i ze smutkiem potrząsnął głową.

- Mówią, że naszprycowała się herą i jakimś świństwem, które nazwali formalina - powiedział Yatesowi. - Formalina, wyobrażasz sobie? Naprawdę świat się kończy.

Pięćdziesiąt mil dalej kolację lorda Lynchknowle'a zakłóciło przybycie policji z wiadomością o śmierci jego córki. Szczególnie zirytował go fakt, że zdarzyło się to między pasztetem z makreli i dziczyzną, a jeśli chodzi o wino, wybornym Montrachet i Chateau Lafite rocznik 1962, którego kilka butelek otworzył, aby zrobić wrażenie na ministrze spraw wewnętrznych i dwóch starych kolegach z MSZ-etu. Oczywiście nie zamierzał zepsuć sobie posiłku oznajmieniem wiadomości, ale przewidywał, że żona zrobi mu

potem paskudną scenę, i to wyłącznie dlatego, że wróciwszy do stołu, wyraził się niezbyt fortunnie, że nie chodziło o nic ważnego. Naturalnie zawsze mógł się usprawiedliwić względami gościnności - stary Freddie był w końcu ministrem spraw wewnętrznych - i nie mógł pozwolić, żeby Lafite 62 się zmarnował, ale coś mu mówiło, że Hilary dostanie szau. Siedział zamyślony nad stiltonem, szczerze żałując, że się z nią ożenił. Patrząc wstecz, widział, że jego matka miała rację, ostrzegając go przed złą krwią „tych” Puckertonów.

- Zła krew to cecha dziedziczna - powtarzała, a jako hodowca bulteri-erów wiedziała, o czym mówi. - Odezwie się w następnym pokoleniu.

I odezwała się, w tej cholernej Penny. Głupia cipa powinna była poprzestać na jeździe konnej, zamiast się upierać, że zostanie intelektualistką, zbijać baki w tym parszywym college'u w Ipford i zadawać się z tamtejszymi mętami. A wszystko przez matkę, która ją do tego zachęcała. Oczywiście Hilary będzie innego zdania. Zrzuci całą winę na niego. Trudno, będzie musiał coś zrobić, żeby ją udobruchać. Może zadzwoni do naczelnika policji i zmusi go do interwencji. Jego zadumany wzrok powędrował wokół stołu i spoczął na ministrze. To było to, pogada z Freddie, żeby policja dostała rozkazy z samej góry.

Zanim udało mu się dopaść ministra samego, co wymagało zaczajenia się w ciemnej sieni koło toalety i mimowolnego wysłuchania przez ścianę szczerych uwag o sobie z ust wynajętych kelnerek, oburzenie lorda Lynchknowle'a przybrało charakter obywatelski.

- To coś więcej niż sprawa osobista, Freddie - powiedział ministrowi, gdy ten wreszcie uwierzył, że córka Lynchknowle'a nie żyje i że gospodarz nie oddawał się owym dziwacznym upodobaniom, z których był znany w szkole. - W tym cholernym college'u grasują handlarze narkotyków. Musisz położyć temu kres.

- Oczywiście, oczywiście - odparł minister, cofając się na wieszak oraz kolekcję lasek i parasoli. - Głęboko ci współczuję...

- Co mi po waszym współczuciu, przekłęci politycy - zachnął się Lynchknowle, popychając go na stertę płaszczy. - Zaczynam rozumieć rozczarowanie szarego człowieka procedurą parlamentarną. - (Minister w to wątpił.) - Słowa nie nagradzają szkód. - (W to minister nie wątpił.) - Chcę czynów.

- I będziesz je miał, Percy - zapewnił go minister. - Jutro z samego rana każe się tym zająć najlepszym ludziom ze Scotland Yardu. - Sięgnął po mały notes, którego używał do ugłaskiwania wpływowych stronników. - Jak się nazywa to miejsce?

- Ipford - odrzekł lord Lynchknowle, wciąż piorunując go wzrokiem.

- I studiowała tam na uniwersytecie?

- W college'u.

- Naprawdę? - zapytał minister, tak modulując głos, że Lynchknowle stracił trochę pewności siebie.

- To wina jej matki - powiedział obronnym tonem.

- Możliwe. Niemniej jeśli ktoś pozwala swoim córkom chodzić do college'ów technicznych, nie żebym był im przeciwny, nie zrozum mnie źle, ale człowiek z twoją pozycją powinien być ostrożniejszy.

Idąca korytarzem lady Lynchknowle usłyszała ostatnie zdanie.

- O czym tam rozmawiacie? - spytała ostro.

Godzinę później, gdy goście już się pożegnali, przyszło mu pożałować tych słów.

- O niczym?! - zagrzmiała lady Lynchknowle, doszedłszy do siebie po kondolencjach, które tak nieoczekiwanie złożył jej minister. - Śmiesz tu stać i nazywać śmierć Penny niczym?

- Wcale nie stoję, kochanie - odparł Lynchknowle z głębi fotela, ale jego żona nie dała się tak łatwo zbić z tropu.

- I dokończyłeś kolację, wiedząc, że leży gdzieś na katafalku? Zdawałam sobie sprawę, że jesteś gruboskórną świnią, ale...

- A co, do diabła, miałem zrobić?! - krzyknął Lynchknowle, zanim lady Lynchknowle zdążyła się rozpędzić. - Wrócić do stołu i oznajmić, że twoja córka była cholerną ćpunką? To dopiero by ci się spodobało. Już słyszę, jak mówisz...

- Nic nie słyszysz - wrzasnęła jego żona. Lynchknowle zwleknął się z fotela i zatrzasnął drzwi, żeby dalszy ciąg dyskusji nie dotarł do uszu służby.

- I nie myśl, że...

- Zamknij się - ryknął. - Rozmawiałem z Freddie'm i sprawą zajmie się Scotland Yard, a teraz zadzwonię do Charlesa. Jako naczelnik policji...

- Co to da? Policja nie przywróci jej życia!

- Nikt nie przywróci jej życia, do cholery. Gdybyś nie wbiła jej do tej pustej głowy, że może zdobyć jakiś zawód, kiedy było jasne jak słońce, że jest głupia jak stołowa noga, nie doszłoby do tego.

Lord Lynchknowle podniósł słuchawkę i wykrecił numer naczelnika policji.

W „Dmuchaczu Szklą” Wilt też rozmawiał przez telefon. Wcześniej próbował obmyślić jakiś sposób, aby pokrzyżować upiorne plany, które miał co do niego McCullum, nie ujawniając swojej tożsamości władzom więziennym. Nie było to łatwe.

Po dwóch dużych whisky zebrał się na odwagę, żeby zadzwonić do więzienia, odmówił podania nazwiska i spytał o domowy numer naczelnika.

Nie było go w książce telefonicznej.

- Jest zastrzeżony - wyjaśnił strażnik dyżurny.

- Wiem - odparł Wilt. - Dlatego pytam.

- I dlatego nie mogę go panu podać. Gdyby pan naczelnik chciał, żeby wszyscy przestępcy w okręgu wiedzieli, gdzie mogą dzwonić z pogrózkami, to by go nie zastrzegł, prawda?

- Prawda - przyznał Wilt. - Ale z drugiej strony, kiedy wasi więźniowie grożą jakiemuś obywatelowi, jak, do licha, ma on zawiadomić naczelnika, że kroi się zbiorowa ucieczka?

- Zbiorowa ucieczka? Co pan wie o planach zbiorowej ucieczki?

- Dostatecznie dużo, żeby chcieć porozmawiać z naczelnikiem.

Strażnik zastanawiał się przez chwilę w milczeniu i Wilt wrzucił do automatu kolejną monetę.

- Nie może pan porozmawiać ze mną? - zapytał w końcu strażnik.

Wilt zignorował to pytanie.

- Proszę posłuchać - powiedział z rozpaczliwą mocą wynikającą ze świadomości, że zaszedłszy tak daleko, nie może się cofnąć, i jeśli nie przekona faceta, że to nie przelewki, wspólnicy McCulluma zrobią wkrótce coś paskudnego z jego kolanami. - Zapewniam pana, że sprawa jest bardzo poważna. Chciałbym porozmawiać z naczelnikiem prywatnie. Zadzwońię za dziesięć minut, dobrze?

- Nie wiem, czy uda mi się go tu ściągnąć w tak krótkim czasie - odparł strażnik, rozpoznając wreszcie ton autentycznej desperacji. - Jeśli poda mi pan swój numer, pan naczelnik zadzwoni do pana.

- Ipford 23194 - powiedział Wilt - i nie żartuję.

- Wiem - odrzekł strażnik. - Oddzwonimy najszybciej, jak będziemy mogli.

Wilt odłożył słuchawkę i wrócił do baru z nieprzyjemną świadomością, że nadał wydarzeniom bieg, który może mieć przerażające konsekwencje. Skończył swoją whisky i zamówił następną, aby zagłuszyć myśl, że podał strażnikowi numer do pubu, w którym jest dobrze znany. „Przynajmniej mu dowiodłem, że mówiłem poważnie”, pocieszył się i zaczął dumać, co takiego jest w biurokratycznej mentalności, że tak bardzo utrudnia komunikację. Musiał jak najszybciej skontaktować się z naczelnikiem i wyjaśnić mu sprawę. Kiedy przeniosą McCulluma do innego więzienia, będzie bezpieczny.

Wiadomość, że w Zakładzie Karnym JKM w Ipford szykuje się zbiorowa ucieczka, już wywołała reperkusje. Szef straży, wyciągnięty z łóżka, próbował zadzwonić do naczelnika.

- Cholernik musiał gdzieś wyjść na kolację - powiedział po kilku minutach, kiedy wciąż nikt nie odbierał telefonu. - Jesteś pewien, że to nie był

jakiś kawał?

Strażnik dyżurny potrząsnął głową.

- Według mnie facet mówił prawdę. Miał kulturalny głos. I wyraźnie przestraszony. Wydaje mi się nawet, że go rozpoznałem.

- Rozpoznałeś go?

- Nie wiem, do kogo należał, ale brzmiał znajomo. A zresztą, gdyby to nie była prawda, czy podałby mi tak szybko swój numer telefonu?

Szef straży spojrział na numer i wykręcił go. Linia była zajęta. W „Dmuchaczu Szkła” jakaś dziewczyna rozmawiała ze swoim chłopakiem.

- Dlaczego nie podał nazwiska?

- Mówiłem panu, był śmiertelnie przerażony. Wspomniał o jakichś groźbach. A mamy tu takich bydlaków...

Szefowi straży nic trzeba było o tym przypominać.

- Dobrze. Nie możemy ryzykować. Natychmiast zastosuj plan awaryjny. I próbuj złapać tego cholernego naczelnika.

Kiedy pół godziny później naczelnik wrócił do domu, dzwonił telefon w jego gabinecie.

- Słucham, o co chodzi?

- Groźba zbiorowej ucieczki - powiedział mu strażnik. - Jakiś mężczyzna...

Naczelnik nie czekał dłużej. Od lat żył w strachu, że coś takiego może się wydarzyć.

- Już jadę - krzyknął i popędził do samochodu.

Zanim dotarł do więzienia, jego obawy przerodziły się w popłoch. Słyszał ryk policyjnych syren, a ulicą jechało przed nim z dużą prędkością kilka wozów strażackich. Kiedy rzucił się do bramy, zatrzymało go trzech policjantów.

- A pan dokąd się wybiera? - zapytał sierżant.

Naczelnik spiorunował go wzrokiem.

- Tak się składa, że jestem naczelnikiem - powiedział - naczelnikiem tego więzienia i wybieram się do środka. Będzie pan łaskaw się odsunąć.

- Ma pan jakiś dowód tożsamości? Otrzymałem rozkazy, aby nikogo nie wpuszczać ani nie wypuszczać.

Naczelnik pogrzebał w kieszeniach garnituru i wyjął pięcioletni banknot oraz grzebień.

- Niech pan posłucha - zaczął, ale sierżant patrzył na banknot. Grzebień zignorował.

- Na pana miejscu bym tego nie próbował.

- Nie próbował czego? Nic poza tym przy sobie nie mam.

- Słyszeliście - powiedział sierżant do posterunkowego. - Próba przekupstwa funkcjonariusza...

- Próba przekupstwa? Jakiego przekupstwa? - wybuchnął naczelnik. - Prosi mnie pan o dowód tożsamości, a kiedy go szukam, zaczyna pan mówić o przekupstwach. Spytajcie, do cholery, strażnika na bramie. On wam powie, kim jestem.

Kiedy po kolejnych pięciu minutach dyskusji naczelnik wszedł wreszcie do więzienia, nie panował już nad sobą.

- Co zrobiłeś? - wrzasnął na szefa straży, Blaggsa.

- Przeniosłem wszystkich więźniów z górnych pięter do cel niżej, żeby nie mogli wydostać się na dach. Oczywiście są trochę stłoczeni...

- Trochę? Już i tak siedzieli po czterech w jednoosobowych celach. Chcesz powiedzieć, że teraz gniotą się po ośmiu? To cud, że jeszcze nie podnieśli buntu.

Przerwały im jakieś krzyki dobiegające z Bloku C. Szef straży wypadł z dyżurki, a naczelnik usiłował zorientować się w sytuacji. Było to niemal równie trudne jak dostanie się do więzienia. Na trzecim piętrze Skrzydła A ewidentnie szalała jakaś bitwa.

- To przez to, że umieściliśmy Fidleya i Goslinga ze Stanforthem i Haydowem - wyjaśnił strażnik dyżurny.

- Fidleya i... Zamknęliście dwóch dzieciobójców z parą porządnych, uczciwych złodziei? Blaggs musiał oszaleć. Jak szybko umarli?

- Chyba jeszcze żyją - odparł strażnik, ze zbyt wielkim, jak na gust naczelnika, rozczarowaniem w głosie. - Ostatnio słyszałem, że udało się przeszkodzić Haydowowi w wykastrowaniu Fidleya. Wtedy pan Blaggs postanowił interweniować.

- Chcesz powiedzieć, że ten idiota z tym czekał? - spytał naczelnik.

- Niezupełnie. Widzi pan, wybuchł ten pożar w Bloku D...

- Pożar w Bloku D? Jaki pożar?

- Moore podpalił swój materac i zanim...

Naczelnik już go nie słuchał. Zrozumiał, że jego kariera jest zagrożona. Brakowało tylko tego, żeby ten szalaniec Blaggs okazał się współwinnym morderstwa, bo zapakował wszystkich bydlaków z Bloku Ścisłego Nadzoru do jednej celi. Miał właśnie wyjść, żeby to sprawdzić, kiedy szef straży wrócił.

- Sytuacja opanowana - oznajmił radośnie.

- Opanowana? - prychnął naczelnik. - Jeżeli myślisz, że minister spraw wewnętrznych uzna, że „opanowanie sytuacji” oznacza kastrację dzieciobójców przez innych więźniów, to zapewniam cię, że nie jesteś na bieżąco z przepisami. Co ze Ścisłym Nadzorem?

- Może się pan nie martwić. Wszyscy śpią jak niemowlęta.

- Dziwne - powiedział naczelnik. - Jeśli ktoś miałby planować ucieczkę, to przede wszystkim oni. Jesteś pewien, że nie udają?

- Na sto procent, sir - odparł Blaggs z dumą w głosie. - Pierwszym środkiem ostrożności, jaki zastosowałem, było zaprawienie im kakao podwójnym środkiem nasennym.

- Słodki Jezu - jęknął naczelnik, próbując sobie wyobrazić konsekwencje eksperymentu szefa straży z prewencyjnym usypianiem, jeśli dowie się o tym Liga Reformy Penitencjarnej. Powiedziałeś „podwójnym”?

Szef straży skinął głową.

- To samo cholerstwo daliśmy Fidleyowi, kiedy obejrzał film z Shirley Tempie i odbiła mu palma. A skoro mówimy o Fidleyu, jeżeli ma olej w głowie, po dzisiejszym wieczorze nie usztyni już pytona.

- To był podwójny fenobarbital - wykrztusił naczelnik.

- Zgadza się. Dałem im podwójną porcję, jak każą na opakowaniu. Usnęli jak zabici.

- Bo pewnie zabiłeś drani - odparł naczelnik. - Zaaplikowałeś im czterokrotność prawidłowej dawki. Nie kazałem ci tego robić.

Szef straży Blaggs zmarkotniał.

- Chciałem jak najlepiej. Połowa z nich to psychopatyczni mordercy. Stanowią zagrożenie dla społeczeństwa.

- Nie oni jedni - wymamrotał naczelnik.

Miał już wezwać pogotowie, aby wypompuwało żołądki bandytom, których Blaggs uspił, kiedy wtrącił się strażnik dyżurny.

- Możemy powiedzieć, że otruł ich Wilson. Zawsze okropnie się tego bali. Pamięta pan, jak urządzili strajk śmieciarski i pan Blaggs skierował Wilsona do zmywania naczyń?

Naczelnik pamiętał, choć wolałby zapomnieć. Wpuszczenie wielokrotnego truciciela do kuchni uważał za obłąkany pomysł.

- I poskutkowało. Posprząтали cele migiem.

- Po czym ogłosili strajk głodowy - dodał naczelnik. - Ściśle biorąc, Wilson też nie był tym zachwycony - ciągnął strażnik, który najwyraźniej wspominał ten incydent z przyjemnością. - Powiedział, że nie mamy prawa zmuszać go do zmywania w rękawicach bokserskich. Wkurzył się jak...

- Zamknij się! - ryknął naczelnik, próbując wrócić do względnie normalnego świata. Przerwał mu dzwonek telefonu.

- To do pana - zauważył znacząco szef straży.

Naczelnik chwycił słuchawkę.

- Jak rozumiem, chce mi pan przekazać informacje dotyczące jakiegoś planu ucieczki - powiedział i uświadomił sobie, że mówi do szumu automatu.

Zanim jednak zdążył spytać Blaggsa, skąd wiedział, że telefon jest do niego, stuknęła moneta. Naczelnik powtórzył swoją kwestię.

- Właśnie w tej sprawie dzwonię - odparł jakiś męski głos. - Czy te pogłoski są prawdziwe?

- Czy pogłoski są... Skąd, do diabła, mogę wiedzieć? To pan miał informacje dla mnie.

- Pierwsze słyszę - stwierdził mężczyzna. - Czy to więzienie w Ipford?

- Tak, to więzienie w Ipford, a ja jestem naczelnikiem. Za kogo, do diabła, mnie pan wziął?

- Za nikogo - odrzekł mężczyzna, wyraźnie zbity z tropu. - To znaczy, za nikogo konkretnego, ale... Nie mówi pan jak naczelnik więzienia. Tak czy owak, chcę się tylko dowiedzieć, czy doszło do tej ucieczki, czy nie.

- Niech pan posłucha - powiedział naczelnik, zaczynając podzielać wątpliwości swego rozmówcy co do własnej tożsamości. - Zadzwoił pan wcześniej tego wieczora z informacją o planie ucieczki i...

- Oszalał pan czy co? Spędziłem trzy ostatnie cholerne godziny przy cholernym karambolu na Bliston Road i jeżeli pan myśli, że miałem czas do pana dzwonić, to chyba się pan nie mył.

Zaskoczony tym ostatnim zarzutem, naczelnik dopiero po chwili pojął, że nie zgadza się coś jeszcze.

- A z kim rozmawiam? - spytał, zbierając resztki cierpliwości.

- Nazywam się Nailtes - odparł mężczyzna - i dzwonię z „Ipford Evening News”...

Naczelnik rzucił słuchawkę i odwrócił się do Blaggsa.

- W ładną kabałę nas wpakowałeś! To był dziennikarz z „Evening News” z pytaniem, czy mieliśmy ucieczkę.

Szef straży posłusznie się zmieszał.

- Przykro mi, jeśli zaszła jakaś pomyłka... - zaczął i ściągnął na siebie dalsze gromy.

- Pomyłka? Pomyłka? - wrzasnął naczelnik. - Jakiś wariat dzwoni z pięprzoną bajeczką o ucieczce, a ty trujesz...

Dyskusję przerwała im wiadomość o nowym kryzysie. Trzej kasiarze, przeniesieni z celi, którą zaprojektowano w epoce wiktoriańskiej dla jednego więźnia, do czterech Szkotów znanych jako Geje z Glasgow i odsiadujących wyroki za ciężkie obrażenia ciała, spełnili przepowiednię Wilita, uciekając spod klucza i żądając, aby zamknięto ich dla bezpieczeństwa z jakimiś heteroseksualnymi mordercami.

Gdy naczelnik dotarł do Bloku B, zgłaszali swoje pretensje strażnikom.

- Nie będziemy siedzieć z bandą pięprzonych pedryli - oświadczył rzecznik grupy.

- To tymczasowe posunięcie - odparł naczelnik, wyraźnie grając na czas. - Rano...

- Rano będziemy mieli AIDS - przerwał mu kasiarz. - Chcemy jakichś porządnych, czystych morderców, a nie tych obleśnych bydlaków z opryszczką odbytu. Stosujcie sobie wszystkie inne posunięcia, ale prędzej nas szlag trafi, niż damy się posuwać dodupnie tym szkockim sodomitom. To ma być więzienie, nie Dotheboys Hali*.

Kiedy naczelnik ich uspokoił i odesłał do celi, którą zajmowali wcześniej, sam miał wątpliwości co do tego, gdzie się znajduje, z tym że jego zdaniem więzienie przypominało raczej dom wariatów. Wizyta w Bloku Ścisłego Nadzoru bynajmniej nie poprawiła mu samopoczucia. W jasno oświetlonym korytarzu zalegała grobowa cisza i przechodząc od celi do celi, naczelnik miał wrażenie, że jest w kostnicy. Gdziekolwiek spojrzeł, ludzie, którym na co dzień życzył śmierci, istotnie wyglądali jak martwi. Więźniowie zwisali z łóżek albo leżeli na podłodze w groteskowych pozach, które zdawały się wskazywać, że nastąpił już rigor mortis, i tylko sporadyczne upiorne chrapanie świadczyło o tym, że jeszcze żyją.

- Jak dorwę drania, który rozpętał ten obłąd, to... to...

Naczelnik dał za wygraną. W żadnym znanym mu kodeksie nie było kary, która odpowiadałaby tej zbrodni.

Kiedy Wilt opuszczał „Dmuchacza Szklą”, jego desperację złagodził już alkohol oraz niemożność skorzystania z telefonu. Po trzech whisky przerzucił się na piwo i zmiana ta utrudniała mu przebywanie w dwóch miejscach jednocześnie, co, jak się wydawało, było niezbędnym warunkiem zastania aparatu wolnego. Przez pierwsze pół godziny jakaś dziewczyna prowadziła ożywioną konwersację na koszt rozmówcy, a kiedy Wilt wrócił z toalety, zastąpił ją agresywny młodzian, który kazał mu spieprzać. Potem ludzie najwyraźniej zawiązali spisek i używali telefonu raz po raz, a Wilt siedział przy barze, pijąc i dochodząc do wniosku, że sprawy wcale nie wyglądają tak źle, chociaż będzie musiał wrócić do domu pieszo.

- Drań jest w więzieniu - powiedział do siebie, wychodząc z pubu. - Co więcej, będzie w nim jeszcze dwadzieścia lat, więc o co ja się martwię? Nie może mi nic zrobić, prawda?

Mimo to, gdy szedł wąskimi ulicami w stronę rzeki, wciąż oglądał się przez ramię w obawie, czy ktoś go nie śledzi. Ale oprócz jakiegoś mężczyzny z małym psem oraz pary, która minęła go na rowerach, był sam i nie dostrzegał żadnego zagrożenia. Niewątpliwie przyjdzie na to pora później. Spróbował sobie wyobrazić scenariusz. Może McCullum dał mu tę kartkę jako namiastkę wiadomości, wskazówkę, że Wilt ma być kimś w rodzaju

* Dotheboys Hali - prowadzona przez sadystycznego dyrektora szkoła dla chłopców z powieści K. Dickensa *Nicholas Nickleby*

łącznika. Z tego łatwo mógł się wykręcić: więcej do tego cholernego więzienia nie pójdzie. Jak jednak ukryć to przed Evą? Będzie musiał wychodzić w poniedziałkowe wieczory i kłamać, że nadal uczy tego upiornego draba. Nie powinno to być zbyt trudne - Eva była do tego stopnia pochłonięta czworaczkami oraz ich tak zwanym rozwojem, że ledwo zwracała na niego uwagę. Najważniejsze, że wciąż miał pracę w bazie, tę, która przynosiła prawdziwe pieniądze.

Tymczasem jednak miał przed sobą pilniejsze problemy. Na przykład, co powie Evie, kiedy wróci do domu. Spojrzał na zegarek i stwierdził, że jest północ. Po północy i bez samochodu. Eva na pewno zażąda wyjaśnień. Co za cholerny był to świat, w którym rano użerał się z kretyńskimi biurokratami w college'u, wieczorem grozili mu szaleńcy w więzieniu, a po tym wszystkim musiał kłamać ze strachu przed żoną, która uważała, że przez cały dzień się obijał. A w cholernym świecie tylko cholernicy mogli się wybić. Cholernicy i spryciarze. Ludzie odznaczający się energią i determinacją. Wilt przystanął pod latarnią i popatrzył na wrzosa i azalie w ogródku pana Sandsa po raz drugi tego dnia, lecz tym razem z owym niebezpiecznym przyływem energii i determinacji, które piwo i irracjonalność świata zawsze w nim budziły. Nie da sobą pomiatać. Zrobi coś, aby wyróżnić się z masy nudnych, głupich ludzi, którzy przyjmują to, co życie im daje, a potem odchodzą, prawdopodobnie w nicość (Wilt nie był tego pewien), zostawiając po sobie jedynie złudne wspomnienia w pamięci dzieci i wyblakłe zdjęcia w rodzinnym albumie. Wilt będzie... Wilt będzie Wiltem, cokolwiek to znaczy. Przemyśli tę sprawę rano.

Na razie musiał zająć się Evą. Nie zamierzał tolerować żadnego „Gdzie byłeś?” ani „Co robiłeś do tej pory?” Powie jej, żeby pilnowała własnego... Nie, to zły pomysł. Piekielna baba tylko czeka na taką prowokację i nie da mu potem spać przez pół nocy, pytając, co jest nie w porządku z ich małżeństwem. Wilt wiedział, co jest nie w porządku: ich małżeństwo trwało dwadzieścia lat i Eva urodziła czworaczki zamiast po jednym dziecku na raz. Co było dla niej typowe. To się nazywa nie robić niczego połowicznie. Ale nie miało to nic do rzeczy. A może miało? Może Eva urodziła czworaczki, aby w jakimś upiornym, deterministycznym i genetycznym sensie zrekompensować sobie poślubienie niepełnego mężczyzny? Umysł Wilta znów skoczył jak konik szachowy, tym razem do faktu, jeżeli był to fakt, że po wojnach rodziło się więcej chłopców, jakby Natura, przez duże N, automatycznie wyrównywała swoje straty. Jeśli jednak Natura była taka inteligentna, dlaczego skojarzyła go z Evą? Przerwał mu te rozważania inny atrybut Natury, a mianowicie naturalna potrzeba. Nie, nie zamierzał sikać na krzak róży. Raz wystarczy.

Przyspieszył kroku i po chwili wchodził chyłkiem do domu, postanowiwszy, że jeśli Eva nie śpi, powie jej, że zepsuł mu się samochód i musiał go odstawić do warsztatu. Lepiej było być spryciarzem niż cholernikiem. Okazało się jednak, że wystarczy być cicho. Eva, która przez cały wieczór naprawiała ubranka czworaczków i która odkryła, że w ramach walki o równouprawnienie płci dziewczynki wycięły sobie w majtkach imitacje rozporków, spała jak kamień. Wilt wszedł ostrożnie do łóżka i leżał obok niej w ciemnościach, rozmyślając o energii i determinacji.

Energia i determinacja cechowały niewątpliwie atmosferę na komisariacie. Telefon lorda Lynchknowle'a do naczelnika policji i wiadomość, że minister spraw wewnętrznych obiecał przysłać posiłki ze Scotland Yardu, wyrzuciły nadinspektora z fotela przed telewizorem i pchnęły go do zwołania pilnej odprawy.

- Chcę mieć wyniki i nie obchodzi mnie, jak je uzyskacie - oznajmił nieroztropnie starszym funkcjonariuszom. - Nie pozwolę, żeby Ipsford zasłynęło jako fenlandzki odpowiednik Soho czy Picadilly Circus, czy gdzie tam handlują tym świństwem. Rozumiemy się? Macie działać.

Flint uśmiechnął się chytrze. Ten jeden raz był zadowolony z obecności inspektora Hodge'a. Poza tym mógł uczciwie stwierdzić, że natychmiast pojechał do college'u i przeprowadził gruntowne dochodzenie w sprawie przyczyny zgonu.

- Sądzę, że znajdzie pan wszystkie wstępne informacje w moim raporcie - powiedział. - Śmierć nastąpiła na skutek przedawkowania heroiny i jakiejś formaliny. Może Hodge wie, co to jest.

- Fencyklidyna, inaczej PCP - odparł szef Wydziału Narkotyków. - Ma wiele nazw slangowych, jak supertrawa, anielski pył i zabójcze ziele.

Nadinspektor nie potrzebował katalogu nazw.

- Co to paskudztwo robi, poza tym, oczywiście, że zabija młodzież?

- Działa jak LSD, ale jest sto razy gorsze - wyjaśnił Hodge. - Jeśli się go za dużo pali, wywołuje psychozę i ogólnie biorąc, miesza w głowie. To zabójcza rzecz.

- Tyle już wiemy - mruknął nadinspektor. - Chcielibyśmy się natomiast dowiedzieć, ja, naczelnik i minister, skąd Lynchknowle'ówna to draństwo miała.

- Trudno orzec. To jankeski towar. Wcześniej go u nas nie widziałem.

- Więc kupiła go, będąc w Stanach na wakacjach?

- Gdyby tak było, raczej by się nie przekręciła - odparł Hodge. - Wiedzi-
ałyby, jak działa. Sądzę, że mogła się zaopatrzyć u kogoś z uniwersytetu.

- Gdziekolwiek się zaopatrzyła - powiedział ponuro nadinspektor - macie znaleźć źródło tego zaopatrzenia i to szybko. Co więcej, macie oczyścić

miasto z heroiny i wszystkich innych narkotyków, zanim Scotland Yard spadnie na nas jak stado sępów i udowodni, że jesteśmy bandą buraków. To nie moje słowa, tylko naczelnika. A teraz, czy mamy pewność, że wzięła to świństwo sama? Może ktoś ją do tego zmusił?

- O ile wiem, to nie - odezwał się Flint, który rozpoznał próbę przerwania śledztwa na jego barki i oczyszczenia nazwiska lorda Lynchknowle'a z wszelkich powiązań z narkotykami. - Widziano, jak się szprycuje w jednej z toalet dla personelu w college'u. Jeśli „szprycować się” to właściwe słowo - dodał i zerknął na Hodge'a z nadzieją, że zwali na niego ciężar odparcia Scotland Yardu i wzięcia pod lupę Lynchknowle'ów.

Nadinspektora nie interesowało słownictwo.

- Wszystko jedno. Więc możemy wykluczyć przestępstwo? Flint skinął głową. Uważał, że cały ten ohydny narkotykowy interes jest przestępstwem, ale nie był to dobry moment na poruszenie tej kwestii. Przede wszystkim musiał wpuścić Hodge'a w kanał. Jeżeli drań spieprzy to śledztwo, naprawdę da głowę pod topór.

- Z drugiej strony - powiedział - wydało mi się trochę podejrzanę, że korzystała z toalety dla pracowników. Może to jest ten związek.

- Czego z czym? - zapytał nadinspektor.

- Nie mówię, że to robią, i nie mówię, że tego nie robią - ciągnął Flint, z subtelną, jak sądził, dwuznacznością. - Mówię tylko, że niektórzy pracownicy mogą to robić.

- Co robić, na litość boską?

- Handlować narkotykami - odparł Flint. - Dlatego tak trudno jest dojść, skąd to świństwo pochodzi. Nikt nie podejrzewa wykładowców, prawda? - Umilkł na chwilę, a potem wytoczył swoje najcięższe działo. - Weźmy na przykład Wilta, pana Henry'ego Wilta. Prędzej zatrudniłbym kasjarza do ochrony banku, niż zaufał temu bydlakowi. Nie raz mieliśmy z nim kłopoty. Jego akta są grubsze niż książka telefoniczna. W dodatku jest kierownikiem Sekcji Przedmiotów Ogólnokształcących. Gdybyście zobaczyli wyrzutków, którzy u niego pracują... Nie mam pojęcia, dlaczego lord Lynchknowle w ogóle pozwalał córce chodzić do college'u.

Flint umilkł ponownie. Kątem oka widział, że inspektor Hodge (robi notatki. Drań połknął haczyk. Nadinspektor również.

- Może pan mieć rację, inspektorze - powiedział. - Wielu nauczycieli to przeżytki lat 60. i 70. i całego tego zepsucia. A fakt, że widziano ją w toalecie dla personelu...

To przesądziło sprawę. Nim zebranie dobiegło końca, Hodge zobowiązał się przeprowadzić w college'u dokładne śledztwo i otrzymał zgodę na wysłanie tam tajnych agentów.

- Niech mi pan dostarczy listę nazwisk, a ja przekażę ją naczelnikowi - powiedział nadinspektor. - Mając poparcie ministra spraw wewnętrznych, nie powinniśmy napotkać żadnych trudności, ale na litość boską, chcę mieć wyniki.

- Tak jest - odparł inspektor Hodge i poszedł do swojego pokoju jako człowiek szczęśliwy.

Flint również. Zanim opuścił komisariat, wpadł do szefa Wydziału Narkotyków z aktami Wilta.

- Jeśli ci się przydadzą... - mruknął, kładąc je na biurku z udawanym ociąganiem. - I gdybym mógł ci w czymś pomóc, po prostu powiedz.

- Tak zrobię - odparł Hodge, żywiąc dokładnie przeciwny zamiar; jeżeli coś było pewne, to to, że Flint nie będzie miał żadnych zasług w rozwiązaniu tej sprawy.

I tak, podczas gdy Flint pojechał do domu i nierozważnie wypił przed pójściem spać brązowe ale, Hodge siedział w swoim pokoju, planując kampanię, dzięki której miał uzyskać awans.

Dwie godziny później nadal tam był. Na ulicy zgasły latarnie i całe Ipford spało, ale Hodge pracował dalej, z umysłem zainfekowanym wirusem ambicji i nadziei. Uważnie przeczytał raport Flinta o odkryciu zwłok i tym razem nie mógł się przyczepić do wniosków inspektora. Potwierdzały je wyniki sekcji zwłok. Ofiara zmarła na skutek przedawkowania heroiny i formaliny. Ten ostatni fakt interesował Hodge'a najbardziej.

- Amerykański towar - wymamrotał kolejny raz i sprawdził w policyjnej bazie danych zasięg jego użycia. Minimalny, tak jak myślał. Niemniej był to środek wybitnie niebezpieczny, a w Stanach rozpowszechnił się tak szybko, że przewano go syfilisem narkomanii. Jeżeli rozgryzie tę sprawę, jego nazwisko stanie się znane, nie tylko w Ipford, lecz przez lorda namiestnika także ministrowi spraw wewnętrznych i...

Hodge dłuższą chwilę wędrował w marzeniach za swoim nazwiskiem, po czym wrócił do rzeczywistości i z wahaniem sięgnął po akta Wilta. Nie było go w Ipford w czasie Wielkiego Lalczynego Śledztwa, które zrujnowało karierę Flintowi, ale nasłuchał się o nim w stołówce, gdzie powszechnie przyznawano, że pan Henry Wilt przechytrzył inspektora: zrobił z niego idiotę.

Tak brzmiał typowy werdykt. Nikt jednak nie wiedział, o co tak naprawdę Wiltowi chodziło. Żaden człowiek przy zdrowych zmysłach nie wrzuca nadmuchiwanych lalek ubranych w rzeczy swojej żony do wykopów, w których zalewa je dwadzieścia ton betonu. A Wilt to zrobił. Z czego wynikało, że albo nie był przy zdrowych zmysłach, albo tuszował jakieś inne przestępstwo, odwracał podejrzenia. Tak czy owak. cokolwiek drań zma-

lował, wykręcił się z tego sianem i do kompletu załatwił Flinta. Więc Flint żywił do niego urazę. To też powszechnie przyznawano.

Tak więc Hodge zaczął czytać zapis przesłuchania Wilta z uzasadnioną nieufnością. I w miarę czytania rósł w nim ponury szacunek dla niego. Drań trzymał się swojej wersji wydarzeń, choć nie dawano mu spać i maglowano go na wszystkie strony. I doprowadził do tego, że Flint wyszedł na idiotę, którym był. Hodge to widział i rozumiał, dlaczego Flint ma z Wiltem na pieńku. Przede wszystkim jednak intuicja mówiła mu, że Wilt musiał być czegoś winien. Po prostu musiał. I był za sprytny dla starego safandudy. Dlatego Flint przekazał akta jemu. Chciał, żeby Wilt dostał za swoje. Zupełnie naturalne. Niemniej, znając stosunek Flinta do siebie, Hodge był zdumiony, że dał mu dokumenty, które pokazywały, jakim jest kretynem. Musiało chodzić o coś jeszcze. Stary umiał poznać, że przegrywa? Niewątpliwie wyglądał ostatnio na przegranego. Może więc oddanie akt było milczącą kapitulacją. Hodge uśmiechnął się do siebie. Zawsze wiedział, że jest lepszy, i że kiedyś będzie miał okazję tego dowieść.

Ponownie przestudiował raport o panie Lynchknowle. Metodom Flinta nie można było nic zarzucić i dopiero kiedy doszedł do fragmentu o pójściu Wilta do niewłaściwej toalety, inspektor Hodge dostrzegł, gdzie stary popełnił błąd. Przeczytał ten kawałek jeszcze raz. „Dyrektor zeznał, że Wilt poszedł do toalety na drugim piętrze, kiedy powinien był pójść na czwarte piętro”. I dalej: „Sekretarka Wilta, pani Bristol, zeznała, że kazała mu pójść do toalety dla żeńskiego personelu na czwartym piętrze. Twierdzi, że widziała tam dziewczynę”. Wszystko pasowało. Kolejne sprytne posunięcie pana Wilta, pójść do niewłaściwej toalety. Flint jednak tego nie zauważył albo nie przesłuchał drania. Hodge zanotował w pamięci, że musi sprawdzić ruchy Wilta. Ale dyskretnie, nie wolno go spłoszyć. Zrobił następne notatki: „Laboratorium chemiczne college'u, możliwa produkcja formaliny - zbadać” i „Źródło heroiny”. A przez cały czas część jego myśli biegła innym torem, wiodącym przez miejsca o romantycznie brzmiących nazwach, jak Złoty Trójkąt i Złoty Półksiężyc, dżungle Tajlandii, Birmy i Laosu, albo, w przypadku Złotego Półksiężycy, laboratoria Pakistanu, skąd heroina trafiała do Europy. W wyobraźni Hodge'a mali ciemnoskórzy mężczyźni: Pakistańczycy, Turcy, Irańczycy i Arabowie przybywali do Wielkiej Brytanii na osiołkach, ciężarówkami lub statkami, zawsze nocą: mroczne i złowieszcze ruchy zabójczych opiatów finansowane przez ludzi, którzy mieszkali w wielkich domach, należeli do elitarnych klubów i mieli jachty. Była też Sycylia i mafijne morderstwa popełniane niemal codziennie na ulicach Palermo. I wreszcie, „dealerzy” w Anglii, małe gnidy jak syn Flinta odsiadujący wyrok w Bedford. To także mogło tłumaczyć zmianę nastawienia inspektora: jego cholerny syn. Dominował jednak ro-

mantyczny obraz dalekich lądów i niegodziwych ludzi, a sam Hodge był na tym obrazie dominującą postacią, samotnym jeźdźcem toczącym wojnę z najbardziej zdraziecką formą przestępczości.

Rzeczywistość była oczywiście inna i pokrywała się z mentalną geografią Hodge'a tylko w trzech punktach: heroína istotnie pochodziła z Azji i z Sycylii, w Europie wybuchła straszliwa epidemia narkomanii, wyłącznie najbardziej energiczne i inteligentne działania policji oraz współpraca międzynarodowa mogły położyć jej kres. I właśnie w tym ostatnim punkcie, jako że inspektor mimo swego stopnia nie był ani inteligentny, ani obdarzony czymś szczególnym oprócz bujnej wyobraźni, pojawiały się trudności. Inteligencję mógł zastąpić tylko determinacją, determinacją człowieka, który nie ma rodziny ani zbyt wielu przyjaciół, ale ma misję. Tak więc inspektor Hodge pracował dalej, planując swe przyszłe działania. Była czwarta rano, kiedy wreszcie wyszedł z komisariatu i poczłapał za róg do swojego mieszkania, aby się kilka godzin zdrzemnąć. I nawet wtedy leżał w ciemnościach, rozkoszując się kłeską Flinta. „Drań dostanie to, na co zasłużył”, pomyślał tuż przed zaśnięciem.

Na drugim końcu Ipford, w małym domku ze schludnym ogródkiem wyróżniającym się okrągłym stawem z kamiennym amorkiem pośrodku, inspektor Flint zgodziłby się z tym sądem, choć miał kłopoty raczej przez brązowe ale i te cholerne pigułki niż przez plany Hodge'a. Jeśli chodzi o tę ostatnią kwestię, był zupełnie spokojny. Wrócił z ubikacji do łóżka, zastanawiając się, czy nie byłoby mądrze wziąć urlop. Należały mu się dwa tygodnie, a poza tym mógł uczciwie powiedzieć, że lekarz kazał mu zwolnić tempo. Wycieczka na Costa Brava albo może na Maltę? Szkopuł w tym, że w upale panią Flint brała chcica. Na szczęście ostatnio tylko w upale. Może Kornwalia byłaby lepsza. Z drugiej strony, szkoda byłoby nie zobaczyć kompromitacji Hodge'a, a jeśli Wilt nie wykołuje złamasa, nie był człowiekiem, za którego Flint go uważał. To się nazywa związać dwa koty za ogony!

I tak mijała noc. W więzieniu wciąż szalał wywołany przez Wilta kataklizm. O drugiej następny więzień z Bloku D podpalił swój materac, ale pewien przedsiębiorczy włamywacz zgasił go za pomocą kubła z ubikacji. W Bloku Ścisłego Nadzoru sytuacja była bardziej poważna. Zaniepokojony naczelnik znalazł w celi McCulluma dwóch całkowicie przytomnych więźniów, a ponieważ była to cela McCulluma, bał się wejść do środka bez co najmniej sześciu strażników obstawy, a sześciu strażników trudno było zebrać, po pierwsze, dlatego że podzielali obawy naczelnika, a po drugie, bo byli zajęci gdzie indziej. Pozbawiony wsparcia naczelnik musiał rozmawi-

ać z towarzyszami McCulluma przez drzwi celi. Nazywali się Byk i Bąk i pełnili funkcję goryli gangstera.

- Dlaczego nie śpicie? - zapytał naczelnik.

- Może byśmy spali, gdybyście nie włączyli cholernego światła - odparł Byk, który popełnił kiedyś ten błąd, że zakochał się do szaleństwa w żonie dyrektora banku, a ona, kiedy już spełnił jej nadzieje, mordując jej męża i rabując z sejfu pięćdziesiąt tysięcy funtów, puściła go kantem i wyszła za maklera giełdowego.

- Jak ty do mnie mówisz? - warknął naczelnik, nieufnie zaglądając do celi przez wizjer.

W przeciwieństwie do swoich goryli McCullum wydawał się głęboko spać. Jedną ręką zwisała mu bezwładnie z pryczy, a twarz miał nienaturalnie bladą. Jako że bydlak był zazwyczaj paskudnie rumiany, naczelnik trochę się przestraszył. Jeżeli ktoś mógł planować ucieczkę, to właśnie McCullum. A w takim razie byłby... Naczelnik nie bardzo wiedział jaki, ale na pewno nie pogrążony we śnie i upiornie szary na twarzy. Coś tu zdecydowanie śmierdziało.

- McCullum! - krzyknął naczelnik. - McCullum, obudź się.

McCullum ani drgnął.

- Ja pierniczę - wymamrotał Bąk, siadając na łóżku. - Co się, kurwa, dzieje?

- McCullum! - wrzasnął naczelnik. - Każę ci się obudzić.

- Co wam, kurwa, odbiło?! - ryknął Byk. - Jest środek cholernej nocy, a jakiś klawisz łązi i budzi ludzi. Chociaż siedzimy, mamy pieprzone prawa, i Macowi się to nie spodoba.

Naczelnik zacisnął zęby i policzył do dziesięciu. Jemu nie spodobało się to, że został nazwany klawiszem.

- Chcę się tylko upewnić, że pan McCullum dobrze się czuje - powiedział. - Będziecie uprzejmi go obudzić?

- A dlaczego miałby czuć się źle? - zapytał Bąk. Naczelnik zignorował pytanie.

- To zwykły środek ostrożności - odparł.

Fakt, że McCullum nie zdradza żadnych oznak życia - co więcej, jego wygląd był oznaką czegoś wręcz przeciwnego - zaczynał go naprawdę niepokoić. Gdyby chodziło o kogoś innego, otworzyłby drzwi i wszedł do celi. Ale bydlak mógł udawać, aby z pomocą Byka i Bąka unieszkodliwić strażnika, który wejdzie zobaczyć, co się stało. Przeklinając w myślach szefa straży za utrudnianie mu życia, naczelnik pospieszył po posiłki. Byk i Bąk wyrażali tymczasem swą opinię o pieprzonych klawiszach, którzy palą pieprzone światło całą pieprzoną noc, gdy nagle przyszło im do głó-

wy, że może jednak warto sprawdzić, co się dzieje z McCullumem. Po chwili Blok Ścisłego Nadzoru wypełniły ich przeraźliwe krzyki.

- On, kurwa, nie żyje! - wrzasnął Bąk, a Byk spróbował reanimować McCulluma, stosując coś, co uważał za masaż serca, a co w rzeczywistości polegało na rzuceniu się na ciało i wypchnięciu resztek powietrza z płuc ofiary.

- Zrób mu pieprzone sztuczne oddychanie - polecił Bąk, ale Byk miał zastrzeżenia. Jeśli McCullum żył, Byk wolał, aby po ocuceniu nie stwierdził, że jest całowany, a jeśli kołfnął, nie miał ochoty całować trupa.

- Pieprzony delikacik! - ryknął Bąk. kiedy Byk przedstawił mu swoje poglądy na tę kwestię. - Daj, ja to zrobię. - Ale i jego odstręczyła lodowatość ciała. - Cholerni mordercy! - zagrzmiał przez drzwi celi.

- Tym razem przegiąłeś - powiedział naczelnik. Znalazł szefa straży Blaggsa w biurze, delektującego się kawą. - Ty i twoje piekielne środki nasenne.

- Ja? - zapytał szef straży.

Naczelnik wziął głęboki oddech.

- Albo McCullum nie żyje, albo bardzo przekonująco udaje. Wezwij mi dziesięciu strażników i lekarza. Jeśli się pospieszymy, może zdążymy go odratować.

Pobiegli korytarzem, ale szef straży wciąż miał wątpliwości.

- Dałem mu taką samą dawkę jak wszystkim. Nabiera pana.

Nawet kiedy zebrali już dziesięciu strażników i stanęli pod drzwiami celi, Blaggs próbował opóźnić akcję.

- Niech pan lepiej zostawi to nam - powiedział. - Jeśli wezmą zakładników, powinien pan być na zewnątrz, żeby prowadzić negocjacje. Mamy do czynienia z trzema bardzo niebezpiecznymi ludźmi.

Naczelnik w to wątpił. Liczba dwa wydawała mu się bardziej prawdopodobna.

Szef straży Blaggs zajrzał do celi.

- Mógł pomalować sobie twarz kredą czy czymś. To stary spryciarz.

- I specjalnie zsikał się w spodnie? - zapytał naczelnik.

- Jak nasz Mac coś robi, to już robi - odparł szef straży. - Uwaga, odsuńcie się tam od drzwi. Wchodzimy.

Po chwili celi zappełniła się strażnikami i w zamieszaniu McCullum odniósł pośmiertne obrażenia, które bynajmniej nie poprawiły mu wyglądu. Bez wątpienia jednak nie żył. Nie trzeba było więziennego lekarza, aby stwierdzić zgon na skutek ostrego zatrucia barbituranami.

- Skąd mogłem wiedzieć, że Byk i Bąk oddadzą mu swoje kakao? - zapytał żałośnie szef straży na zebraniu zwołanym w gabinecie naczelnika w celu omówienia sytuacji.

- To jedna z kwestii, które będziesz musiał wyjaśnić śledczym z MSW - odparł naczelnik.

Przerwał im strażnik, który przybiegł z wiadomością, że w przemoczonym materacu McCulluma znaleziono skrytkę z narkotykami. Naczelnik podniósł oczy ku porannemu niebu i jęknął.

- I jeszcze jedno - ciągnął strażnik. - Pan Coven z dyżurki przypomniał sobie, gdzie słyszał głos tego faceta, który dzwonił. Wydawało mu się wtedy, że go poznaje. Mówi, że to pan Wilt.

- Pan Wilt? - powtórzył naczelnik. - Kim, do diabła, jest pan Wilt?

- To wykładowca z college'u czy skądś, który uczył McCulluma angielskiego. Przychodzi w każdy poniedziałek.

- Uczył McCulluma angielskiego? I Coven jest pewien, że to on dzwonił?

Mimo zmęczenia naczelnik błyskawicznie oprzytomniał.

- Na sto procent. Mówi, że głos wydawał mu się znajomy, i kiedy usłyszał, że Harry Fajerwerk kofnął, powiązał jedno z drugim.

Naczelnik również. Jeśli chciał uratować swą karierę, musiał działać zdecydowanie.

- Dobrze - powiedział, stawiając krzyżyk na faktach. - Przyczyną śmierci McCulluma było zatrucie pokarmowe. Tak brzmi wersja oficjalna. Po drugie...

- Jakie zatrucie pokarmowe? - zapytał więzienny lekarz. - Umarł na skutek przedawkowania fenobarbitalu i nie zamierzam napisać w akcie zgonu...

- A gdzie był ten fenobarbital? - warknął naczelnik. - W kakao. Jeśli kakao nie jest pokarmem, to nie wiem, co mogłoby nim być. Więc ogłaszamy, że to zatrucie pokarmowe. - Umilkł i popatrzył na lekarza. - Chyba że chce pan zyskać opinię konowała, który omal nie otruł trzydziestu sześciu więźniów.

- Ja? Nie miałem z tym nic wspólnego. To ten szaleniec uśpił drani.

Wskazał szefa straży Blaggsa, ale szef straży dostrzegł już furtkę.

- Na pana polecenie, doktorze - oświadczył, spoglądając znacząco na naczelnika. - Bez pańskiej zgody nie mógłbym się do paskudztwa dostać. Trzyma pan wszystkie leki pod kluczem, prawda? Zresztą zupełnie słusznie.

- Nie poleciłem panu... - zaczął lekarz, ale przerwał mu naczelnik.

- Obawiam się, że pan Blaggs ma rację. Oczywiście, jeśli chce pan podyskutować o tym z komisją śledczą, pana prawo. Prasa będzie miała uży-

wanie. Nagłówek WIĘZIENNY LEKARZ ZAMIESZANY W OTRUCIE SKAZAŃCA dobrze by wyglądał w „The Sun”.

- Skoro miał w celi narkotyki, możemy chyba powiedzieć, że umarł wskutek przedawkowania - odparł lekarz.

- Nie mów, że nie wróciłeś wczoraj późno, bo to nieprawda - powiedziała Eva.

Jedli śniadanie i Wilt był jak zwykle przesłuchiwany przez swoje najbliższe. Na ogół Eva pozostawiała psucie mu posiłku czworaczkom, które nagabywały go o komputery i biochemię albo inne kompletnie obce mu dziedziny, ale tego ranka wykorzystała brak samochodu, aby samej wtrącić kilka pytań.

- Nie powiedziałem, że nie wróciłem późno - odparł Wilt z ustami pełnymi muesli.

Eva nadal była zwolenniczką organicznej żywności i jej muesli domowej roboty, mające dostarczać odpowiednią ilość balastu, spełniało swoje zadanie z nadatkiem.

- To podwójne przeczenie - zauważyła Emmeline.

Wilt spojrzał na nią złowrogo.

- Wiem - mruknął i wypluł lupinę słonecznika.

- Więc nie mówiłeś prawdy - ciągnęła Emmeline. - Dwa przeczenia dają twierdzenie i nie powiedziałeś, że wróciłeś późno.

- Nie powiedziałem też, że nie wróciłem - odrzekł Wilt, zmagając się z logiką córki i próbując zdjąć sobie językiem z protezy płatek owsiany. Cholerstwa włączyły wszędzie.

- Przestań mamrotać - odezwała się Eva. - Chcę wiedzieć, gdzie jest samochód.

- Już ci mówiłem. Zostawiłem go na parkingu. Zadzwoń do mechanika, żeby podjechał i sprawdził, co się zepsuło.

- Mogłeś to zrobić wczoraj. Jak mam zabrać dziewczynki do szkoły?

- Możecie pójść pieszo - zasugerował Wilt. Wyjął z ust rodzynek i przyjrzał mu się z odrazą. - To organiczna forma transportu. Natomiast ta karłowata suszona śliwka prowadziła osiadłe życie i poniosła osadową śmierć. Ciekawe dlaczego zdrowa żywność tak często zawiera składniki, które mogą człowieka zabić. Weź na przykład...

- Nie interesują mnie twoje komentarze - ucięła Eva. - Jak zwykle próbujesz się wykręcić od odpowiedzi i jeśli chcesz, żebym...

- Pospacerowała? Dobrze by ci to zrobiło. Twoja tkanka lipidowa...

- Posłuchaj, Henry Wilcie... - zaczęła Eva, ale przerwała jej Penelope.

- Co jest lipidowe?

- Mamusia - odparł Wilt. - To przymiotnik od rzeczownika lipidy, czyli tłuszcze.

- Nie jestem tłusta - zaprotestowała Eva. - I jeśli sądzisz, że będę marnować mój cenny czas na chodzenie trzy mile tam i z powrotem dwa razy dziennie, to grubo się mylisz.

- Jak zwykle - powiedział Wilt. - Zapomniałem, że proporcje płciowe w tym domu czynią ze mnie jednostkową mniejszość.

- Co to są proporcje płciowe? - zapytała Samantha.

- Seks - odparł kwaśno Wilt i wstał od stołu.

Eva sapnęła z irytacji. Nie tolerowała rozmów o seksie przy czwororączkach.

- Łatwo ci mówić - powiedziała, wracając do kłopotliwej kwestii samochodu. - Musisz tylko...

- Złapać autobus - dokończył Wilt i wypadł z domu, zanim Eva zdążyła wymyślić stosowną odpowiedź.

Ostatecznie zamiast autobusu złapał Chestertona z Sekcji Elektroniki i przez całą drogę słuchał jego narzekań na cięcia finansowe i na to, że nie objęto nimi Komunikacji Językowej, aby pozbyć się tych obiboków z dawnych Przedmiotów Ogólnokształcących.

- Wiesz, jak jest - powiedział Wilt, wysiadłszy z samochodu pod college'em. - Musimy naprawiać niedokładności nauki.

- To takie istnieją? - zapytał Chesterton.

- Element ludzki - odparł enigmatycznie Wilt i przeszedł przez bibliotekę, aby dostać się do windy i swojego gabinetu. Element ludzki już tam na niego czekał.

- Spóźniłeś się, Henry - zaczął wicedyrektor. - Źle to wygląda.

Wilt przyjrzał mu się uważnie. Na ogół żył z wice dosyć dobrze.

- Pan też nie wygląda najlepiej - powiedział. - Prawdę mówiąc, gdyby się pan nie odezwał, pomyślałbym, że stoi tu trup. Za dużo figli z żoną?

Wicedyrektor się wzdrygnął. Po raz pierwszy oglądał ludzkie zwłoki na żywo, a nie w telewizji, i nie doszedł jeszcze do siebie po tym szoku. Próba złagodzenia go brandy bynajmniej mu nie pomogła.

- Gdzie, do diabła, byłeś wczoraj wieczorem?

- Tu i tam - odparł Wilt. - No wie pan.

Nie zamierzał informować wicedyrektora o swoich fuchach.

- Nie, nie wiem - burknął wice. - Dzwoniłem do ciebie i ciągle włączała się jakaś piekielna automatyczna sekretarka.

- To jeden z komputerów - wyjaśnił Wilt. - Czworaczki mają taki program, w gruncie rzeczy całkiem użyteczny. Kazał panu spieprzać?

- Kilka razy - odparł wicedyrektor.

- Te cuda nauki. Właśnie słuchałem, jak Chesterton wychwała...

- A ja właśnie słuchałem inspektora policji - przerwał mu wice. - Chce się z tobą widzieć w sprawie panny Lynchknowle.

Wilt przełknął ślinę. Panna Lynchknowle nie miała nic wspólnego z więzieniem. To nie trzymało się kupy. Zresztą nie mogliby go wytropić tak szybko. A może mogli?

- W sprawie panny Lynchknowle?

- Nie słyszałeś?

- O czym? - zapytał Wilt.

- To ona była tą dziewczyną ze strzykawką - odrzekł wicedyrektor. - Wczoraj wieczorem znaleziono ją martwą w kotłowni.

- O Boże - jęknął Wilt. - To okropne.

- Owszem. W każdym razie mieliśmy tu wczoraj najazd policji, a dziś rano zjawił się jakiś nowy facet. Chce z tobą porozmawiać.

Poszli korytarzem do gabinetu wicedyrektora. Inspektor Hodge czekał tam z jakimś drugim policjantem.

- To zwykła formalność, proszę pana - powiedział, kiedy wicedyrektor zamknął drzwi. - Przesłuchaliśmy już panią Bristol i kilku innych pracowników. Jak rozumiem, uczył pan zmarłą pannę Lynchknowle?

Wilt skinął głową. Poprzednie doświadczenia z policją radziły mu nie mówić więcej, niż musi. Dranie zawsze wybierali najbardziej obciążającą interpretację.

- Uczył ją pan angielskiego? - ciągnął inspektor.

- Tak, uczę starsze sekretarki angielskiego - potwierdził Wilt.

- W czwartki o 14.15?

Wilt ponownie skinął głową.

- A czy zauważył pan w niej coś dziwnego?

- Dziwnego?

- Coś, co mogłoby wskazywać na to, że jest uzależniona.

Wilt spróbował zebrać myśli. Jego zdaniem wszystkie starsze sekretarki były dziwne, zwłaszcza w kontekście college'u. Pochodziły z lepszych rodzin niż większość studentów i sprawiały wrażenie przeniesionych żywcem z lat pięćdziesiątych z tymi swoimi trwałymi ondulacjami i opowiadaniem o tatusiach, którzy byli zamożnymi farmerami albo kimś ważnym w wojsku.

- Sądzę, że różniła się trochę od pozostałych dziewcząt w grupie - powiedział w końcu. - Miała, na przykład, tę kaczkę.

- Kaczkę? - powtórzył Hodge.

- Przychodziła na zajęcia z kaczką, którą nazywała Humphrey. To cholernie upierdliwe mieć w klasie kaczkę, ale przypuszczam, że takie futrzane stworzenie mogło dodawać jej otuchy.

- Futrzane? - zdziwił się Hodge. - Kaczki nie są futrzane. Mają pióra.

- Ta nie miała - odparł Wilt. - Była pluszowa, jak miś. Nie sądzi pan chyba, że pozwoliłbym na to, aby żywa kaczka srała mi po całej sali?

Inspektor Hodge nie odpowiedział. Zaczynał nie lubić Wilta.

- Oprócz tego „uzależnienia” niczym szczególnym się nie wyróżniała. Nie miewała drgawek, nie była przesadnie blada i nie zdarzały się jej te nagłe zmiany nastroju, które są charakterystyczne dla ćpunów.

- Rozumiem - powiedział Hodge, powstrzymując się od uwagi, że pan Wilt wykazuje nadzwyczajną znajomość objawów. - Czy według pana w college'u jest dużo narkomanów?

- Nic o tym nie wiem - odparł Wilt. - Chociaż, jeśli się zastanowić, przy takiej liczbie studentów pewnie trochę się ich znajdzie. Ale jak mówię, nie wiem. To nie moje podwórko.

- Oczywiście - mruknął inspektor, udając szacunek.

- A teraz - powiedział Wilt-jeśli pan pozwoli, zajmę się pracą.

Inspektor pozwolił.

- Niewiele się dowiedzieliśmy - stwierdził sierżant, kiedy wyszli.

- Nigdy nie dowiesz się wiele od takiego sprytnego drania - odparł Hodge.

- Nie rozumiem, dlaczego nie spytał go pan o pójście do niewłaściwej toalety i o to, co powiedziała sekretarka.

Hodge się uśmiechnął.

- Jeśli naprawdę musisz wiedzieć, dlatego że nie chcę wzbudzać jego podejrzeń ani na jedną małą jotę. Sprawdziłem pana Wilta i wiem, jaki z niego cwaniak. Załatwił starego Flinta, prawda? A dlaczego? Już ci mówię. Bo Flint był na tyle głupi, że zrobił to, czego Wilt chciał. Przymknął go i wymaglował, i Wilt wykipił się z cholernego morderstwa. Mnie tak łatwo nie podejdzie.

- Ale on nie popełnił morderstwa. Zakopał tylko pieprzoną nadmuchiwana lalkę - zaoponował sierżant.

- Daj spokój. Nie sądzisz chyba, że bydlak zrobił to bez powodu? To kompletna bzdura. Wyciął jakiś inny numer i chciał mieć przykrywkę dla siebie i dla swojej ślubnej, więc zarzucił haczyk i Flint go potknął. Stary pierdoła nie rozpoznałby podpuchy, nawet gdyby mu ją podstawiono pod cholerny nos. Był tak zajęty piłowaniem Wilta o lalkę, że nie widział lasu spoza drzew.

Sierżant Runk spróbował się przebić przez ten gąszcz metafor, ale bez powodzenia.

- Mimo wszystko - powiedział w końcu - nie wydaje mi się, żeby był zamieszany w narkotyki, a już na pewno nie w handel. Gdzie ten styl ży-

cia? Nie ma dużego domu ani drogiego samochodu. Nie obraca się w wyższych sferach. Nic pasuje do schematu.

- Nie ma też dużej pensji - zauważył Hodge - więc może odkłada pieniądze na starość. Tak czy owak, weźmiemy go pod lupę i nawet się o tym nie dowie.

- Mamy znacznie lepsze tropy - ciągnął sierżant. - Co z tym greckim restauratorem, Macropolisem, czy jak mu tam, któremu założył pan podsłuch? Wiemy, że handlował heroiną. Jest też ten mechanik z Siltown Road. Zgarnęliśmy go za ciężkie uszkodzenie ciała, ale poza tym się szprycował.

- Mechanik siedzi. A Macropolis jest w tej chwili za granicą. Nie twierdzę, że to Wilt. Równie dobrze mogła zaopatrywać się w Londynie. Jeśli tak było, to nie nasza działka. Mówię tylko, że nie wykluczam żadnej możliwości, i pan Wilt mnie interesuje.

Gdy wrócili na komisariat, Wilt zainteresował inspektora jeszcze bardziej.

- Szef pana wzywa - powiedział mu sierżant dyżurny. - Jest u niego naczelnik więzienia.

- Naczelnik więzienia? - powtórzył Hodge. - Czego chce?

- Pana, mam nadzieję - odparł sierżant.

Hodge zignorował dowcip i poszedł do gabinetu nadinspektora. Kiedy pół godziny później stamtąd wyszedł, roilo mu się w głowie od poszlak, a wszystkie te poszlaki przedziwnie wskazywały na Wilta. Wilt uczył jednego z najsłynniejszych gangsterów w Anglii, teraz szczęśliwie martwego na skutek przedawkowania własnych narkotyków. (Naczelnik wykorzystał odkrycie heroiny w materacu McCulluma do zatuszowania sprawy fenobarbitalu, ku ogromnej uldze szefa straży Blaggsa.) Wilt był zamknięty z McCullumem dokładnie w tym czasie, gdy znaleziono zwłoki panny Lynchknowle. A co najważniejsze, niecałą godzinę później, dowiedziawszy się pewnie, że policja jest zajęta w college'u, zadzwonił anonimowo do więzienia z fałszywą informacją o zbiorowej ucieczce i McCullum natychmiast zażył śmiertelną dawkę.

Jeśli to wszystko nie składało się na coś zbliżonego do pewnika, że Wilt jest zamieszany w sprawę, Hodge nie nazywał się Hodge. A po dodaniu tego, co wiedział o przeszłości Wilta, zniknęły wszelkie wątpliwości. Pozostawała jednak drobna, acz kłopotliwa kwestia dowodów. Angielski system prawny miał tę wadę - wyjątkowo uciążliwą dla Hodge'a w jego krucjacie przeciwko przestępczemu podziemi - że po pierwsze, trzeba było nakłonić prokuratora do wniesienia oskarżenia, a po drugie, przedstawić dowody, które przekonają stetryczalego sędziego i ławę przysięgłych złożoną z naprawiaczy świata, w połowie zresztą przekupionych, że ewidentny

przestępca jest winny. A Wilt nie był ewidentnym przestępcą. Bydlak był subtelny jak diabli i posłanie go za kratki wymagało dowodów solidnych jak żelazobeton.

- Słuchajcie - powiedział Hodge do sierżanta Runka i kilkunastu wywiadowców tworzących jego prywatną ekipę śledczą. - Nie chcę żadnych wpadek, zatem operacja będzie tajna, ściśle tajna. Nikt, nawet nadinspektor, nie może wiedzieć, co się dzieje, więc nadamy jej kryptonim „Flint”. Dzięki temu nie będziemy wzbudzać podejrzeń. Na tym komisariacie każdy może powiedzieć „Flint” i przejdzie to bez echa. To po pierwsze. Po drugie, macie śledzić pana Wilta dwadzieścia cztery godziny na dobę. I jego ślubną też. Bez fuszerki. Od tej chwili chcę wiedzieć, co ci ludzie robią w każdej minucie dnia i nocy.

- Czy nie będzie to trochę trudne? - zapytał sierżant Runk. - W dzień i w nocy? Nie uda nam się dostać do domu...

- Założymy im podsłuch - uciał Hodge. - Później. Najpierw musimy uschematyzować ich życie w kategoriach czasoprzestrzennych. Jasne?

- Jasne - odpowiedzieli chórem wywiadowcy.

Schematyzowali już życie sprzedawcy ryb z frytkami i jego rodziny, podejrzewanych przez Hodge'a o handel ostrą pornografią; emerytowanego kierownika chóru - tym razem chodziło o małych chłopców; i niejakich państwa Pateli, wyłącznie z powodu ich nazwiska. W żadnym przypadku schematyzacja nie potwierdziła podejrzeń inspektora, w rzeczywistości całkowicie bezpodstawnych, ale ustalono ponad wszelką wątpliwość, że sprzedawca ryb z frytkami otwiera swoją jadłodajnię o godzinie osiemnastej codziennie oprócz niedziel, że kierownik chóru ma udany i energiczny romans z żoną pewnego zapaśnika, a do małych chłopców żywi awersję graniczącą z alergią, że państwo Pateli chodzą w każdy wtorek do biblioteki publicznej, pan Pateli pracuje jako pełnoetatowy wolontariusz z upośledzonymi umysłowo, a pani Pateli nosi obiady staruszkom i inwalidom. Inspektor Hodge usprawiedliwił to marnowanie czasu i środków, twierdząc, że trenowali przed prawdziwą akcją.

- I to jest to - ciągnął Hodge. - Może uda nam się zgarnąć winnych, zanim Scotland Yard przejmie dochodzenie. Rozpocznemy też inwigilację college'u. Zaraz tam jadę, żeby porozmawiać z dyrektorem. Tymczasem Pete i Reg mogą zająć pozycje w stołówce i w świetlicy i udawać, że są dorosłymi studentami, którzy wylecieli zapalenie trawy z Essex czy innego uniwersytetu.

W ciągu godziny Operacja Flint była w toku. Pete i Reg, ubrani w skórzane stroje, które wzbudziłyby niepokój najbardziej zatwardziałych Aniołów Piekła, przepłoszyli już studentów ze świetlicy swoim językiem i skwap-

liwym założeniem, że wszyscy biorą heroinę. W gabinecie dyrektorskim inspektor Hodge działał mniej więcej w ten sam sposób na dyrektora i wicedyrektora, którzy uznali sugestię, że college jest centrum dystrybucji narkotyków na całe Fenlandy, za wyjątkowo przerażającą. Nie uśmiechała się im również perspektywa przyjęcia piętnastu odpornych na wiedzę gli-niarzy jako dorosłych studentów.

- O tej porze roku? - zapytał dyrektor. - Jest, do cholery, kwiecień. W tym semestrze nie zapisujemy dorosłych studentów. Nie zapisujemy żadnych studentów. Rekrutacja jest we wrześniu. A poza tym, gdzie byśmy ich, do diabła, umieścili?

- Można powiedzieć, że są na praktykach nauczycielskich - podsunął wicedyrektor. - Mogliby wtedy chodzić na dowolne zajęcia i nie musieliby się odzywać.

- Mimo wszystko cholernie dziwnie by to wyglądało - odparł dyrektor. - I szczerze mówiąc, wcale mi się to nie podoba.

Ale zapewnienie inspektora, że to, co dzieje się w college'u, nie podoba się lordowi namiestnikowi, naczelnikowi policji i, co najgorsze, ministrowi spraw wewnętrznych, przeważało szalę.

- Boże, co za upiorny facet - powiedział dyrektor, kiedy Hodge wyszedł. - Myślałem, że Flint był bezduszny, ale ten jest jeszcze większym krwiożercą. Dlaczego policjanci są teraz tacy nieprzyjemni? Kiedy byłem chłopcem, byli zupełnie inni.

- Bo przestępcy byli inni - odrzekł wice. - Nie jest chyba zbyt miło łyknąć kulkę z obrzyna albo oberwać od chuligana koktajlem Mołotowa. Każdy mógłby stać się krwiożerczy.

- Dziwne - mruknął dyrektor i na tym poprzestał.

Tymczasem ekipa Hodge'a rozpoczęła obserwację Wiltów.

- Co się dzieje? - zapytał inspektor sierżanta Runka.

- Wilt jest nadal w college'u, więc nie mogliśmy zacząć go śledzić, a jego żona była tylko na zakupach.

Ale już kiedy sierżant wypowiadał te słowa, Eva zachowywała się w sposób mogący budzić podejrzenia. Otóż zadzwoniła wcześniej do doktor Korres i umówiła się na wizytę. Po części natchnął ją do tego artykuł, który przeczytała w wydawanym przez supermarket piśmie, poświęcony sekso-wi i menopauzie, a zatytułowany „Bez pauzy podczas pauzy, czyli częstotliwość po czterdziestce”, a po części widok Patricka Mottrama przy kasach, gdzie zazwyczaj zagadywał najładniejszą dziewczynę.

Tym razem popatrzył lubieżnie na czekolady i odszedł powoli ze szklanym wzrokiem człowieka, dla którego sekretne spożycie dużej tabliczki Fruit and Nut Cadbury'ego jest szczytem doznań zmysłowych. Jeśli doktor

Kores potrafiła sprowadzić najbardziej jurnego mężczyznę w Ipford do tak okropnego stanu, istniały wszelkie szanse, że uda jej się wywołać przeciwny efekt u Henry'ego.

Podczas lunchu Eva przeczytała artykuł jeszcze raz i, jak zawsze, gdy chodziło o seks, poczuła się zakłopotana. Wszystkie jej przyjaciółki najwyraźniej miały go bardzo dużo, albo ze swoimi mężami, albo z kimś innym, i musiało być to ważne, skoro ludzie tyle o tym pisali i mówili. Niemniej Evie wciąż trudno było to pogodzić ze sposobem, w jaki została wychowana. Oczywiście jej matka nie miała racji, nalegając, aby zachowała dziewictwo do ślubu. Teraz Eva to rozumiała. Na pewno nie postąpi tak z czworaczkami. Co nie znaczy, że pozwoli im wyrosnąć na takie lafiryndy jak Haltenówny, które mając czternaście lat, chodziły wymalowane i rozbijały się na motocyklach z łobuzami. Ale później, gdy skończą osiemnaście lat i pójdą na studia, wtedy będzie to w porządku. Lepiej niech zdobędą doświadczenie przed wyjściem za mąż zamiast wychodzić za mąż, żeby... Eva odpędziła tę myśl. To nie była prawda, nie wyszła za Henry'ego tylko dla seksu. Byli w sobie naprawdę zakochani. Naturalnie Henry dobierał się do niej, ale nigdy tak natarczywie jak inni chłopcy, z którymi się spotykała. Przeciwnie, był raczej nieśmiały i musiała go zachęcać. Mavis miała rację, nazywając ją kobietą z krwi i kości. Naprawdę lubiła seks, ale tylko z Henrym. Nie zamierzała mieć romansów, zwłaszcza teraz, z czworaczkami w domu. Dzieciom należało dawać przykład, a rozbite rodziny były złe. Z drugiej strony, złe były także rodziny, w których ojciec i matka nienawidzą się nawzajem i ciągle się kłócą. Więc rozwód też był dobry. Nie żeby coś takiego groziło jej małżeństwu. Po prostu miała prawo do bardziej satysfakcjonującego współżycia i jeśli Henry był zbyt wstydlivy, żeby poszukać pomocy, a na pewno był, powinna to zrobić za niego. Zadzwoiła więc do doktor Kores i dowiedziała się ku swemu zaskoczeniu, że może przyjść o wpół do trzeciej.

Eva wyszła z domu nieświadoma eskorty dwóch samochodów i czterech policjantów i na końcu Perry Road złapała autobus do Silton, gdzie znajdowała się zapyziała farma zielarska doktor Kores. „Pewnie nie ma czasu dbać o porządek,” pomyślała Eva, mijając kilka starych okien inspektowych i zardzewiały kulty walor. Niemniej była zdegustowana tym brakiem organizacji. Gdyby to był jej ogród, nie wyglądałby w ten sposób. Z drugiej strony, organiczne uprawy naprawdę rosły jak chciały, a doktor Kores miała opinię osoby ekscentrycznej. W rzeczy samej, Eva przygotowywała się na spotkanie z pomarszczoną staruszką w kraciastym szalu, gdy drzwi się otworzyły i stanęła w nich surowa kobieta w białym kitlu patrząca na nią przez dziwnie zabarwione ciemne okulary.

- Pani Wilt? - zapytała.

Czy „W” nie zabrzmiało trochę twardo? Zanim jednak Eva zdążyła się nad tym zastanowić, zaprowadzono ją korytarzem do gabinetu. Rozejrzała się lekliwie dookoła, a lekarka zajęła miejsce za biurkiem.

- Ma pani problemy? - zagaiła. Eva usiadła.

- Tak - odparła, bawiąc się nerwowo zapięciem torebki i żałując, że tu przyjechała.

- Mówiła pani przez telefon, że z mężem?

- Niezupełnie z nim - zaproponowała Eva, stając w obronie Henry'ego. W końcu nie była to jego wina, że nie miał tyle energii co inni mężczyźni. - Po prostu nie jest... tak aktywny, jak mógłby być.

- Aktywny seksualnie? Eva skinęła głową.

- Wiek? - ciągnęła doktor Kores.

- Henry'ego? Czterdzieści trzy lata. W marcu skończy czterdzieści cztery. Jest spod...

Ale doktor Kores najwyraźniej nie interesował Wiltowy znak zodiaku.

- Gradient seksualny był ostry?

- Chyba tak - odparła Eva, zastanawiając się, co to jest gradient seksualny.

- Maksymalna aktywność tygodniowa?

Eva zerknęła niespokojnie na lampę biurową i spróbowała pomyśleć.

- Tuż po ślubie... - Urwała.

- Proszę dalej - przynagliła ją doktor Kores.

- Pamiętam, że jednej nocy Henry zrobił to trzy razy - wypaliła Eva. - Ale oczywiście tylko raz.

Pióro lekarki znieruchomiało.

- Proszę wyjaśnić - powiedziała. - Najpierw mówi pani, że był aktywny seksualnie trzy razy w ciągu jednej nocy, a potem, że raz. Chodzi pani o to, że ejakulacja nastąpiła tylko podczas pierwszego stosunku?

- Nie bardzo wiem - odrzekła Eva. - Trudno się w tym zorientować, prawda?

Doktor Kores popatrzyła na nią z powątpiewaniem.

- Ujmę to inaczej. Czy podczas każdego klimaksu wystąpił skurcz penisa?

- Chyba tak. To było bardzo dawno i pamiętam tylko tyle, że następnego dnia czuł się okropnie zmęczony.

- W którym roku miało to miejsce? - spytała lekarka, zapisawszy: „Skurcz penisa niepewny”.

- W 1963. W lipcu - odparła Eva. - Pamiętam to dokładnie, bo byliśmy na wakacjach w górach i Henry powiedział, że doszedł do szczytu.

- Bardzo zabawne - stwierdziła ironicznie doktor Kores. - I było to jego maksymalne osiągnięcie seksualne?

- W 1970 roku w swoje urodziny zrobił to dwa razy...

- Plateau ile razy w tygodniu? - zapytała doktor Kores, najwyraźniej zdecydowana nie pozwolić, aby rozmowa przybrała choć odrobinę bardziej ludzki ton.

- Plateau? Dawniej raz albo dwa, ale teraz mam szczęście, jeśli zrobimy to raz na miesiąc, a czasem przerwy są jeszcze dłuższe.

Doktor Kores oblizwała swe wąskie wargi i odłożyła pióro.

- Proszę pani - powiedziała, pochylając się do przodu i składając palce wskazujące i kciuki w trójkąt. - Zajmuję się wyłącznie problemami kobiet w zdominowanym przez mężczyzn kontekście społecznym i, jeśli mam być szczerą, uważam pani postawę wobec męża za bezzasadnie uległą.

- Naprawdę? - zapytała Eva, nieco poweselawszy. - A Henry stale narzeka, że nim dyryguję...

- Wystarczy - ucięła lekarka, jakby się wzdrygając. - Opinie pani męża ani jego osoba nie interesują mnie w najmniejszym stopniu. Jeśli interesują panią, pani sprawa. Moją sprawą jest pomóc pani jako całkowicie odrębnej istocie i, prawdę mówiąc, uważam pani samoobiektywizację za wysoce niesmaczną.

- Przepraszam - wybąkała Eva, zastanawiając się, co to, do licha, jest samoobiektywizacja.

- Na przykład, kilkakrotnie stwierdziła pani, cytuję, „Zrobił to trzy razy” i „Zrobił to dwa...”

- Kiedy naprawdę to zrobił - zaprotestowała Eva.

- Co zrobił? I komu? Sobie? - spytała gwałtownie lekarka.

- Nie to miałam na myśli... - zaczęła Eva, ale doktor Kores perorowała już dalej.

- Samo słowo „zrobił” wyraża milczącą akceptację małżeńskiego gwałtu. Co by powiedział pani mąż, gdyby chciała pani zgwałcić jego?

- Chyba by mu się to nie spodobało - odparła Eva. - Henry jest drobnej budowy i...

- Wybacz pani - przerwała jej lekarka - ale wielkość nie ma tu nic do rzeczy. Dominującą kwestią jest pani postawa. Mogę pani pomóc wyłącznie pod warunkiem, że podejmie pani zdecydowany wysiłek, aby zobaczyć siebie jako liderkę tego związku.

Oczy za niebieskawymi szklami zwięziły się w szparki.

- Na pewno spróbuję - powiedziała Eva.

- Uda się pani - odrzekła lekarka szeleszczącym głosem. - To podstawa. Proszę powtarzać za mną: „Uda mi się”.

- Uda mi się.

- Mam przewagę - ciągnęła doktor Kores.

- Tak.

- Nie „tak” - syknęła lekarka, patrząc na Evę jeszcze bardziej osobiwie.
- „Mam przewagę”.
- Mam przewagę - posłusznie powtórzyła Eva.
- A teraz razem.
- Razem.
- Nie. Ma pani powtórzyć oba zdania razem. Najpierw...
- Uda mi się - wyrecytowała Eva, pojmując wreszcie, o co chodzi. - Mam przewagę.
- Jeszcze raz.
- Uda mi się. Mam przewagę.
- Dobrze - powiedziała lekarka. - Jeżeli mam pani pomóc, musi pani przyjąć właściwą postawę psychiczną. Będzie pani powtarzać te autoinstrukcje trzysta razy dziennie. Rozumie pani?
- Tak - odparła Eva. - Mam przewagę. Uda mi się.
- Jeszcze raz - poleciała lekarka.

Przez następne pięć minut Eva siedziała jak przyrośnięta do krzesła i powtarzała te twierdzenia, a doktor Kores patrzyła jej w oczy nieruchomym wzrokiem.

- Wystarczy - orzekła w końcu. - Oczywiście rozumie pani, co to znaczy?

- Mniej więcej - odparła Eva. - Chodzi o to, że kobiety powinny objąć przywódczą rolę w świecie, tak jak mówi Mavis Mottram, prawda?

Doktor Kores odchyliła się do tyłu, a jej twarz ozdobił blady uśmiech.

- Proszę pani - powiedziała - od trzydziestu pięciu lat prowadzę nieprzerwane badania nad seksualną wyższością samic w świecie ssaków. Już w dzieciństwie zainspirowały mnie rytuały godowe arachnidae. Moja matka była swego rodzaju ekspertem w tej dziedzinie, zanim, pojmuje pani, tak niefortunnie poślubiła mojego ojca.

Eva skinęła głową. Na szczęście dla siebie nie uchwyciła wzmianki o pajakach, ale była zbyt zafascynowana, aby nie zrozumieć, że doktor Kores mówi o czymś ważnym. Musiała myśleć o przyszłości czworaczków.

- Ja jednak - podjęła lekarka - zajęłam się wyższymi formami życia, a w szczególności nieskończoną przewagą samic w sferze przetrwania. Na każdym szczeblu rozwoju samce pełnią rolę podrzędną, a samice demonstrują zdolność adaptacji umożliwiającą zachowanie gatunku. Tylko w świecie ludzi, i to wyłącznie w kontekście społecznym, a nie czysto biologicznym, ten porządek został odwrócony. Ponosi za to winę konkurencyjno-militarystyczne społeczeństwo, w którym brutalna samcza siła znalazła usprawiedliwienie dla zdominowania kobiecości. Zgodzi się pani ze mną?

- Chyba tak - odrzekła Eva, która trochę się zgubiła w tym wywodzie, ale rozumiała jego zasadniczy sens.

- To dobrze - powiedziała doktor Kores. - I stoimy teraz w obliczu światowego kryzysu, ponieważ samcze wypaczenia rozwoju nauki dla celów wojskowych grożą zagładą życia na Ziemi. Tylko my, kobiety, możemy uratować przyszłość. - Umilkła na chwilę, aby Eva podelektowała się tą perspektywą. - Na szczęście nauka dała nam również do rąk stosowne narzędzia. W obecnej dobie automatyzacji czysto fizyczna siła samców straciła znaczenie. Mężczyźni stali się zbędni i w epoce komputerów władzę przejmą kobiety. Oczywiście czytała pani o badaniach przeprowadzonych w St. Andrews. Dowiodły one, że kobiety mają większe corpus callosum niż mężczyźni.

- Corpus callosum? - powtórzyła Eva.

- Sto milionów komórek, włókna nerwowe łączące półkule mózgu, niezbędne w procesie przepływu informacji. W pracy z komputerem ta wymiana ma zasadnicze znaczenie. Mózg będzie w erze elektroniki tym, czym były mięśnie w epoce...

Doktor Kores perorowała przez następne dwadzieścia minut, mieszając racjonalne argumenty i stwierdzenia oczywistych faktów z niemal obłąkańczym entuzjazmem dla wszelkich przejawów kobiecości. Evie, zawsze bezkrytycznie akceptującej cudzy zapach, wydawało się, że ucieleśnia wszystko to, co było najbardziej godne podziwu w intelektualnym świecie, do którego ona sama nigdy nie należała. Dopiero kiedy lekarka jakby opadła na krzesło, Eva przypomniała sobie, po co przyszła.

- Wracając do Henry'ego... - wtrąciła niepewnie.

Doktor Kores jeszcze przez chwilę opisywała przyszłość. w której prawdopodobnie nie było już mężczyzn, po czym zmusiła się do powrotu do teraźniejszości.

- A tak, pani mąż - powiedziała z roztargnieniem. - Chce pani pobudzić go seksualnie?

- Jeśli to możliwe - odparła Eva. - Henry nigdy nie...

Doktor Kores przerwała jej ochryłym śmiechem.

- Proszę pani - rzekła - czy rozważyła pani ewentualność, że niski poziom aktywności seksualnej męża może być jedynie pozorny?

- Nie bardzo rozumiem.

- Inna kobieta?

- O nie - zachnęła się Eva. - Henry taki nie jest. Naprawdę taki nie jest.

- Utajony homoseksualizm?

- Gdyby był z tych, nie ożeniłby się ze mną, prawda? - odparła Eva, teraz już szczerze oburzona.

Doktor Kores popatrzyła na nią krytycznie. W takich chwilach jej wiara we wrodzoną wyższość kobiet przechodziła ciężką próbę.

- Historia zna takie przypadki - wycodziła przez zęby i miała już przystąpić do omówienia życia rodzinnego Oscara Wilde'a, kiedy zadzwonił dzwonek u drzwi. - Przepraszam na moment - powiedziała i pośpiesznie wyszła z gabinetu. Wróciła innymi drzwiami. - Moja apteka - wyjaśniła. - Mam tu nalewkę, która może podziałać zbawiennie. Wymaga jednak ścisłego dawkowania. Jak wiele leków zawiera bowiem składniki, których zażycie w nadmiarze wywołuje niepożądane rezultaty. Ostrzegam więc, aby nie przekraczała pani zalecanej dawki, czyli pięciu mililitrów. Załączyłam strzykawkę, aby ułatwić dokładne odmierzanie preparatu. W tych granicach nalewka da upragniony efekt. W przypadku ich przekroczenia nie ponoszę odpowiedzialności za skutki. Oczywiście zachowa pani najwyższą dyskrecję. Jako naukowiec nie mogę odpowiadać za niewłaściwe zastosowanie sprawdzonej formuły.

Eva schowała plastikową butelkę do torebki i wyszła. Kiedy mijala zarzewiały kultywator i połamane inspekty, w jej głowie kłębił się wir sprzecznych wrażeń. Doktor Kores była jakaś dziwna. Nie, żeby nie miała racji, Eva dostrzegała w jej słowach spory sens. Chodziło raczej o sposób, w jaki je wypowiadała, i o jej zachowanie. Będzie musiała porozmawiać o tym z Mavis. Niemniej stojąc na przystanku, złapała się na tym, że powtarza niemal bezwiednie: „Mam przewagę. Uda mi się”.

Sto jardów dalej dwóch obserwujących ją tajniaków inspektora Hodge'a zanotowało czas i miejsce. Schematyzacja życia Wiltów rozpoczęła się na dobre.

Przez dwa dni ekipy śledcze nie spuszczały Wiltów z oka i meldowały o wszystkim inspektorowi Hodge'owi, który uważał wyniki tej inwigilacji za oczywiste. Wizyta Ewy u doktor Kores wydała mu się szczególnie obciążająca.

- Pojechała na farmę zielarską w Silton? - zapytał z niedowierzaniem w głosie.

Po czterdziestu ośmiu bezsennych godzinach i tyłuż filiżankach kawy sam chętnie skorzystałby z dobrodziejstw medycyny alternatywnej. - I wyszła stamtąd z dużą plastikową butelką?

- Na to wygląda - odparł śledczy. Wysilek dotrzymywania kroku Evie dał mu się we znaki. Podobnie jak czworaczki. - Ale równie dobrze mogła już z nią wejść. Widzieliśmy tylko, jak wyjmowała ją z torebki, kiedy czekała na autobus.

Hodge zlekceważył tę logikę. Jego zdaniem podejrzani, którzy odwiedzali farmy zielarskie i mieli potem butelki w torebkach, byli zdecydowanie winni.

Zainteresowała go również Mavis Mottram, która zjawiała się na Oakhurst Avenue 45 późniejszym popołudniem.

- Obiekt odbiera dzieci ze szkoły o 15.30 i wraca do domu - przeczytał z pisemnego raportu. - Przyjeżdża jakaś kobieta samochodem marki Mini.

- Zgadza się.

- Jak wyglądała?

- Niewyjęta czterdziestka. Ciemne włosy. Pięć stóp cztery cale wzrostu. Niebieska kurtka z kapturem, spodnie khaki i getry. Weszła o 15.55, wyszła o 16.20.

- Więc mogła zabrać tę butelkę?

- Pewnie mogła, ale nie miała żadnej torby, a w ręku jej nie niosła.

- I co dalej?

- Nic, aż o 17.30 wrócił do domu ten sąsiad. To wszystko jest w moim raporcie.

- Wiem - warknął Hodge - ale chcę mieć pełen obraz. Skąd wiedziałeś, że nazywa się Gamer?

- Musiałbym być głuchy jak pień, żeby nie usłyszeć, tak się na niego darła.

- Więc co się stało?

- Ten cały Gamer wszedł pod 43 - podjął śledczy - i pięć minut później wypada stamtąd jak oparzony, a jego żona za nim, próbując go zatrzymać. Pędzi na tyły domu, żeby wejść boczną furtką do ogródka Wiltów, łapie za skobel i ryms, leży na plecach w klombie, trzęsąc się, jakby miał taniec św. Wita, a jego ślubna wrzeszczy, że go zabili.

- Chcesz powiedzieć, że furtka była pod prądem? - zapytał Hodge.

- Ja nic nie mówię. On to powiedział. To znaczy, kiedy odzyskał mowę i przestał się trząść. Wiltowa wychodzi z domu i pyta, co robi w jej kwiatkach. Gamer zdążył już wstać i krzyczy, że jej pieprzone żoły - jego słowa, nie moje - chciały go zamordować, bo ukradły jakąś figurkę, którą miał w ogródku, postawiły ją u siebie i podłączyły furtkę do pieprzonego prądu. A Wiltowa na to, żeby nie był niemądry i łaskawie nie używał wulgarne go języka przy jej córkach. Potem zrobiło się zamieszanie, bo on żądał, żeby oddała mu tę figurkę, a ona mówiła, że jej nie ma i nie chciałyby mieć, nawet gdyby jej ją podarował, bo jest brzydka.

- Brzydka? - powtórzył Hodge. - Była aż tak brzydka?

- Nie w tym sensie. To był taki siusiający chłopczyk. Stał pośrodku stawu. Pani Wilt praktycznie nazwała Gamera zboczeńcem. A przez cały ten czas żona go błaga, żeby dał już spokój, mniejsza o tę sakramencką figurkę, kupią sobie drugą, kiedy sprzedadzą dom. To go dopiero wkurzyło. „Sprzedamy dom?!“ ryknął. „Komu? Nawet kompletny wariat nie chciałby mieszkać obok tych cholernych Wiltów“. Pewnie miał co do tego rację.

- I jak to się skończyło? - zapytał Hodge, notując w pamięci, że miałyby w panu Gamerze sprzymierzeńca.

- Wiltowa nalegała, żeby wszedł do ich domu i sam zobaczył, że jego figurki tam nie ma, bo nie pozwoli, aby jej córki nazywano złodziejkami.

- I Gamer wszedł? - zdziwił się Hodge.

- Bardzo niechętnie - odparł śledczy. - Wszedł cały rozdygotany, przysięgając, że na pewno ją u Wiltów widział, a jeśli pani Wilt nie wierzy, że te smarkule chciały go zabić, to dlaczego wszystkie lampy w domu mrugają. Tym ją zaskoczył. I dodał jeszcze, że do metalowej wycieraczki pod furtką jest przywiązany kawałek drutu.

- Ciekawe - mruknął Hodge. - A był?

- Musiał być, bo Wiltowa strasznie się zacukała, zwłaszcza kiedy Gamer oświadczył, że pokaże go policji jako dowód.

- Trzymają w domu butelkę narkotyków - powiedział Hodge. - Nic dziwnego, że zabezpieczyli tylne wejście. - W jego umyśle powstała nowa teoria. - Mówię ci, tym razem coś mamy.

Nawet nadinspektor, który podzielał opinię Flinta, że Hodge stanowi większe zagrożenie dla społeczeństwa niż połowa aresztowanych przezeń drobnych przestępców, i chętnie przesunąłby drania do drogówki, musiał przyznać, że ten jeden raz inspektor wydaje się być na właściwym tropie.

- Ten cały Wilt musi mieć coś na sumieniu - wymamrotał, studiując raport o niezwykłych poczynaniach Wilta w czasie przerwy na lunch.

W rzeczywistości Wilt rozglądał się za zbirami McCulluma i kiedy wyszedł z college'u, żeby zabrać swojego escorta spod „Dmuchacza Szkła”, niemal natychmiast zauważył dwóch śledczych w nie oznakowanym samochodzie i zaczął stosować uniki, które podpatrzył w starych telewizyjnych kryminałach. W drodze do pubu skręcał raz po raz w boczne ulice i znikał w zaułkach, kupił w zatłoczonych sklepach kilka do niczego mu niepotrzebnych artykułów, a nawet wpadł do Bootsa przednim wejściem i wypadł tylnym.

- Wrócił na parking college'u o 14.15 - przeczytał nadinspektor. - Gdzie był?

- Niestety, zgubiliśmy go - odparł Hodge. - Ten facet jest ekspertem. Wiemy tylko tyle, że nadjechał bardzo szybko i dosłownie pobiegł do budynku.

Zachowanie Wilta po opuszczeniu przezeń college'u wieczorem również nie mogło wzbudzić wiary w jego niewinność. Człowiek, który wychodzi frontową bramą w ciemnych okularach, płaszczu z postawionym kołnierzem i peruce (Wilt pożyczył ją z Sekcji Teatralnej) i siedzi pół godziny na ławce na skwerze, obserwując ruch uliczny, a potem wraca chyłkiem na

parking college'u, zdecydowanie podpadał pod kategorię wysoce podejrzanych.

- Myśli pan, że na kogoś czekał? - zapytał nadinspektor.

- Raczej próbował kogoś ostrzec - odrzekł Hodge. - Mają pewnie umówione sygnały. Jego wspólnik przejeżdża obok samochodem, widzi go na ławce i wszystko już wie.

- Tak, to możliwe - przyznał nadinspektor, któremu nie przychodziło do głowy żadne inne sensowne wyjaśnienie. - Więc możemy się spodziewać szybkiego aresztowania. Zawiadomię naczelnika.

- Proszę mu tylko powiedzieć, że jesteśmy na tropie - zastrzegł Hodge. - Jeśli mam rację, jest to przestępczy syndykat o wysokim stopniu organizacji. Nie chcę się spieszyć z aresztowaniem, kiedy ten człowiek może nas doprowadzić do głównego źródła.

- Zgoda - odparł ponuro nadinspektor.

Miał nadzieję, że nieudolność Hodge'a dostarczy mu pretekstu do wezwania posiłków z centrali. Tymczasem zanosilo się na to, że cholernik odniesie spektakularny sukces. A potem na pewno wystąpi o awans i dostanie go. Oby gdzie indziej. Jeśli nie, nadinspektor sam poprosi o przeniesienie. Zresztą zawsze istniała szansa, że Hodge coś namiesza.

W college'u Hodge namieszał. Obecność tajniaków udających studentów lub, z jeszcze mniejszym powodzeniem, kandydatów na nauczycieli, działała destrukcyjnie na morale personelu.

- Mam tego dość - powiedział dyrektorowi doktor Cox, szef Sekcji Nauk Ścisłych. - Jest dostatecznie ciężko próbować czegoś nauczyć tych głąbów, którzy się nam trafiają, nawet kiedy nie siedzi mi na zajęciach facet nie odróżniający palnika Bunsena od miotacza ognia. Omal nie spalił laboratorium na trzecim piętrze. A co do jego kwalifikacji nauczycielskich...

- Nie musi nic mówić. W końcu są tu tylko po to, żeby obserwować.

- W teorii - odparł doktor Cox. - W praktyce cholernik ciągnie moich studentów w ciemne kąty i pyta, czy mogą mu załatwić formalinę. Można by pomyśleć, że prowadzę prosektorium.

Dyrektor wyjaśnił mu ten termin.

- Boże Świąty, nic dziwnego, że chciał zostać wczoraj po zajęciach i sprawdzić, jakie mamy chemikalia. Tak samo było w Sekcji Botaniki.

- Skąd mogłam wiedzieć, że to policjantka? - skarżyła się panna Ryfield. - Zresztą nie miałam pojęcia, że studenci hodują w szklarniach marihuanę jako roślinę doniczkową. Nie można mnie za to winić.

Jedynie doktor Board patrzył na sytuację filozoficznie. Ponieważ żaden z policjantów nie mówił po francusku, jego sekcja uniknęła inwazji.

- W końcu mamy rok 1984 - oświadczył na zebraniu zwołanym naprędce w pokoju nauczycielskim - i na ile mogę to ocenić, dyscyplina ogrom-

nie się poprawiła.

- Nie w mojej sekcji - odparł pan Spirey z Budownictwa.

- Tynkarze i murarze pobili się pięć razy, a pan Gilders jest w szpitalu z ranami od łańcucha rowerowego.

- Od łańcucha rowerowego?

- Ktoś nazwał tego młodego zbira z policji pieprzonym psem i pan Gilders próbował interweniować.

- Rozumiem, że praktykanci zostali aresztowani za posiadanie niebezpiecznej broni? - zapytał doktor Mayfield.

Kierownik Budownictwa potrząsnął głową.

- To policjant miał łańcuch. Ale nieźle mu potem dosunęli - dodał z niejaką satysfakcją.

Najbardziej energicznie prowadzono śledztwo wśród starszych sekretarek.

- Jeżeli potrwa to dłużej, wyniki egzaminów będą oplakane - stwierdziła panna Diii. - Nie macie państwo pojęcia, jak fatalnie to wywoływanie dziewcząt z zajęć na przesłuchania wpływa na ich maszynopisanie. Można by pomyśleć, że college jest siedliskiem występku.

- Dobrze by było - odparł doktor Board. - Ale prasa jak zwykle wszystko pokręciła. Chociaż trzecia strona jest niezła.

I wyjął egzemplarz „The Sun” z rozebranyim zdjęciem panny Lynchk-nowle zrobionym poprzedniego lata na Barbadosie. Podpis głosił ŚMIERĆ NARKOTYKOWEJ DZIEDZICZKI W COLLEGE'U.

- Tak, gazety wypisują skandaliczne rzeczy - powiedział dyrektor członkom Rady Szkolnej. Spotkał się z nimi, aby pomówić o bliskiej wizytacji inspektorów Jej Królewskiej Mości, ale pierwsze miejsce w porządku obrad zajął nowy kryzys. - Chciałbym jednak podkreślić, że jest to pojedynczy incydent i...

- Nie jest - przerwał mu radny Blighte-Smythe. - Mam tu listę katastrof, które wydarzyły się w college'u, odkąd zajmuje pan swoje stanowisko. Najpierw była ta okropna historia z wykładowcą Przedmiotów Ogólnokształcących...

Pani Chatterway, mająca niezmordowanie postępowe poglądy, interweniowała.

- Nie sądzę, aby grzebanie się w przeszłości mogło nam przynieść jakąkolwiek korzyść.

- Dlaczego? - zapytał pan Squidley. - Najwyższy czas pociągnąć kogoś do odpowiedzialności za to, co się tam wyrabia. Jako płatnicy podatków i odsetek mamy prawo wymagać, aby nasze dzieci odbierały porządne, praktyczne wykształcenie.

- Ile dzieci ma pan w college'u? - odpaliła pani Chatterway.

Pan Squidley spojrział na nią z niesmakiem. - Żadnego, dzięki Bogu. Nie pozwoliłbym moim smarkaczom nawet się do tej budy zbliżyć.

- Gdybyśmy mogli przejść do rzeczy... - poprosił główny inspektor szkolny.

- Właśnie do niej przechodzę - odparł pan Squidley. - Rzecz w tym, że jako pracodawca nie płacę grubej forsy po to, żeby pięciorzędne uniwersyteckie wypierdki robiły mi z praktykantów ćpunów.

- Wypraszam sobie - zachnął się dyrektor. - Po pierwsze, panna Lynchkownle nie była praktykantką, a po drugie, mamy pełnych poświęcenia...

- Niebezpiecznych pomyleńców - dokończył radny Blighte-Smythe.

- Chciałem powiedzieć „nauczycieli”.

- Co niewątpliwie tłumaczy, dlaczego sekretarz ministra edukacji domaga się wyznaczenia komisji, która zbada kwestię nauczania marksizmu-leninizmu w Sekcji Przedmiotów Ogólnokształcących. Jeżeli nie dowodzi to wyraźnie, że coś jest nie w porządku...

- Protestuję. Stanowczo protestuję - zawołała pani Chatterway. - Prawdziwą przyczyną problemów są cięcia budżetowe. Jeżeli mamy wpoić naszej młodzieży poczucie odpowiedzialności społecznej i troski o...

- Boże, znowu to samo - wymamrotał pan Squidley. - Gdyby połowa łobuzów, których muszę zatrudniać, umiała chociaż pisać i czytać...

Dyrektor zerknął znacząco na głównego inspektora i poczuł się pewniej. Rada Szkolna nie doszła do żadnych rozsądnych wniosków. Nigdy do nich nie dochodziła.

Na Oakhurst Avenue 45 Wilt wyglądał niespokojnie przez okno. Odkąd w czasie przerwy na lunch odkrył, że jest śledzony, był cały w nerwach. Jechał do domu ze wzrokiem tak mocno wbitym we wsteczne lusterko, że nie zauważył zmiany świateł na Nott Road i rąbnął w kufer wozu policjantów, którzy na wszelki wypadek eskortowali go od przodu. Wynikła z tego wymiana zdań z dwoma tajniakami, na szczęście nie uzbrojonymi, utwierdziła go w przekonaniu, że jego życiu zagraża niebezpieczeństwo.

Eva bynajmniej nie okazała mu współczucia.

- Nigdy nie patrzysz, gdzie jedziesz - powiedziała, kiedy wyjaśnił, dlaczego samochód ma wgnieciony zderzak i chłodnicę. - Jesteś po prostu beznadziejny.

- Sama czułabyś się beznadziejnie, gdybyś miała taki dzień jak ja - odparł Wilt, otwierając butelkę piwa domowej roboty.

Pociągnął łyk i spojrział nieufnie na szklanekę.

- Musiałem nie dodać cholernego cukru - wymamrotał, ale Eva zaczęła szybko opowiadać o incydencie z panem Gamerem.

Wilt słuchał jej jednym uchem. Jego piwo nie miało zazwyczaj takiego smaku i na ogół nie było aż tak zwietrzałe.

- Jakby dziewczynki w ich wieku mogły przenieść taką okropną rzeźbę przez płot - prychnęła Eva, kończąc swój wyjątkowo nieobiektywny opis wypadków. Wilt oderwał uwagę od piwa.

- Czy ja wiem? To może tłumaczyć, co robiły onegdaj z wielokrążkiem pana Boykinsa. Byłem ciekaw, skąd to nagłe zainteresowanie fizyką.

- Ale jak mógł twierdzić, że chciały go śmiertelnie porazić prądem? - oburzyła się Eva.

- A dlaczego w całym cholernym domu nie było światła? - zapytał Wilt.

- Bo wysiadły korki. Tylko mi nie mów, że mysz znowu weszła do tosterka, bo sprawdziłem. Zresztą tamta mysz nie wywalila korków i gdybym nie zaprotestował przeciwko spożyciu na śniadanie nieświeżych mysich zwłok zamiast grzanek z marmoladą, niczego byś nie zauważyła.

- To było zupełnie co innego - odparła Eva. - Biedactwo szukało tam okruszków. Dlatego umarło.

- Pan Gamer też o mało nie umarł, bo szukał swojej chrzanionej rzeźby ogrodowej - odparował Wilt. - I mogę ci powiedzieć, co podsunęło twoim pociechom ten pomysł: ta sakramencka mysz. Któregoś dnia skonstruują krzesło elektryczne i po powrocie do domu zastaną małego Radleya z rondlem na głowie, podłączonego grubym kablem do kontaktu i martwego jak dodo.

- Nigdy by czegoś takiego nie zrobiły - zaproponowała Eva. - Są na to za mądre. Zawsze patrzysz na wszystko z najgorszej strony.

- Patrzę na rzeczywistość - odrzekł Wilt - i widzę cztery zabójcze dziewczyny, przy których Myra Hindley sprawia wrażenie świetnej kandydatki na przedszkolankę.

- Jesteś po prostu okropny - stwierdziła Eva.

- To cholerne piwo również - mruknął Wilt, otwierając drugą butelkę.

Wypił łyk i zaklął, ale jego słowa zagłuszył malakser, który Eva włączyła, aby pokroić jabłka i marchew, bo surówki bardzo służyły czworaczkom, jak również po to, by dać wyraz swojej irytacji. Henry nigdy nie umiał przyznać, że dziewczynki są zdolne, inteligentne i dobre. Dla niego zawsze były złe.

Podobnie jak piwo. Dodanie pięciu mililitrów afrodyzjaku doktor Kores do wszystkich butelek najlepszego Wiltowego bitlera zdecydowanie zmieniło jego smak i pozbawiło go gazu.

- Musiałem nie dokręcić zakrętek w całej tej partii - wymamrotał Wilt, kiedy malakser umilkł.

- Co powiedziałaś? - spytała Eva nieprzyjemnym tonem.

Zawsze podejrzewała, że Wilt wykorzystuje hałas malaksera i młynka do kawy, aby wyrażać swe prawdziwe myśli.

- Zupełnie nic - odrzekł Wilt, woląc nie poruszać tematu piwa.

Eva ciągle marudziła, że szkodzi na wątrobę, i w tej chwili był skłonny jej uwierzyć. Z drugiej strony, jeśli zbiry McCulluma miały porachować mu kości, zamierzał być pijany, kiedy się do tego zabiorą, nawet jeśli draństwo rzeczywiście smakowało dziwnie. Było to lepsze niż nic.

Na drugim końcu Ipsford inspektor Flint siedział przed telewizorem i oglądał bez przekonania film o cyklu rozwojowym żółwi olbrzymich. Miał gdzieś żółwie i ich życie seksualne. Na ich korzyść przemawiało chyba tylko to, że miały dość rozumu, aby nie martwić się o swoje potomstwo, i zostawiały gówniarzy na dalekich plażach, żeby wykluli się z jaj albo, jeszcze lepiej, żeby zjadły ich drapieżniki. Poza tym paskudztwa żyły dwieście lat i prawdopodobnie nie miały nadciśnienia.

Flint wrócił myślami do Hodge'a i córki Lynchknowle'a. Kiedy już popchnął szefa Wydziału Narkotyków w kierunku bagna niekonsekwencji, która była szczególnie mocną stroną Wilta, zaczęło mu świtać, że mógłby zdobyć uznanie, gdyby sam rozwiązał tę sprawę. Przede wszystkim Wilt nie bawił się w narkotyki. Flint był tego pewien. Wiedział, że Wilt coś kombinuje - to się rozumiało samo przez się - ale instynkt gliny mówił mu, że narkotyki odpadają.

Zatem ktoś inny zaopatrzył dziewczynę w świństwo, które ją zabiło. Z powolnym uporem żółwia olbrzymiego, pływającego w głębinach Pacyfiku, Flint rozpatrzył fakty. Dziewczyna umiera z przedawkowania heroiny i PCP: fakt niezbity. Wilt uczy tego drania McCulluma (który także pada ofiarą narkotyków): kolejny fakt. Wilt dzwoni do więzienia: już nie fakt, zaledwie hipoteza. Ale hipoteza ciekawa, bo bez Wilta nie było się o co zaczepić. Flint sięgnął po gazetę i popatrzył na zdjęcie zmarłej dziewczyny. Zrobiono je na Barbadosie. Śmietanka towarzyska, w połowie złożona z ćpunów. Jeśli Lynchknowle'ówna zaopatrywała się w tych kręgach, Hodge nie miał żadnych szans. Tacy ludzie strzegli swoich sekretów. Niemniej warto byłoby sprawdzić, czego się dowiedział. Flint wyłączył telewizor i wyszedł do sieni.

- Przejdę się trochę, żeby rozprostować nogi - zawołał do żony, ale odpowiedziała mu ponura cisza. Panią Flint guzik obchodziło, co jej mąż robi ze swoimi nogami.

Dwadzieścia minut później siedział w swoim pokoju na posterunku policji i czytał raport z przesłuchania lorda i lady Lynchknowle. Nie, skądże, nie mieli pojęcia, że Penny zażywa narkotyki. Flint rozpoznał te objawy i chęć oczyszczenia się z wszelkiej winy. „Tyle rodzicielskiej troski co u

cholernych żółwi", wymamrotał i sięgnął po zapis rozmowy ze współlokatorką panny Lynchknowle. Ta miała więcej do powiedzenia. Nie. Penny od dawna nie była w Londynie. W ogóle rzadko wyjeżdżała, nawet do domu na weekendy. Czasem chodziła do dyskoteki, ale nie miała wielu znajomych, a przed Gwiazdką zerwała ze swoim chłopakiem, studentem uniwersytetu. Nikt też jej ostatnio nie odwiedzał. Czasami szła wieczorem do kawiarni albo spacerowała nad rzeką. Współlokatorka widziała ją tam dwa razy, wracając z kina. Gdzie dokładnie? Koło przystani. Flint zapamiętał to sobie i pomyślał, że sierżant, który przesłuchiwał dziewczynę, zadał właściwe pytania. Na wszelki wypadek zanotował też nazwy kawiarni, choć nie było sensu do nich zaglądać. Niewątpliwie obserwowali je już ludzie Hodge'a, a Flint nie chciał ujawniać swego zainteresowania sprawą. Poza tym polegał przede wszystkim na intuicji, którą zawdzięczał wieloletniemu doświadczeniu, i na pewności, że kimkolwiek Wilt był - inspektor miał własne zdanie w tej kwestii - nie handlował narkotykami. Niemniej warto byłoby się dowiedzieć, czy to on dzwonił do więzienia w wieczór, kiedy McCullum przedawkował. Byłby to doprawdy bardzo dziwny zbieg okoliczności, a z łatwością mógłby wyciągnąć całą historię z pana Blaggsa. Znał szefa straży od lat i często miał przyjemność powierzać więźniów jego wątpliwej opiece.

I tak niebawem stał z szefem straży w pubie nieopodal więzienia, rozmawiając o Wilcie z otwartością, która raczej nie dodałaby mu otuchy.

- Jeżeli chce pan znać moje zdanie - powiedział pan Blaggs - kształcenie bandytów jest antyspołeczne. Wkłada im się do głów więcej, niż potrzebują, co utrudnia panu pracę, kiedy wyjdą.

Flint musiał przyznać, że istotnie jej nie ułatwia.

- Ale czy według pana Wilt miał coś wspólnego z towarem, który znaleźliście w celi Maca? - zapytał.

- Wilt? Nigdy w życiu. To cholerny naprawiacz świata. Oczywiście nie mówię, że bandyci nie są głupi z zasady, bo wiem na pewno, że są. Chodzi mi o to, że pudło powinno być pudłem, a nie pieprzoną pensją, gdzie nierozgarnięci kieszonkowcy wyrabiają się na pierwszorzędnym kasiarzu z dyplomami prawniczymi.

- Ale nie po to studiował Mac?

Pan Blaggs wybuchnął śmiechem.

- Nie musiał. Miał grubą forszę za murami i stado papug na liście płac.

- Więc skąd to przypuszczenie, że dzwonił do was Wilt? - zapytał inspektor.

- Tak pomyślał Bili Coven, który z mm rozmawiał - odparł Blaggs, patrząc znacząco na swój pusty kufel. Flint zamówił jeszcze dwa piwa. - Wy-

dawało mu się, że rozpoznał głos Wilta - podjął Blaggs, uznawszy, że dalsze udzielanie informacji jest opłacalne. - Ale mógł to być każdy.

Flint zapłacił za piwo i po chwili namysłu zadał następne pytanie.

- Więc nie wie pan, skąd Mac miał tę heroinę?

- Wiem to doskonale - odrzekł z dumą Blaggs. - I jeżeli chce pan znać moje zdanie, powinni zlikwidować te pieprzone wizy...

- Wizyty? - przerwał mu Flint, zanim szef straży zdążył opisać prawidłowy reżim więzienny, który obejmował zamykanie wszystkich pensjonariuszy na stałe w pojedynczych celach oraz obowiązkowe wieszanie morderców, gwałcicieli i każdego, kto obraził strażnika. - Ktoś dostarczał Macowi narkotyki podczas wizyt?

- Podczas oficjalnych wizytacji. Sakramency urzędowi wścibiacze nosa przychodzą do nas i zachowują się tak, jakbyśmy to my, strażnicy, popełnili te wszystkie parszywe przestępstwa, a bandyci byli biednymi sierotkami, które matki za wcześnie odstawiły od cholernego cycka. To ta suka wizytatorka, niejaka Jardin, zaopatrywała McCulluma w towar.

- Chryste - jęknął Flint. - Dlaczego to robiła?

- Ze strachu - odparł Blaggs. - Goryle Maca odwiedzili ją z brzytwą i butelką kwasu i zagrozili, że albo będzie wyglądała jak skrzyżowanie monstrum Frankensteina z trędowatą z trądzikiem, albo... Kapuje pan?

Flint skinął głową. Zaczął współczuć wizytatorce, chociaż za skarby świata nie umiał sobie wyobrazić trędowatej z trądzikiem.

- I kiedy McCullum wykitował, przyszła wam o tym powiedzieć?

- Gdzie tam - prychnął Blaggs. - Zaczniemy od tego, że załatwiliśmy pana -jakiego pana? - pieprzonego McCulluma sami. To znaczy, nie ja osobiście, chociaż nie miałbym nic przeciwko temu. W każdym razie, zabraliśmy ją do kostnicy i tak się złożyło, że nasz więzienny konował robił akurat sekcję, i nie był to przyjemny widok - dźwięk zresztą też, bo używał piły. A jak odzyskała przytomność, lekarz mówi, że bydlak umarł z przedawkowania narkotyków i jeśli ktoś powie, że było inaczej, wytoczy mu proces o zniesławienie. Wtedy pękła. Zalała się łzami i omal nie padła przed naczelnikiem na kolana. I mówi, że szmuglowała heroinę do więzienia od miesięcy, że strasznie jej przykro i tak dalej.

- Powinno być jej przykro - stwierdził Flint. - Kiedy stanie przed sądem?

Pan Blaggs wypił z ponurą miną łyk piwa.

- Nigdy - mruknął.

- Nigdy? Szmuglowanie do więzienia czegokolwiek, a co dopiero narkotyków, jest przestępstwem podlegającym oskarżeniu publicznemu.

- Wiem - odparł Blaggs. - Ale naczelnik nie może sobie pozwolić na taki skandal, bo straciłby stołek, a baba w pewnym sensie przysłużyła się

społeczeństwu, bo drań trafił tam, gdzie jego miejsce.

- To prawda - przyznał Flint. - Czy Hodge o tym wszystkim wie?

Szef straży potrząsnął głową.

- Jak mówiłem, naczelnik nie chce rozgłosu. Poza tym Jardin utrzymuje, że myślała, że to był talk. Gadka szmatka, ale wie pan, co mógłby z tym zrobić dobry obrońca. Wyłączna wina władz więziennych, zaniedbanie i tak dalej.

- Powiedziała, skąd brała tę heroinę? - zapytał Flint.

- Zabierała ją w nocy zza budki telefonicznej przy London Road. Nigdy nie widziała gościa, który ją tam zostawiał.

- I na pewno nie był to żaden z tych, którzy jej grozili.

Kiedy inspektor wyszedł z pubu, był szczęśliwym człowiekiem. Hodge szukał wiatru w polu, a Flint miał do przesłuchania wizytatorkę więzienną dręczoną wyrzutami sumienia. Nie przejmował się nawet tym, że te cholerne sikopędne pigułki wypłuczają z niego cztery kufle piwa. Tak wytyczył sobie drogę do domu. aby biegła obok trzech względnie czystych publicznych toalet.

O ile nastrój Flinta zmienił się na lepsze, o tyle inspektor Hodge był wściekły. Wypadek na Nott Road zmusił go do zmiany interpretacji zachowania Wilta.

- Skoro drań taranuje wóz policyjny, musi wiedzieć, że mamy go na celowniku - powiedział sierżantowi Runkowi. - Więc co robi?

- Nie mam pojęcia - odparł sierżant, który lubił wcześniej chodzić spać i o pierwszej w nocy nie myślał zbyt jasno.

- Próbuje nas zmusić, żebyśmy go aresztowali, wiedząc, że nie mamy solidnych dowodów i będziemy musieli go wypuścić.

- Dlaczego miałyby tego chcieć?

- Bo kiedy zgarniemy go drugi raz, będzie mógł zacząć skamleć, że jest nękanym przez policję, i powołać się na cholerne swobody obywatelskie - wyjaśnił Hodge.

- To dosyć dziwny sposób postępowania - zauważył Runk.

- A wysłanie żony na farmę zielarską po narkotyki nazajutrz po tym, jak jakaś dziewczyna odwała przez to paskudztwo kitę? Czy to nie jest dziwne? - zapytał Hodge.

- Na pewno - odparł Runk. - Powiem więcej, nie przychodzi mi na myśl nic dziwniejszego. Każdy normalny przestępca siedziałby jak mysz pod cholerną miotłą.

Inspektor Hodge uśmiechnął się nieprzyjemnie.

- No właśnie. Ale Wilt nie jest normalnym przestępcą. Mamy do czynienia z najsprytniejszym draniem, jakiego kiedykolwiek musiałem złapać.

Sierżant Runk był innego zdania.

- Nie może być taki sprytny, jeśli wysyła ślubną po towar, kiedy ją obserwujemy. To czysta głupota.

Hodge ze smutkiem potrząsnął głową. Sierżant nigdy nie potrafił przeniknąć zawilości przestępczego umysłu.

- A jeśli w tej butelce nie było narkotyków? - zapytał.

Runk odpędził myśli o łóżku i spróbował się skupić.

- No to przejechała się na darmo - wybąkał w końcu.

- Niezupełnie - odrzekł Hodge. - Chcieli nas wpuścić w maliny. Taką właśnie Wilt ma taktykę. Wystarczy poczytać jego akta. Weź ten numer z lalką. Zrobił starego Flinta bez mydła, a dlaczego? Bo głupi dureń wziął go na przesłuchanie, kiedy za całe dowody miał nadmuchiwą lalkę zalaną dwudziestoma tonami betonu. A gdzie była przez ten tydzień prawdziwa pani Wilt? Pływała jachtem z parą jankeskich hipisów, którzy siedzieli w narkotykach po uszy, a Flint pozwolił im zwać za granicę, nawet nie spytawszy, co naprawdę robili na wybrzeżu. To jasne jak słońce, że szmuglowali towar, a Wilt robił za przynętę, żeby zająć Flinta wykopywaniem plastikowej lalki. Oto, jaki przebiegły jest Wilt.

- Kiedy tak to ująć, faktycznie ma to sens - przyznał Runk. - I uważa pan, że teraz stosuje tę samą taktykę?

- Druga natura - odparł Hodge.

- Jaka druga natura?

- Cholerne przyzwyczajenie.

- No tak - mruknął sierżant, który o tej porze mógłby się obejść bez elips.

- Ale tym razem nie ma do czynienia z takim zramolałym, nieudolnym gliną jak Flint - ciągnął Hodge, całkowicie już przekonany o swej racji dzięki sile własnych argumentów. - Ma do czynienia ze mną.

- To wiele zmienia. A skoro mówimy o zmianach, chciałbym pójść...

- Na Oakhurst Avenue 45 - przerwał mu Hodge stanowczym tonem. - Tam właśnie pójdziesz. Założymy podsłuch w wozie pana Cwaniaka Wilta i koniec z obserwacją fizyczną. Tym razem oprzemy się wyłącznie na elektronice.

- Nie chcę mieć z tym nic wspólnego - zaprotestował Runk. - Nie jestem taki głupi, żeby majstrować przy samochodzie takiego drania jak Wilt. Mam żonę i troje dzieci i...

- Co, u licha, ma do tego twoja rodzina? - zapytał Hodge. - Mówię tylko, że pójdziemy tam, kiedy śpią...

- Śpią? Myśli pan, że facet, który ma furtkę pod prądem, będzie ryzykował z pieprzonym samochodem? Pan może robić, co chce, aleja nie zamierzam stanąć przed Stwórcą spalony na cholerny węgielek przez szaleńca,

który podłączył swój wóz do sieci wysokiego napięcia. Ani dla pana, ani dla nikogo innego.

Hodge nie miał jednak zamiaru zrezygnować.

- Możemy sprawdzić, czy jest to bezpieczne.

- Jak? - zapytał Runk, któremu zupełnie odechciało się spać. - Każemy policyjnemu psu obsikać koło i zobaczymy, czy kopną go w pychę 32 000 wolt? Chyba pan żartuje.

- Nie żartuję - odparł Hodge. - Wydaję ci polecenie służbowe. Idź po sprzęt.

Pół godziny później roztrzęsiony sierżant w kaloszach i gumowych rękawicach otworzył drzwi samochodu Wilta. Wcześniej okrążył go cztery razy, aby sprawdzić, czy nie biegną do niego z domu jakieś kable, i uziemił go miedzianym prętem. Mimo to był nieco zaskoczony, że cholerstwo nie wybuchło.

- No dobrze, gdzie mam umieścić magnetofon? - zapytał, kiedy inspektor wreszcie odważył się do niego dołączyć.

- Tam, skąd łatwo będzie wyjąć taśmę - wyszeptał Hodge.

Runk spróbował po omacku znaleźć miejsce pod tablicą rozdzielczą.

- To zbyt oczywiste - warknął Hodge. - Wsadź go pod fotel.

- Jak pan sobie życzy - odparł Runk i wepchnął magnetofon między sprężyny. Im szybciej wyjdzie z tego przeklętego wozu, tym lepiej. - A nadajnik?

- Jeden do bagażnika, a drugi...

- Drugi? - przerwał mu Runk. - Chce pan, żeby zgarnęli go kontrolerzy, którzy namierzają telepajęczarzy? Draństwa mają zasięg pięciu mil.

- Musimy się zabezpieczyć - stwierdził Hodge. - Jeśli znajdzie jeden, nie będzie szukał drugiego.

- A jak odda samochód do naprawy?

- Wetknij go gdzieś, gdzie nikt nie zagląda.

Ostatecznie, po długiej dyskusji, sierżant przymocował jeden nadajnik magnesem w rogu bagażnika i leżał pod samochodem, szukając miejsca na drugi, kiedy w sypialni Wiltów zapaliło się światło.

- Mówiłem panu, że bydlak nie będzie ryzykował - wyszeptał rozpaczliwie, gdy inspektor wepchnął się obok niego. - Teraz leżymy i kwiczymy.

Hodge nic nie odpowiedział. Rozpłaszczony na asfalcie, z twarzą w kałuży oleju i czegoś, co ohydnie zalatywało kotami, nie był w stanie się odezwać.

Wilt również. Afrodyzjak doktor Kores w połączeniu z jego domowym piwem - próbując znaleźć butelkę, która nie miała dziwnego smaku, ukradki-

em opróżnił ich sześć - sprawił, że ocknął się w środku nocy lekko zamroczony i z nieodpartym wrażeniem, iż batalion mrówek-amazonek zawładnął jego członkiem i skrzętnie się w niego wkopuje. Ewentualnie czworaczki wpadły na obłąkany pomysł, aby podczas snu wepchnąć tatusiowi w siusiaka elektryczną szczoteczkę do zębów. Co nie wydawało się możliwe. Z drugiej strony, doznawał właśnie niemożliwego uczucia. Kiedy włączył nocną lampkę i odrzucił kołdrę, żeby zobaczyć, co, u licha, jest nie tak, ujrzał obok siebie połąc czerwonych majtek. Eva w czerwonych majtkach? Czyżby ona również płonęła?

Wygramolił się z łóżka i stoczywszy beznadziejną walkę z piżamą o ściągnięcie jej bez rozwiązywania paska, skierował lampkę na obolały organ, aby zidentyfikować przyczynę swych cierpień. Łobuz (Wilt zawsze przyznawał swojemu członkowi pewien stopień autonomii, a ściśle mówiąc, odcinał się od niektórych jego poczynań) wyglądał dosyć normalnie, ale z pewnością nie dawał normalnych odczuć. Może gdyby posmarował go zimnym kremem...

Pokuśtykał przez pokój do toaletki Evy i zaczął szperać wśród słoiczeków. Gdzie, do diabła, trzymała zimny krem? W końcu wybrał kosmetyk, który mienił się kremem nawilżającym. Nawilżenie powinno wystarczyć. Nie wystarczyło. Kiedy Wilt wysmarował pół słoiczka na siebie i dodatkowo trochę na poduszkę, członek zaczął go piec jeszcze bardziej. I cokolwiek się z nim działo, działo się w środku. Mrówki nie kopały w głąb, dranie próbowały się wydostać. Przez jedną obłąkańczą chwilę chciał wykurzyć je Raidem, ale po namyśle zrezygnował z tego. Bóg jeden wiedział, co środek owadobójczy w aerozolu zrobiłby z jego pęcherzem, a poza tym cholerstwo i tak było już pełne. Może gdyby się wysikał...

Wciąż ściskając w ręku krem, poczłapał do łazienki. „Człowiek, który nazwał to załatwianiem się, miał rację”, pomyślał, kiedy skończył. Nie zobaczył wprawdzie w muszli krwi ani żadnych mrówek, ale sikanie nie pomogło. Przeciwnie, pogorszyło sprawę. „Drań zaraz się zapali”, wymamrotał Wilt i chciał już użyć prysznicza jako gaśnicy, kiedy przyszedł mu do głowy lepszy pomysł. Nie było sensu smarować się kremem od zewnątrz. Należało zastosować go wewnątrz. Ale jak, do diabła, go tam wpakować? Jego wzrok padł na tubkę pasty do zębów. Tego właśnie potrzebował. Ale nie z pastą do zębów. Z kremem nawilżającym. Nie mogli robić paskudztwa w tubkach?

Otworzył apteczkę i poprzierzucał stare żyletki, fiołki aspiryny oraz buleczki syropu od kaszlu w poszukiwaniu tubki czegoś, co nadawałoby się do wciśnięcia w członek, ale oprócz kremu depilacyjnego Evy... „Takiego wała,” mruknął, przypomniawszy sobie, jak kiedyś przez pomyłkę umył nim zęby. „Nie zamierzam wsadzać tego defolianta nigdzie”. Musiał to

być krem nawilżający albo nic. A nic odpadało. W świeżym i szaleńczym przypiływie desperacji wypadł z łazienki, starabanił się po schodach do kuchni i zaczął przetrząsać szufladę koło zlewu. Po chwili znalazł to, czego szukał.

W sypialni Eva przewróciła się na drugi bok. Od jakiegoś czasu czuła, że zimno jej w plecy, lecz było to uczucie zbyt niewyraźne, aby coś z nim zrobić. Teraz zobaczyła, że pali się światło, łóżko obok niej jest puste, a pościel rozkopana. Nic dziwnego, że zmarzła. Widocznie Henry wstał do ubikacji. Przykryła się kołdrą i leżała, nie śpiąc, czekając na jego powrót. Może będzie miał ochotę się pokochać. Wypił przecież dwie butelki piwa z afrodyzjakiem doktor Kores, a ona włożyła czerwone majteczki, i było dużo milej kochać się w środku nocy, kiedy czworaczki mocno śpią, niż w niedzielne poranki, kiedy nie spały, i musiała wstawać i zamykać drzwi, żeby nie weszły do sypialni, a nawet to niczego nie gwarantowało. Nigdy nie zapomni tej okropnej historii, kiedy Henry prawie już skończył, a ona nagle poczuła dym i rozległy się krzyki dziewczynek „Pożar! Pożar!”, więc bez niczego wyskoczyli z Henrym z łóżka i na korytarz, gdzie czworaczki paliły gazetę na jej patelni do smażenia konfitur. Był to jeden z tych rzadkich przypadków, kiedy musiała zgodzić się z Henrym, że zasłużyły na porządne lanie. Choć oczywiście go nie dostały. Zbiegły po schodach i wypadły za drzwi, zanim Henry zdążył je złapać, a nie mógł gonić ich po ulicy bez ubrania. Nie, w nocy było dużo milej i zaczęła się właśnie zastanawiać, czy nie powinna zdjąć majteczek już teraz, gdy dobiegł ją z dołu jakiś brzdęk.

Eva wstała z łóżka, włożyła podomkę i zeszła sprawdzić, co się stało. I natychmiast wszelkie myśli o kochaniu się wyleciały jej z głowy. Wilt stał pośrodku kuchni ze szprycą do dekorowania tortów w jednej ręce i swoim członkiem w drugiej. Ściśle biorąc, obie rzeczy sprawiały wrażenie całości.

Ewę zamurowało.

- Co ty, do licha, robisz? - spytała, odzyskawszy mowę.

Wilt odwrócił ku niej purpurową twarz.

- Co robię? - powtórzył, świadom, że można zinterpretować tę sytuację na wiele sposobów, z których żaden nie był przyjemny.

- Właśnie o to pytam - powiedziała Eva. Wilt spojrział na szprycę.

- Prawdę mówiąc... - zaczął, ale Eva go uprzedziła.

- To moja szpryca.

- Wiem. A to mój wacek - odparł Wilt.

Eva popatrzyła na oba przedmioty z jednakowym niesmakiem. Nie będzie już w stanie udekorować tortu tą szprycą, a co do Wiltowego wacka, zupełnie nie mogła pojąć, co też widziała w nim kiedyś atrakcyjnego.

- I jeżeli chcesz wiedzieć - ciągnął Wilt - na podłodze leży twój krem nawilżający.

Eva wytrzeszczyła oczy na słoiczek. Nawet w świetle osobliwych norm Oakhurst Avenue 45 połączenie - a było to właściwe słowo - interesu Wilta ze szprycą do dekorowania tortów i obecność jej kremu na kuchennej podłodze kryły w sobie coś niepokojącego. Opadła na taboret.

- I jeżeli chcesz jeszcze wiedzieć... - podjął Wilt, ale Eva mu przerwała:
- Nie chcę tego słuchać.

Wilt rzucił jej wściekłe spojrzenie.

- A ja nie chcę tego czuć - warknął. - Jeżeli myślisz, że wstrzykiwanie sobie w fajfusa o trzeciej nad ranem jakichś środków emulgujących, których używasz do twarzy, sprawia mi przyjemność, to zapewniam cię, że tak nie jest.

- Dlaczego to w takim razie robisz? - spytała Eva, która sama zaczynała czuć się nie najlepiej.

- Ponieważ, gdybym nie wiedział, że to niemożliwe, pomyślałbym, że jakiś cholerny sadysta napchał mi do kanalizacji pieprzu.

- Pieprzu?

- Albo tłuczonego szkła i curry - ciągnął Wilt. - Dodaj odrobinę musztardy i będziesz miała pełen obraz. Albo wrażenie. W każdym razie, coś upiornego. A teraz, jeśli pozwoli sz...

Ale Eva powstrzymała go przed ponownym użyciem szprycy.

- Musi być jakieś antidotum - stwierdziła. - Zadzwoń do doktor Kores. Wilt wybałuszył oczy.

- Co zrobisz?

- Powiedziałam, że...

- Słyszałem - krzyknął Wilt. - Powiedziałaś, że zadzwonisz do tej cholerne homoopatki doktor Kores, i chcę wiedzieć dlaczego.

Eva rozejrzała się z rozpaczą po kuchni, ale tym razem nie dodał jej otuchy malakser ani rondle le Creuseta wiszące obok kuchenki, a już na pewno nie plakat z ziołami. Ta okropna kobieta otruła Henry'ego i była to jej, Evy, wina, bo posłuchała Mavis. Ale Henry wpatrywał się w nią niebezpiecznie i musiała natychmiast coś zrobić.

- Po prostu uważam, że powinieneś pójść do lekarza - powiedziała. - To może być coś poważnego.

- Może być?! - wrzasnął Wilt, teraz już naprawdę zaniepokojony. - To, kurwa, jest poważne, a ty nadal mi nie wyjaśniłaś...

- Jeżeli koniecznie musisz wiedzieć - przerwała mu bojowo Eva - nie powinieneś być pić tyle piwa.

- Piwa? Mój Boże, ty suko, wiedziałem, że coś jest z nim nie tak! - ryknął Wilt i rzucił się ku niej przez kuchnię.

- Chciałam tylko powiedzieć... - zaczęła Eva, uskakując za sosnowy stół, żeby nie nadzieć się na szprycę.

Uratowały ją czworaczki.

- Dlaczego tatuś ma całe genitalia w kremie? - zapytała Emmeline.

Wilt stanął jak wryty i wytrzeszczył oczy na cztery buzie w drzwiach. Czworaczki jak zwykle stosowały taktykę, która zbijała go z tropu. Połączenie dzieciennego „tatusia”, zwłaszcza z akcentem, jaki Emmeline nadawała temu słowu, z anatomiczną precyzją zawsze wywierało taki skutek. I dlaczego nie pytają go wprost, zamiast mówić o nim w trzeciej osobie? Zawahał się chwilę i Eva skorzystała z okazji.

- To nie wasza sprawa - oświadczyła, ostentacyjnie zasłaniając czworaczki przed nieodpowiednim widokiem. - Wasz ojciec nie czuje się najlepiej i...

- Tak jest - krzyknął Wilt, widząc, na co się zanosi. - Zwał całą winę na mnie.

- Wcale cię nie obwiniam - rzuciła Eva przez ramię. - Po prostu...

-...zaprawiłaś mi piwo jakimś piekielnym środkiem drażniącym i praktycznie biorąc, otrułaś, a teraz bezczelnie im mówisz, że nie czuję się najlepiej. Pewnie, że nie. Czuję się...

Rozproszyło go walenie w ścianę oddzielającą ich od Gamerów. Kiedy natarł szprycą na *Słoneczniki*, które teściowa podarowała im po sprzedaży swego domu, ponieważ rzekomo przypominały Evie spędzone tam szczęśliwe dzieciństwo, Eva pognęła czworaczki na górę. Gdy wróciła do kuchni, Wilt szukał ulgi w kostkach lodu.

- Naprawdę myślę, że powinieneś pójść do lekarza - powiedziała.

- Powiniennem był pójść do lekarza, zanim się z tobą ożeniłem - odparł Wilt. - Chyba zdajesz sobie sprawę, że mógłbym już nie żyć. Co, do diabła, dodałaś mi do piwa?

Eva zrobiła żalowaną minę.

- Ja tylko chciałam ratować nasze małżeństwo - wykrztusiła. - A Mavis Mottram powiedziała...

- Uduszę tę sukę!

-...powiedziała, że doktor Kores pomogła Patrickowi i...

- Pomogła Patrickowi? - powtórzył Wilt, odrywając się na chwilę od zamrażania swojego członka. - Kiedy go ostatni raz widziałem, odniosłem wrażenie, że powinien nosić biustonosz. Powiedział też, że nie musi się już tak często golić.

- O to właśnie mi chodzi. Doktor Kores dała Mavis jakiś środek, który zmniejszył jego popęd seksualny, więc pomyślałam...

Eva zamilkła. Wilt znów patrzył na nią niebezpiecznie.

- Mów dalej, chociaż kwestionuję użycie słowa „myśleć”.

-...że może mieć coś, co by cię ożywiło...

- Ożywiło? - przerwał jej Wilt. - Czemu nic powiesz „reanimowało”? I niby dlaczego trzeba mnie ożywiać? Jestem - a raczej byłem - mężczyzną pracującym i ojcem czterech przeklętych córek, a nie jakimś siedemnastoletnim kogutem z wiecznym wzwodem.

- Po prostu pomyślałam... to znaczy przyszło mi do głowy, że skoro tyle zrobiła dla Patricka... - (tutaj Wilt prychnął) -...może mogłaby nam pomóc osiągnąć... większą satysfakcję w życiu seksualnym.

- Trując mnie hiszpańską muchą? Ładna mi satysfakcja - odparł Wilt. - No więc pozwól, że coś ci powiem. Nie jestem pieprzonym robotem jak twój malakser i jeśli chcesz mieć takie życie seksualne, jakie według tych idiotycznych babskich pism, które czytasz, rzekomo ci się należy, czyli piętnaście razy na tydzień, lepiej znajdź sobie innego męża, bo to nie na moją wydolność. A sądząc po tym, jak czuję się teraz, będziesz miała szczęście, jeśli w ogóle jeszcze kiedyś wydołę.

- Och, Henry!

- Odwal się - warknął Wilt i pokuśtykał do ubikacji z miską pełną kostek lodu.

Trochę mu pomogły i ból jakby zelżał.

Gdy dobiegające z domu odgłosy kłótni ucichły, inspektor Hodge i sierżant Runk wycofali się do swojego samochodu. Oczywiście nie słyszeli, o czym była mowa, ale sam fakt, że doszło do jakiejś straszliwej awantury, utwierdził Hodge'a w przekonaniu, że Wiltowie nie są zwykłymi przestępcami.

- Napięcie daje o sobie znać - powiedział do sierżanta. - Jeśli za dzień lub dwa Wilt nie nawiąże kontaktu ze swoimi kumplami, to nie nazywam się Hodge.

- A ja nie będę się nazywał Runk, jeśli się choć trochę nie prześpię - odparł sierżant. - I wcale się nie dziwię, że ich sąsiad chce sprzedać dom. Mieszkanie obok takich ludzi musi być piekłem.

- Wkrótce się od nich uwolni - zauważył Hodge, ale wzmianka o panu Gamerze podsunęła mu nowy pomysł. Gdyby skłonił Gamerów do współpracy, mógłby słyszeć wszystko, co działo się w domu Wiltów. Z drugiej strony, przekształciwszy ich samochód w ruchomą rozgłośnię radiową, liczył na szybkie aresztowanie.

Przez cały następny dzień, podczas gdy Wilt leżał w łóżku z termoforem, który przerobił na worek z lodem, umieściwszy go w zamrażalniku, a inspektor Hodge jeździł za Evą po Ipsford, Flint prowadził własne śledztwo. Najpierw dowiedział się w laboratorium, że wysokogatunkowa hero-

ina z celi McCulluma jest pod każdym względem identyczna z narkotykiem, który znaleziono w mieszkaniu panny Lynchknowle, i prawie na pewno pochodzi z tego samego źródła. Potem spędził godzinę z panią Jardin, wizytatorką więzienną, nie mogąc się nadziwić jej niezwyklej zdolności do okłamywania samej siebie, dzięki której zrzuciła już winę za śmierć McCulluma na wszystkich innych. Społeczeństwo było winne, bo zrobiło zeń przestępcę, władze oświatowe, bo nie zdobył dostatecznego wykształcenia, handel i przemysł, bo nie znalazł dobrej pracy, a sędzia, bo go skazał...

- Był ofiarą swoich warunków życiowych - stwierdziła pani Jardin.

- Można tak powiedzieć o każdym - odparł Flint, patrząc na srebra w kredensie, świadczące o tym, że warunki życiowe pani Jardin spokojnie pozwalają jej być ofiarą własnego sentymentalizmu. - Weźmy na przykład tych trzech zbirów, którzy grozili, że panią potną...

- Proszę, nie - przerwała mu pani Jardin, wzdrygając się na to wspomnienie.

- Oni też są ofiarami, prawda? Podobnie jak pies, który ma wściekлизnę, ale niewielka to pociecha, kiedy nas ugryzie, a handlarzy narkotyków zaliczam do tej samej kategorii. - Pani Jardin musiała przytaknąć. - Więc nie rozpoznałyby ich pani - ciągnął Flint - bo mieli pończochy na głowach?

- Tak. I rękawiczki.

- I zawieźli panią na London Road, żeby pokazać, gdzie będą zostawiać towar?

- Za budką telefoniczną naprzeciwko skrzyżowania do Brindlay. Miałam zatrzymać samochód, wejść do budki i udawać, że dzwonię, a potem, jeśli nikogo nie będzie w pobliżu, wyjść, zabrać paczkę i pojechać prosto do domu. Powiedzieli, że będą mnie obserwować.

- I pewnie nie przyszło pani do głowy, żeby zgłosić się na policję? - zapytał Flint.

- Ależ tak, od razu o tym pomyślałam, ale powiedzieli, że mają w kieszeni niejednego policjanta.

Flint westchnął. Była to stara taktyka i o ile wiedział, dranie nie kłamali. W policji istniała korupcja, dużo większa niż kiedy zaczynał służbę, ale wtedy nie było wielkich gangów i wielkich pieniędzy na łapówki lub, jeśli ktoś nie chciał brać, na wynajęcie płatnego mordercy. Te dobre dawne czasy, kiedy za zabicie policjanta zawsze kogoś wieszano, nawet jeśli był to niewłaściwy człowiek... Niestety, przez takich naprawiaczy świata jak pani Jardin i przez to, że ten opóźniony umysłowo Evans zadyndał za zbrodnię, którą popełnił Christie, zlikwidowano straszak kary śmierci. Znana Flintowi rzeczywistość wyleciała za burtę, toteż inspektor nie mógł właściwie winić wizytatorki za to, że uległa pogrożkom. Niemniej sam za-

mierzał pozostać tym, kim zawsze był, czyli uczciwym i ciężko pracującym policjantem.

- Mimo wszystko mogliśmy dać pani ochronę - powiedział. - A gdyby przestała pani odwiedzać McCulluma, zostawiliby panią w spokoju.

- Teraz to wiem - odparła pani Jardin - ale wtedy byłam tak przerażona, że nie rozumowałam logicznie.

Raczej wcale, pomyślał Flint, ale tego nie powiedział. W zamian skupił się na metodzie dostarczania przesyłek. Nikt nie zostawia paczki heroiny za budką telefoniczną, nie mając pewności, że ktoś inny ją odbierze, a kręcenie się w pobliżu jest zbyt ryzykowne. Musiał więc istnieć jakiś system komunikacji.

- A co by się stało, gdyby pani zachorowała? - spytał. - Gdyby nie mogła pani zabrać paczki?

Pani Jardin spojrzała na niego z mieszaniną pogardy i zdumienia, które czuła wobec osób koncentrujących się tak uporczywie na rzeczach praktycznych kosztem kwestii moralnych. Poza tym był policjantem i niedoukiem. Policjanci nie dostawali rozgrzeszenia jako ofiary.

- Nie wiem - odrzekła. Ale Flint wpadł już w złość.

- Przestań się nadymać - powiedział. - Możemy cię oskarżyć o przemyt narkotyków, w dodatku do więzienia, i piski, że działałaś pod przymusem, nic ci nie pomogą. Do kogo musiałaś dzwonić?

Pani Jardin spokorniała.

- Nie znam jego nazwiska. Podali mi pewien numer i...

- Jaki numer?

- Po prostu numer. Nie...

- Przynieś go - warknął Flint.

Pani Jardin wyszła z pokoju, a Flint siedział, przyglądając się tytułom książek na regale. Mówiły mu raczej niewiele, poza tym, że wizytatorka przeczytała, a przynajmniej kupiła, mnóstwo pozycji na temat socjologii, ekonomii, Trzeciego Świata i reformy penitencjarnej. Nic robiło to na Flincie wrażenia. Jeżeli baba naprawdę chciała poprawić warunki bytowe więźniów, powinna się zatrudnić jako strażniczka i żyć z niskiej pensji, a nie bawić się w wizytacje i narzekać na niski poziom moralny ludzi, którzy odwalają za społeczeństwo brudną robotę. Gdyby zwiększono jej podatki, żeby zbudować lepsze więzienia, zaraz zaczęłaby pisać. To dopiero jest hipokryzja.

Pani Jardin wróciła z jakąś kartką.

- To ten telefon - powiedziała, podając ją Flintowi. Inspektor spojrzał na numer. Londyńska budka telefoniczna.

- Kiedy miałaś dzwonić?

- Między 9.30 i 9.40 wieczorem w przeddzień odbioru paczki.

- Ile razy ją odebrałaś?

- Tylko trzy.

Flint wstał z krzesła. Dalsza rozmowa mijała się z celem. Musieli wiedzieć, że Mac nie żyje, nawet jeśli nie pisały o tym gazety, więc nie miał się co łudzić, że dostarczą kolejną paczkę, ale przynajmniej zyskał pewność, że ich bazą jest Londyn. Hodge był na złym tropie. Z drugiej strony, Flint nie mógł powiedzieć, że sam jest na dobrym. Ślady urywały się na pani Jardin i budce telefonicznej w Londynie. Gdyby McCullum jeszcze żył...

Pożegnawszy wizytatorkę, Flint pojechał do więzienia.

- Chciałbym rzucić okiem na listę gości Maca - powiedział szefowi straży i przez pół godziny zapisywał w notesie nazwiska i adresy. - Ktoś z tej bandy musiał przekazywać wiadomości - oznajmił, kiedy skończył. - Pewnie do niczego nie dojdę, ale warto spróbować.

Wróciwszy na komisariat, sprawdził nazwiska z listy w centralnej bazie danych, przede wszystkim pod kątem handlu narkotykami, ale ogniwo, którego szukał, jakiś drobny przestępca mieszkający w Ipford lub w okolicy, najwyraźniej nie istniało. A nie zamierzał marnować czasu na śledztwo w Londynie. Ściśle biorąc, gdyby miał być szczerzy, musiałby przyznać, że marnuje czas nawet w Ipford, ale... Ale coś mu mówiło, że tak nie jest. To przeczucie nie dawało mu spokoju, więc podążył za nim dalej. Współlokatorka widziała pannę Lynchknowle na przystani. Kilka razy. Ale przystań była tylko kolejnym miejscem, jak ta budka telefoniczna na London Road. Potrzebował czegoś bardziej konkretnego, czegoś, co mógłby sprawdzić.

Flint podniósł słuchawkę i wykręcił numer Zakładu Badania Uzależnień w ipfordzkim szpitalu.

W porze lunchu Wilt był już na nogach. Ściśle biorąc, był na nogach kilkanaście razy w ciągu poranka, czasem po to, aby przynieść sobie z zamrażalnika następny termofor, ale głównie w ramach bohaterskich wysiłków, aby nie zamasturbować się na śmierć. Eva mogła sobie zakładać, że zdyskontuje skutki działania diabolicznej mikstury, którą zaprawiła mu piwo, ale Wilt uważał, że żona, która niemal otruła męża, nie zasługuje nawet na te nieliczne seksualne korzyści, jakie miał jej do zaoferowania. Jeśli da Evie choć cień satysfakcji z tego eksperymentu, następnym razem wyląduje w szpitalu z krwotokiem wewnętrznym i nieodwracalną erekcją - jeśli nie miał jej już teraz. „Zamrozę łobuza, to zwiędnie”, było pierwszą myślą Wilta, i początkowo zamrażanie skutkowało, aczkolwiek boleśnie. Ale po jakimś czasie usnął i obudził się godzinę później z okropnym uczuciem, że strzeliło mu do głowy, aby nawiązać romans ze świeżo złowioną solą z Dover. Uwolnił się od termoforu i zszedł na dół, aby włożyć go z powro-

tem do lodówki, ale uświadomił sobie, że nie byłoby to szczególnie higieniczne. Właśnie zaczął go myć, gdy zadzwonił dzwonek do drzwi. Wilt upuścił termofor na suszarkę, wyjął go ze zlewu, do którego się zsunął, po czym w końcu zaklinował go między imbrykiem a naczyniem do zapiekanek i poszedł otworzyć.

Nie był to listonosz, jak się spodziewał, tylko Mavis Mottram.

- Co robisz w domu? - zapytała.

Wilt schował się za drzwi i mocniej ściągnął poły szlafroka.

- Ściśle biorąc... - zaczął.

Mavis przepchnęła się obok niego i poszła prosto do kuchni.

- Wpadłam spytać, czy Eva mogłaby się zająć stroną aprowizacyjną.

- Stroną aprowizacyjną czego? - zapytał Wilt, patrząc na nią z nienawiścią.

To przez tę kobietę Eva poszła do doktor Kores. Mavis zignorowała pytanie. Jako wojująca feministka i sekretarka Matek Przeciwko Bombie uważała Wilta za przedstawiciela męskiego podgatunku.

- Czy Eva niedługo wróci? - podjęła.

Wilt uśmiechnął się nieprzyjemnie i zamknął za sobą kuchenne drzwi. Jeśli Mavis Mottram zamierzała traktować go jak kretyna, mógł się zachowywać jak kretyna.

- Skąd wiesz, że jej nie ma? - zapytał, sprawdzając na kciuku ostrość dość tępego noża do chleba.

- Nie widziałam samochodu, więc pomyślałam... Zazwyczaj ty go bierzesz...

Wilt przyczepił nóż do magnetycznego uchwytu obok rządka sabatierów. Nie pasował do nich.

- Falliczny - powiedział. - Ciekawe.

- Co jest ciekawe?

- Lawrensjanski - dodał Wilt i wyjął szprycę do dekorowania tortów z plastikowego kubelka, w którym Eva moczyła ją w ajaksie, próbując przekonać samą siebie, że będzie jej jeszcze używać.

- Lawrensjanski? - powtórzyła Mavis niespokojnym tonem.

Wilt położył szprycę na blacie i wytarł ręce. Jego wzrok przyciągnęły rękawiczki do zmywania.

- Całkowicie się zgadzam - odparł i zaczął je wkładać.

- O co ci, do licha, chodzi? - zapytała Mavis, nagle przypominając sobie Willa i nadmuchiwana lalkę.

Przesunęła się za kuchenny stół, ale po chwili uznała, że to może nie wystarczyć. Wilt w szlafroku i bez spodni od piżamy, a teraz jeszcze trzymający w dłoniach szprycę do dekorowania tortów, przedstawiał wybitnie niepokojący widok.

- W każdym razie poproś Evę, żeby do mnie zadzwoniła, to wyjaśnię jej stronę...

Słowa uwięzły jej w gardle.

Wilt znów się uśmiechał. Strzykał też w powietrze jakimś żółtawym płynem ze szprycy. Mavis przemknęły przez głowę obrazy pomyłonych lekarzy ze starych horrorów.

- Napomknęłaś o tym, że jej tu nie ma - powiedział Wilt i zasłonił sobą drzwi. - Proszę, mów dalej.

- O czym? - spytała Mavis z wyraźnym drzeniem w głosie.

- O jej nieobecności. Twoje zainteresowanie tym faktem wydaje mi się dziwne.

- Dziwne? - wyjąkała Mavis, rozpaczliwie próbując znaleźć jakąś logikę w niedorzecznych wypowiedziach Wilta. - Co w tym dziwnego? Pewnie poszła na zakupy i...

- Pewnie? - spytał Wilt i ominąwszy ją wzrokiem, popatrzył tępo w okno. - Na tym świecie nic nie jest pewne.

Mavis mimowolnie podążyła za jego spojrzeniem i ogród za domem wydał się jej niemal równie złowieszczy jak Wilt w gumowych rękawiczkach i z tą piekielną szprycą. Odwróciła się od okna.

- Pójdę już - powiedziała, siląc się na normalny ton, i dała krok naprzód.

Sztuczny uśmiech Wilta zgasł.

- Och, nie tak szybko - odparł. - Może wstawię wodę i napijemy się kawy? W końcu tak byście zrobiły, gdyby Eva była w domu. Usiadłybyście i ucięły sobie miłą pogawędkę. Ty i Eva miałyście ze sobą tyle wspólnego.

- Miałyśmy? - spytała Mavis, aby natychmiast tego pożałować. Wilt znów uśmiechnął się okropnie. - No cóż, jeśli sam masz ochotę na kawę, to możemy się napić.

Wzięła czajnik elektryczny i podeszła z nim do zlewu. W zlewie leżał termofor. Mavis podniosła go i przeszył ją kolejny upiorny dreszcz. Termofor nie tylko nie był gorący, był lodowato zimny. A za jej plecami Wilt zaczął niepokojąco stękać. Po chwili wahania Mavis odwróciła się na pięcie. Tym razem zagrożenie było zupełnie oczywiste. Wyglądało ku niej spomiędzy fałd Wiltowego szlafroka. Z piskiem rzuciła się do tylnych drzwi, otworzyła je mocnym szarpnięciem, wypadła na dwór i wśród grzechotu pojemników na śmieci pobiegła do samochodu.

Wilt wrzucił szprycę z powrotem to kubła i spróbował zdjąć rękawiczki, ciągnąc je za palce. Nie była to najlepsza metoda, więc dopiero po dłuższej chwili uwolnił się od paskudztw i porwał z zamrażalnika drugi termofor.

- Chrzanić babę - wymamrotał, przyciskając termofor do członka, i spróbował się zastanowić, co ma zrobić dalej. Jeśli Mavis pójdzie na poli-

cję... Było to mało prawdopodobne, ale lepiej zastosować środki ostrożności. Nie bacząc już na higienę, przełożył termofor ze zlewu do zamrażalnika i pokuśtykał na górę. „Przynajmniej pozbyliśmy się Mavis M.”, pomyślał, kładąc się do łóżka. Byłaby to jakaś rekompensata za uzyskanie opinii zboczeńca. Jak zwykle jednak całkowicie się mylił.

Dwadzieścia minut później, spotkawszy po drodze Mavis, wróciła do domu Eva.

- Henry - zawołała od progu. - Natychmiast zejź na dół i wyjaśnij mi, co robiłeś z Mavis.

- Odchrzań się - mruknął Wilt.

- Co powiedziałaś?

- Nic. Po prostu jęknąłem.

- Nie jęknąłeś. Wyraźnie słyszałam, że coś mówisz - odparła Eva, idąc po schodach.

Wilt wstał z łóżka i zasłonił się termoforem jak tarczą.

- Posłuchaj mnie uważnie - powiedział, nim Eva zdążyła się odezwać. - Mam po dziurki w nosie ciebie, Mavis Mendy Mottram, tej trucicielki Kores, czworaczków i cholernych zbirów, którzy mnie śledzą. Ściśle biorąc, całego pieprzonego świata, w którym ja mam być miły, potulny i uległy, a wszyscy inni mogą robić ze mnie frajera i do diabła z konsekwencjami. Po pierwsze, nie jestem frajerem, a po drugie, nie dam się już nikomu zrobić. Ani tobie, ani Mavis, ani tym bardziej przeklętym czworaczkom. Guzik mnie obchodzi, jakie ogólnie przyjęte poglądy wysysasz niczym jakaś odwodniona gąbka z artykułów o postępowej edukacji, seksie dla staruszków i leczeniu pieprzoną cykutą...

- Cykuta jest trucizną. Nikt... - zaczęła Eva, próbując go udobruchać.

- Podobnie jak te ideologiczne brednie, którymi nabijasz sobie głowę! - krzyknął Wilt. - Cyjanek permissywizmu, zdjęcia gołych bab dla tak zwanej inteligencji i filmowa przemoc dla bezrobotnych, a wszystko jako pi-przone placebo dla tych, którzy nie myślą i nie czują. Jeśli nie wiesz, co to jest placebo, zajrzyj do słownika.

Umilkł, żeby złapać oddech, i Eva skorzystała z okazji.

- Dobrze wiesz, co sędzę o filmowej przemocy - powiedziała. - Za nic nie pozwoliłabym dziewczynkom oglądać czegoś takiego.

- No właśnie! - ryknął Wilt. - Więc przestań pozwalać na autentyczną, niefilmową przemoc i odpuść panu Gamerowi i mnie. Czy przyszło ci kiedyś do głowy, że masz w osobach swoich córek cztery potwory przed pokwitaniem? O nie, skądże. One są niezwykle, wyjątkowe, to cholerne geniuszki. Nie możemy hamować ich rozwoju intelektualnego nauką jakichś tam manier czy kulturalnego zachowania. O nie, jesteśmy wzorem współc-

zesnych rodziców, którzy stoją z założonymi rękami, podczas gdy te cztery nieszlachetne małe dzikuski wyrastają na uzależnione od komputerów technokratki mające mniej więcej taki zmysł moralny, jak Ilse Koch w swój zły dzień.

- Kim jest Ilse Koch? - spytała Eva.

- Tylko masową morderczynią w obozie koncentracyjnym - odparł Wilt.

- I nie sądzę przypadkiem, że mam prawicowo-reakcyjny odjazd i chcę przywrócić chłostę i wieszanie, bo to nieprawda. Jestem marnym centrowcem, który nie wie, w którą stronę ma skoczyć. Ale na Boga, ja przynajmniej myślę! A w każdym razie próbuję. A teraz zostaw mnie w spokoju i nieszczęściu i idź powiedzieć swojej kumpelce Mavis, że jeśli na przyszłość nie chce oglądać bezwiednych erekcji, niech ci nie doradza wizyt u Kastratorki Kores.

Eva zeszła na dół dziwnie podniesiona na duchu. Już dawno nie słyszała, aby Henry tak stanowczo wyrażał swoje poglądy, i chociaż nie rozumiała wszystkiego, co powiedział, a już na pewno nie zgadzała się z jego opinią o czworaczkach, ta demonstracja męskiego autorytetu podziałała na nią krzepiąco. Nie czuła się już taka winna, że poszła do tej okropnej doktor Kores z całym jej głupim gadaniem o... jak to szło?... „seksualnej wyższości samic w świecie ssaków”. Eva wcale nie chciała się wywyższać, a poza tym nie była jakimś tam ssakiem. Była człowiekiem, a to przecież nie to samo.

Określenie, czym był następnego wieczoru inspektor Hodge, przedstawiałoby pewną trudność. Jako że Wilt nie opuszczał domu, inspektor spędził większą część dwóch dni, miotając się po całym Ipsford za Evą.

- To dobry trening - powiedział do sierżanta Runka, gdy śledzili ją furgonetką przekształconą w stanowisko nasłuchu.

- Do czego? - spytał sierżant, wbijając szpilkę w plan miasta, aby zaznaczyć, że Eva zaparkowała escorta przed Sainsburym. Wcześniej była w Tesco i Fine Fare. - Żebyśmy wiedzieli, gdzie jest promocja na proszek do prania?

- Do śledzenia Wilta.

- Wilt nie wychodzi z domu - zauważył Runk.

- Wysłał ją, żeby sprawdzić, czy będzie miała ogon - wyjaśnił Hodge. - A sam się przyczaił.

- Powiedział pan przecież, że tego nie robi - odparł Runk. - Ja powiedziałem, że powinien się przyczaić, a pan...

- Wiem, co powiedziałem. Ale wtedy wiedział, że go śledzimy. Teraz jest inaczej.

- Rzeczywiście - mruknął Runk. - Drań funduje nam wycieczkę po centrach handlowych, a my nie mamy pojęcia, co się dzieje.

Tej nocy już je mieli. O godzinie pierwszej Runk, który wyzebrał u inspektora wolne południe, aby wypaść się na zapas, wyjął kasetę z magnetofonu pod fotelem i włożył na jej miejsce nową. Pół godziny później Hodge, wychowany w domu, w którym nigdy nie wspomniano o seksie, słuchał, jak czworaczki omawiają stan Wilta z bulwersującą otwartością. Jeśli miał jeszcze jakieś wątpliwości co do tego, że państwo Wilt są zatwardziałymi przestępcami, rozproszyło je pytanie Emmeline, dlaczego tatuś w środku nocy wciskał sobie krem do tortu w członek. Wyjaśnienia Evy na nic się nie zdały.

- Nie czuł się najlepiej, kochanie. Wypił za dużo piwa i nie mógł spać, więc zszedł do kuchni, żeby zobaczyć, czy nie mógłby udekorować tortu i...

- Nie chciałam jeść tortu, który dekorował - przerwała jej Samantha. - A zresztą to był krem do twarzy.

- Wiem, kochanie, ale tatuś wprawiał się na kremie do twarzy i trochę go rozpaćkał.

- Na swoim kutasie? - spytała Penelope. co dało Evie sposobność do powiedzenia jej, aby nigdy nie używała tego słowa.

- Nieładnie jest mówić takie rzeczy - wyjaśniła. - I nic wolno wam opowiadać o tym w szkole.

- Tatuś też nie postąpił ładnie, pompując sobie krem do twarzy w członek szprycą do dekorowania tortów - zauważyła Emmeline.

Kiedy dyskusja dobiegła końca, bo Eva wysadziła czworaczki pod szkołą, Hodge był blady jak trup. Sierżant Runk też nie czuł się za dobrze.

- Nie wierzę w to, nie wierzę w ani jedno cholerne słowo - wymamrotał inspektor.

- Też chciałbym w to nie wierzyć - odparł Runk. - Słyszałem w życiu różne obrzydliwe rzeczy, ale to się w pale nie mieści.

- Nie mów mi, co się mieści w pałach - powiedział Hodge.

- Naprawdę w to nie wierzę. Żaden człowiek przy zdrowych zmysłach nie zrobiłby czegoś takiego. Wpuszczają nas w kanał.

- Czy ja wiem? Znałem kiedyś gościa, który smarował sobie fleta dżemem truskawkowym i jego ślubna...

- Zamknij się! - krzyknął Hodge. - Nie cierpię takich świństw i jak na jedną noc mam już zupełnie dość.

- Wilt chyba też - odrzekł Runk - skoro trzyma fiuta w dzbanku z lodem. Musiał mieć w tej szprycy coś więcej niż krem do twarzy czy do tortu.

- Dobry Boże - jęknął Hodge. - Chyba nic sugerujesz, że szprycował się, używając... szprycy? Już dawno by umarł, a poza tym paskudztwo by mu wyciekło.

- Mógł je z czymś wymieszać. To by tłumaczyło krem do twarzy.

- Jest to możliwe - przyznał Hodge. - Skoro ludzie wączają klej, lichy ich wie, co jeszcze robią. Ale nic nam to nie daje.

- Właśnie że daje - zaoponował sierżant, który nagle dostrzegł sposób na zakończenie nocnej nasiadówki w furgonetce.

- To oznacza, że ma towar w domu.

- Albo w wacku - mruknął Hodge.

- Wszystko jedno. To wystarczy, żeby go zgarnąć i dobrze wymaglować.

Ale inspektor wytknął sobie bardziej ambitne cele.

- Cholernie dużo by nam z tego przyszło - powiedział - nawet gdyby rzeczywiście zaczął śpiewać. Gdybyś czytał, jak załatwił starego Flinta...

- Teraz byłoby inaczej - przerwał mu Runk. - Po pierwsze, byłby na głodzie. Nie musielibyśmy go przesłuchiwać. Po trzech dniach bez działki skomlałby jak cholerny zbity pies.

- Tak - odparł inspektor - o swojego cholernego adwokata.

- Ale moglibyśmy też przymknąć jego ślubną. I tym razem mamy solidne dowody, pozostaje tylko go oskarżyć. Przy zarzucie handlu heroiną nie wyszedłby za kaucją.

- To prawda - przyznał niechętnie Hodge. - Gdybyśmy mieli solidne dowody. Gdybyśmy.

- Będziemy je mieli. Te smarkate mówiły, że wysmarował sobie kremem całą piżamę. Niech ją zbadają w laboratorium. Razem z tą szprycą, ręcznikami i ścierkami do naczyń. Do diabła, ich dom musi się od paskudztwa lepić. Przy tym, jak Wilt nim pryska na prawo i lewo, pewnie nawet pchły ich kota są narkomankami.

- I to właśnie mnie niepokoi - stwierdził Hodge. - Kto słyszał, żeby dealer pryskał towarem na prawo i lewo? To niemożliwe. Dranie są zbyt ostrożni. Zwłaszcza teraz, gdy ostro się za nich wzięliśmy. Wiesz, co myślę?
- Sierżant Runk potrząsnął głową. Jego zdaniem inspektor nie był zdolny do myślenia.

- Myślę, że skurczybyk po staremu nas podpuszcza. Chce, żebyśmy go aresztowali. To wszystko tłumaczy.

- Mnie nie tłumaczy to niczego - odparł Runk z rozpaczą w głosie.

- Zastanów się - powiedział Hodge. - To, co nagrało się na tę kasetę, jest zbyt dziwaczne, żeby było prawdą, prawda? Nigdy nie słyszałeś, żeby jakiś ćpun faszerował sobie kutasa, i ja też nie. A Wilt to robi. Co więcej, uprawia ten sport w środku nocy, używa szprycy do dekorowania tortów i

tak hałasuje, żeby nakryły go córki. A dlaczego? Bo chce, żeby te małe sukki rozpuściły jadaczki, bo w ten sposób dowiemy się o tym my. Ale nie ma głupich. Nie będę się spieszył i zaczekam, aż pan Spryciarz Wilt doprowadzi mnie do swoich dostawców. Nie interesują mnie pojedynczy dealerzy. Tym razem zgram całą cholerną siatkę.

Zadowolony z tej interpretacji niezwykłego zachowania Wilta, inspektor zamilkł, by podelektować się swoim przyszłym sukcesem. Oczyma duszy widział już Wilta na ławie oskarżonych razem z tuzinem przestępczych grubych ryb, ludzi, jakich Flint nigdy nie podejrzewał. Będą to bogacze z dużymi domami, grający w golfa i należący do najlepszych klubów. A kiedy sędzia ich skaże, pogratuluje inspektorowi Hodge'owi błyskotliwego śledztwa. Nikt już nie nazwie go oferumą. Będzie sławny i wszystkie gazety wydrukują jego zdjęcie.

Myśli Wilta biegły podobnym torem, choć dotyczyły innej kwestii. Wciąż odczuwał palące skutki entuzjazmu Ewy do afrodyzjaków, a co gorsza, najwyraźniej miał trwałą erekcję.

- Oczywiście, że nie mogę wyjść - powiedział, gdy Eva zaczęła zrzędzić, że nie chce, aby kręcił się w szlafroku po domu w czasie cotygodniowej porannej kawy Koła Pomocy Społecznej. - Nie oczekujesz chyba, że pójde do pracy z intereselem sterczącym jak wycior.

- Nie chcę, żebyś zrobił z siebie widowisko przy Betty i innych, jak to zrobiłeś przy Mavis.

- Mavis dostała to, na co zasłużyła - odparł Wilt. - Nie zapraszałem jej do domu, sama się wepchnęła, a poza tym, gdyby cię nie napuściła na Lukrecję Kores, nie musiałbym chodzić z wieszakiem przywiązany do pasa.

- Po co ci wieszak?

- Żeby cholerny szlafrok nie dotykał moich podrażnionych narządów - wyjaśnił Will. - Gdybyś wiedziała, jak to boli, kiedy coś w rodzaju ciężkiego koca ociera ci się o koniuszek napiętego i bardzo wrażliwego...

- Nie chcę tego słuchać - przerwała mu Eva.

- A ja nie chcę tego czuć - odpalił Will. - Stąd wieszak. Spróbowałabyś też zginać kolana i jednocześnie pochylać się do przodu, ilekroć musisz się wysiusiać. To cholerna męka. Dwa razy walnąłem głową w ścianę i nie robiłem kupy od dwóch dni. Nie mogę nawet usiąść, żeby poczytać. Muszę leżeć płasko na plecach z koszem na papiery jako osłoną albo chodzić z wieszakiem. Więc chodzę. A jak tak dalej pójdzie i kipnę, będą musieli dla mnie zrobić specjalną trumnę z peryskopem.

Eva popatrzyła nań niepewnie.

- Jeśli to taka poważna sprawa, może powinieneś pójść do lekarza.

- Jak? - warknął Wilt. - Jeśli myślisz, że zamierzam paradować po ulicy, wyglądając jak ciężarny transseksualista. wybij to sobie z głowy. Aresztowaliby mnie w połowie drogi albo jeszcze wcześniej i lokalny szmatławiec miałby używanie. WYKŁADOWCA Z WIECZNYM WZWODEM. Była-byś zachwycona, gdyby nazwali mnie człowiekiem-członem. Więc przyjmuj swoje koło gospodyń miejskich, a ja zostanę na górze.

Wilt poszedł do sypialni i ostrożnie zamienił wieszak na kosz na papiery. Wkrótce potem dobiegł go z dołu gwar kobiecych głosów. Członkinie KPS zaczęły się zbierać. Wilt był ciekaw, ile z nich słyszało już opowieść Mavis o epizodzie w kuchni i cieszy się w duchu, że Eva jest żoną mordczego ekshibicjonisty. Oczywiście nigdy by się do tego nie przyznały. Mówiłyby: „Słyszałaś o tym okropnym mężu biednej Ewy?” albo: „Nie rozumiem, jak ona może wytrzymać pod jednym dachem z tym upiornym Henrym”, ale w gruncie rzeczy obiektem ich złościwości byłaby sama Eva. I bardzo dobrze, skoro zaprawiła mu piwo tą trucizną od doktor Kores.

Wilt zaczął rozmyślać o lekarce i wyobrażał sobie, jak skarży ją o niebotyczne odszkodowanie z tytułu... Właśnie, z jakiego tytułu? Naruszenia genitalności? Pozbawienia praw penitencyjnych? Czy zwykłego otrucia? Nie, otrucie by nie przeszło, bo paskudztwo zaaplikowała mu Eva i gdyby zażył prawidłową dawkę, nie wywołałoby pewnie takich okropnych efektów. A ta suka Kores nie mogła oczywiście wiedzieć, że Eva nie robi nic na pół gwizdka. Według niej, jeśli coś było dobre, dwa razy tyle tego czegoś było jeszcze lepsze. Przekonał się o tym nawet kot Charlie i wiedziony siódmym zmysłem zniknął teraz na kilka dni, ilekroć Eva postawiła przed nim spodeczek śmietanki ze środkiem na robaki. Charlie nie był głupi i widocznie wciąż pamiętał, jak dwukrotność zalecanej dawki przeczyściła mu kiszki. Biedny zwierzak przywłókł się do domu po tygodniu spędzonym w krzakach na końcu ogrodu, wyglądając jak obrośnięta futrem glista, i Eva natychmiast przestawiła go na dietę wysokoszprowtkową, żeby się odpaść.

Jeśli doświadczenie mogło czegoś nauczyć kota, powinno i Wilta. Z drugiej strony, Charlie w gruncie rzeczy nie musiał mieszkać z Evą, mógł dać drapaką, gdy tylko zwietrzył kłopoty. „Cholerny farciarz”, mruknął Wilt i pomyślał, co by się stało, gdyby któregoś wieczoru zadzwonił i powiedział, że nie będzie go przez tydzień. Już słyszał ten wybuch na drugim końcu linii. Gdyby odłożył słuchawkę, nie podając jakiegoś naprawdę przekonującego powodu, po powrocie do domu miałby się z pyszna. A dlaczego? Ponieważ prawda była zawsze zbyt obłąkana lub niewiarygodna. Mniej więcej tak niewiarygodna jak wydarzenia ostatniego tygodnia, poczynając od wizyty tego kretyna z Ministerstwa Edukacji i potyczki z panną Hare w damskiej toalecie, po pogróżki McCulluma i bycie śledzonym przez dwóch facetów w samochodzie. Po dodaniu do tego wszyst-

kiego przedawkowania hiszpańskiej muchy otrzymywało się prawdę, w którą nikt by nie uwierzył. Tak czy inaczej, nic było sensu tu leżeć i medytować o rzeczach, których nie mógł zmienić.

„Bierz przykład z kota”, powiedział do siebie i poszedł do łazienki, żeby sprawdzić w lustrze, jak się miewa jego członek. Wydawało mu się, że lepiej, i rzeczywiście, gdy zdjął kosz na papiery, ku swej wielkiej radości stwierdził, że łobuz zaczął opadać. Wilt ogolił się i wziął prysznic, i kiedy Koło Pomocy zakończyło obrady, zszedł na dół już w spodniach.

- Jak się udał sabat czarownic? - zapytał.

Eva połknęła haczyk prowokacji.

- Widzę, że odzyskałeś swoje normalne seksistowskie ja. W każdym razie, w przyszły piątek urządzamy przyjęcie. Tutaj.

- Tutaj?

- Zgadza się. Będzie to bal przebierańców z nagrodami za najlepsze kostiumy i loterią na rzecz domowego przedszkola przy klubie „Jedność”.

- A ja wyślę monity do wszystkich zaproszonych osób, żeby się z góry ubezpieczyły. Pamiętasz, jak Polly Merton podała Vurkellów do sądu, bo w pijanym widzie spadła ze schodów?

- To zupełnie inna historia - zaproponowała Eva. - Dywanik na schodach był źle przymocowany. Mary nigdy nie dbała o dom jak należy. Zawsze był w opłakanym stanie.

- Polly Merton również, kiedy wylądowała na podłodze w holu - odparował Wilt. - To cud, że się nie zabiła. Ale nie w tym rzecz. Goście zrujnowali Vurkellom dom, a firma ubezpieczeniowa nie chciała im wypłacić odszkodowania, bo złamali prawo, urządzając sobie nielegalne kasyno z tą jego ruletką.

- No właśnie - powiedziała Eva. - A loteria na cele dobroczynne nie jest nielegalna.

- Obyś się nie przeliczyła, a na mnie nie licz w ogóle - odrzekł Wilt. - Miałem przez te dwa dni dość kłopotów z moim intymnym narządem i bez wkładania tego kostiumu Francisa Drake'a, w który mnie wystroiłaś w ostatnie Boże Narodzenie.

- Wyglądałeś w nim bardzo ładnie. Nawet pan Persner powiedział, że zasłużyłeś na nagrodę.

- Za noszenie wypchanych słomą desusów twojej babki niewątpliwie tak, ale nie było mi zbyt wygodnie. A poza tym w piątkowe wieczory uczę mojego więźnia.

- Mógłbyś raz odwołać lekcję - stwierdziła Eva.

- Co, tuż przed egzaminem? Na pewno nie - zachnął się Wilt. - Jeśli w imię dobroczynności, nie uzgadniając tego ze mną, zapraszasz do domu

tłum durnych przebierańców, nie możesz wymagać, abym zaniedbał moją działalność dobroczynną.

- Więc dziś wieczór chyba też wychodzisz? - spytała Eva. - Jest piątek i musisz iść czynić dobro, prawda?

- Boże - jęknął Wilt, który stracił poczucie czasu.

Rzeczywiście był piątek i zapomniał się przygotować do wykładu w Baconheath. Zdopingowany sarkazmem Evy oraz świadomością, że mógłby skończyć w następny piątek jako Francis Drake albo wręcz *Kot w Butach* w o wiele za obcisłym trykocie, spędził popołudnie na przerabianiu jakichś starych notatek poświęconych brytyjskiej kulturze i instytucjom. Jego nowy wykład nosił tytuł „O potrzebie autorytetu, paternalizmu i systemu klasowego” i miał być prowokujący.

O szóstej skończył kolację i pół godziny później jechał przez mokradła w stronę bazy lotniczej z nieco większą prędkością niż zwykle. Członek znów stanął mu dęba i musiał użyć krykietowego ochraniacza oraz długiego bandaża, aby poczuć się w miarę komfortowo i wyglądać przyzwoicie.

W bezpiecznej odległości za nim jechały dwie policyjne furgonetki i inspektor Hodge triumfował.

- Wiedziałem. Wiedziałem, że w końcu zrobi jakiś ruch - powiedział do sierżanta Runka, gdy słuchali dochodzących z escorta sygnałów. - Prowadzi nas do swoich dostawców.

- Albo na manowce, jeśli jest tak sprytny, jak pan mówi - odparł Runk.

Ale Hodge patrzył na mapę. Przed sobą mieli wybrzeże. Poza tym było tu tylko kilka wiosek, ponura płaszczyna mokradeł i...

- Za chwilę skręci na zachód - oznajmił inspektor.

Jego nadzieja przerodziła się w pewność. Wilt jechał do bazy; lotniczej w Baconheath - brakującego amerykańskiego ogniwa..

W Ipsfordzkim Zakładzie Karnym inspektor Flint wpatrywał się w twarz Byka.

- Ile lat ci zostało? - zapytał. - Dwanaście?

- Tylko osiem - odparł Byk. - Zmniejszą mi karę, bo mam dobre sprawowanie.

- Miałeś - poprawił go Flint. - Dopóki nie sprzątnąłeś Maca.

- Sprzątnąłem Maca? Nigdy w życiu. To cholerne kłamstwo. Palcem go nie tknąłem. Mac...

- Bąk mówi co innego - przerwał mu Flint, otwierając akta. - Powiedział, że zbierałeś te pigułki nasenne, żeby zabić Maca i samemu zostać szefem. Chcesz przeczytać jego zeznanie? Mam tu wszystko czarno na białym i z ładnym podpisem. Proszę, luknij sobie.

Podsunał mu kartkę, ale Byk zerwał się już na równe nogi.

- Nie możesz mnie w to, kurwa, wrobić! - krzyknął i szef straży natychmiast posadził go z powrotem na krześle.

- Mogę - odrzekł Flint, pochylając się do przodu i patrząc w przerażone oczy Byka. - Chciałeś zająć miejsce McCulluma. Zazdrościłeś mu. Zrobiłeś się pazerny. Pomyślałeś sobie, że przejmiesz jego interesy i kiedy stąd za osiem lat wyjdiesz, będziesz miał przyjemną emeryturkę bezpiecznie zamelinowaną przez wdowę po tobie.

- Przez wdowę? - Twarz Byka przybrała barwę popiołu. - Jak to przez wdowę?

Flint się uśmiechnął.

- Tak to. Bo nie wyjdiesz stąd żywy. Dwanaście zamiast ośmiu plus najniższy wyrok za zabicie Maca daje razem dwadzieścia siedem i całe te dwadzieścia siedem lat spędzisz dla własnego bezpieczeństwa w pojedynczej celi. Nie sądzę, żebyś to przetrzymał, a ty?

Byk popatrzył na niego żałośnie.

- Wrabia mnie pan.

- Nie chcę tego słuchać - powiedział Flint, wstając z krzesła. - Zachowaj swoje bajery na proces. Może jakiś miły sędzia ci uwierzy, mimo twojej kartoteki. Aha, i nie licz na pomoc ślubnej. Od pół roku mieszka z nią Joe Slavey. Zresztą pewnie już o tym wiesz.

Ruszył do drzwi, ale Byk już pękł.

- Nie zrobiłem tego, panie inspektorze, przysięgam na Boga. Mac był dla mnie jak brat. Nigdy bym...

Flint znowu mu przerwał.

- Radzę ci, powołaj się na niepoczytalność. W Broadmoor będzie ci lepiej. Chociaż mieć do końca życia za sąsiadów Brady'ego i Rozpruwacza z Yorkshire to też średnia przyjemność. - Zatrzymał się na chwilę w progu. - Niech mnie pan zawiadomi, jeśli zdecyduje się zeznawać - powiedział do szefa straży. - Mógłby sobie pomóc, gdyby...

Nie potrzebował kończyć zdania. Byk chwycił aluzję.

- Co chce pan wiedzieć?

Teraz z kolei Flint musiał pomyśleć. Jeśli za szybko Bykowi odpuści, nie usłyszy nic ważnego. Z drugiej strony, powinien kuć żelazo, póki gorące.

- Wszystko - odparł. - Jak działa cała siatka. Kto co robi. Kim są łącznicy. Każdą jedną pieprzoną rzecz!

Byk przełknął ślinę.

- Nie wiem wszystkiego - wykrztusił, spoglądając z nieszczęśliwą miną na szefa straży.

- Nie zwracaj na mnie uwagi - powiedział pan Blaggs. - Należę do wyposażenia wnętrza.

- Po pierwsze, powiedz mi, jak towar docierał do Maca - zakomenderował Flint.

Najlepiej było zacząć od czegoś, co już wiedział. Byk przystąpił do wyjaśnień i Flint zapisywał jego słowa z rosnącą satysfakcją. Nie miał pojęcia, że strażnik Lane był łapówkarzem.

- Poderżną mi przez pana gardło - stwierdził Byk, skończywszy opowiadać o pani Jardin.

- Niby dlaczego? - zapytał Flint. - Pan Blaggs nikomu nie powie, skąd się tego dowiedział, i wcale nie musi to wypłynąć na twoim procesie.

- Chryste - jęknął Byk. - Myślałem, że da pan już z tym spokój.

- To zależy od ciebie - odparł Flint, aby podtrzymać presję.

Kiedy trzy godziny później opuścił więzienie, był niemal szczęśliwym człowiekiem. Byk na pewno nie powiedział mu wszystkiego, ale inspektor bynajmniej na to nie liczył. Zdobył dosyć nazwisk, żeby kontynuować śledztwo, a według wszelkiego prawdopodobieństwa dureń i tak nie wiedział wiele więcej. Co najważniejsze, wyspiewał za dużo, żeby odwołać zeznania, nawet jeśli groźba oskarżenia go o morderstwo przestanie działać. Gdyby się rozeszło, że jest kapusiem, jakiś więzień rzeczywiście poderżnąłby mu gardło. A Flint miał jeszcze do przesłuchania Bąka. „W tym fachu trzeba czasem stosować paskudne chwytaki”, pomyślał, zajechawszy pod komisariat. Ale narkotyki i przemoc były jeszcze bardziej paskudne. Flint poszedł do swojego pokoju i zaczął sprawdzać nowe dane.

Nazwisko Lingon coś mu mówiło i faktycznie, znalazł je na swojej liście. Ted Lingon, miał warsztat samochodowy. Obiecujące. Ale kim była Annie Mosgrave?

- Kto? - zapytał major Glaushof.

- Jakiś facet, który uczy wieczorami angielskiego czy czegoś - odparł porucznik dyżurny. - Nazywa się Wilt. H. Wilt.

- Już jadę - uciał Glaushof. Odłożył słuchawkę i zajrzał do sąsiedniego pokoju. - Nie czekaj na mnie, kochanie - powiedział do żony. - Mam problem.

- Ja też - mruknęła pani Glaushof i wróciła do oglądania Dallas na BBC.

Trochę pokrzepiała ją świadomość, że Teksas nadal istnieje i nie jest tam cały czas wilgotno, deszczowo i zimno jak w cholernym Baconheath, a ludzie nadal myślą na wielką skalę i żyją w wielkim stylu. Nie powinna więc była wychodzić za męża za szefa bezpieczeństwa bazy lotniczej znikowanego na punkcie owczarków niemieckich. A wydał jej się taki romantyczny, gdy go poznała tuż po jego powrocie z Iranu. Tamtejsze przepisy bezpieczeństwa... Mogła się była domyślić.

Glaushof wsiadł do swojego dżipa w towarzystwie trzech psów i pojechał między budynkami w stronę bramy kwater cywilnych. Na parkingu, w bezpiecznej odległości od Wiltowego escorta, stała grupka mężczyzn. Glaushof celowo zahamował z piskiem opon i wysiadł.

- Co to jest? - zapytał. - Bomba?

- Jezu, nie wiem - odparł porucznik, który piastował odbiornik nasłuchowy. - To może być wszystko.

- Jakby zostawił włączone CB radio - dodał kapral. - Tylko że jest ich dwa i pikają.

- Znasz jakiegoś Angola, który jednocześnie i bez przerwy używa dwóch CB? - zapytał porucznik. - Poza tym nie zgadza się częstotliwość. Jest o wiele za wysoka.

- Więc może to być bomba - stwierdził Glaushof. - Dlaczego go, kurwa, wpuściliście?

W obliczu groźby, że ukryte w samochodzie diabelskie urządzenie zerwie go na kawałki, odstąpił kilka kroków do tyłu. Pozostali podążyli za nim.

- Facet przyjeżdża w każdy piątek, wygłasza wykład, wypija kawę i spokojnie wraca do domu - wyjaśnił porucznik.

- Więc pozwoliliście mu wjechać z jakimś cholerstwem - powiedział Glaushof.

- Odebraliśmy to pikanie później.

- Za późno - mruknął Glaushof. - Nie możemy ryzykować. Ściągnijcie ciężarówkę z piaskiem i to szybko. Trzeba zabezpieczyć ten samochód.

- To nie jest bomba - zaprotestował kapral. - Przy bombie odbieralibyśmy sygnały wchodzące, a nie wychodzące.

- Wszystko jedno - odparł Glaushof. - Doszło do naruszenia bezpieczeństwa i musimy je zlikwidować.

- Jak pan sobie życzy - powiedział kapral i odmaszerował przez parking.

Glaushof zaczął się zastanawiać, jakie inne kroki powinien podjąć. W każdym razie, bezzwłocznie przystąpił do działania, aby ochronić bazę i swoją karierę. Jako szef bezpieczeństwa był zawsze przeciwny wizytom tych cudzoziemskich wykładowców z ich wywrotowymi prelekcjami. Pozbył się już pewnego geografa, członka Greenpeace, jak się okazało, który w wykładach na temat rozwoju angielskiego krajobrazu przemycił stek bzdur o zagrożeniu świata ptaków hałasem przemysłowym i ropą. Samochód z nadającymi bez przerwy radiami wskazywał na coś dużo bardziej poważnego. A coś dużo bardziej poważnego mogło być dokładnie tym, czego potrzebował.

Przebiegł w pamięci listę nieprzyjaciół Wolnego Świata: terroryści, rosyjscy szpiedzy, wywrotowcy, kobiety z Greenham Common*... Wszystko jedno. Najważniejsze było to, że wywiad bazy spieprzył sprawę, co dawało mu okazję do dokopania waśniakom. Glaushof uśmiechnął się do siebie na tę myśl. Nikogo nie nienawidził tak bardzo jak szefa wywiadu. Glaushof należał do płotek, ale pułkownik Urwin ze swoją bezpośrednią linią do Pentagonu i żoną, która przyjaźniła się z połowicą dowódcy bazy, więc zapraszano ich na brydża w sobotnie wieczory - o tak. on był grubą rybą. I absolwentem Yale. Chrzanić go. Glaushof miał taki zamiar.

- Ten facet... mówiliście, że jak się nazywa? - zapytał.

- Wilt - odparł porucznik.

- Gdzie go zamknęliście? .

- Nie zamknęliśmy go nigdzie. Zadzwoń do pana, jak tylko odebraliśmy te sygnały.

- Więc gdzie teraz jest?

- Pewnie prowadzi gdzieś wykład - powiedział porucznik. - Plan zajęć jest na wartowni, razem z jego danymi.

Pospieszyli przez parking do bramy kwater cywilnych i Glaushof przestudiował wpis do akt Wilta. Był krótki i niewiele mówiący.

- Pawilon nr 9 - przeczytał porucznik. - Mam kazać go zgarnąć?

- Jeszcze nie - zdecydował Glaushof. - Dopilnujcie tylko, żeby nie związał.

- Nie dałby rady, chyba że przez to nowe ogrodzenie - stwierdził porucznik. - I też nie zaszedłby daleko. Włączyłem prąd. - Świetnie - odparł Glaushof. - Więc zatrzymajcie go, kiedy skończy wykład.

- Tak jest, panie majorze - powiedział porucznik i wyszedł sprawdzić warty, a Glaushof zadzwonił po straż bezpieczeństwa.

- Otoczcie pawilon nr 9 - polecił - ale nic nie róbcie, dopóki nie przyjdę.

Siedział za biurkiem, wpatrując się z roztargnieniem w przyczepioną do ściany rozkładówkę „Playgirl” przedstawiającą nagiego mężczyznę. Jeśli uda mu się nakłonić tego drania Wilta do mówienia, będzie miał awans w kieszeni. Ale jak go wprawić w odpowiedni nastrój? Przede wszystkim musiał się dowiedzieć, co jest w samochodzie. Nadal zastanawiał się nad taktyką, gdy porucznik zakaszlał dyskretnie za jego plecami. Glaushof zareagował gwałtownie. Nie podobały mu się implikacje tego kaszlu.

- Wy to powiesiliście?! - wrzasnął.

- Nic, panie majorze - odparł porucznik, urażony tym pytaniem równie mocno jak Glaushof jego kaszlem. - To kapitan Clodiak.

* Greenham Common - baza wojskowa w południowej Anglii, w latach 80. miejsce masowych i długotrwałych protestów organizacji kobiecych przeciwko przechowywaniu tam amerykańskich głowic nuklearnych

- To jest kapitan Clodiak? - zapytał Glaushof, odwracając się, aby ponownie spojrzeć na zdjęcie. - Ale ona... on... Chyba żartujecie, poruczniku. To nie jest kapitan Clodiak.

- Ona to powiesiła. Lubi takie rzeczy.

- Tak, no cóż, musi być kobietą z ikrą - powiedział Glaushof, aby uniknąć oskarżenia o szowinizm. Było to prawie tak niebezpieczne dla kariery, jak zostanie uznany za pedała. Nie prawie, jeszcze bardziej.

- Należę do Kościoła Bożego - odrzekł porucznik - i dla nas takie zdjęcia są grzeszne.

Ale Glaushof nie dał się wciągnąć w dyskusję.

- Możliwe - mruknął. - Innym razem, dobrze?

Wyszedł z wartowni i wrócił na parking, gdzie kapral, wspomagany przez jakiegoś majora i kilku ludzi ze służby inżynierskiej, ustawił wokół samochodu Wilta cztery gigantyczne wywrotki z piaskiem, odsuwając przy tym na bok kilkanaście innych pojazdów. Kiedy Glaushof podszedł bliżej, włączono nagle dwa szperacze.

- Zgaście te cholerstwa! - wrzasnął, oślepiiony ich blaskiem. - Chcecie, żeby ci w Moskwie wiedzieli, co robimy?

W ciemnościach, które zapadły po tych słowach, Glaushof wpadł na koło jednej z wywrotek.

- Dobrze, wchodzimy bez świateł - powiedział kapral. - Nie ma sprawy. Pan uważa, że to bomba, ja nie. Bomby nie nadają sygnałów radiowych.

I zanim Glaushof zdążył zwrócić mu uwagę, aby na przyszłość zwracał się do niego „panie majorze”, kapral ruszył w stronę escorta.

- Panie Wilt - powiedziała pani Ofrey - czy mógłby pan naświetlić kwestię pozycji kobiet w społeczeństwie brytyjskim ze szczególnym uwzględnieniem roli, jaką odgrywa w życiu politycznym szanowna pani premier Thatcher i...

Wilt wlepił w nią oczy, zastanawiając się, dlaczego zawsze odczytuje swoje pytania z kartki i dlaczego na ogół nie mają one nic wspólnego z tematem wykładu. Spędzała chyba cały tydzień na ich wymyślaniu. I pytania te zawsze dotyczyły królowej i pani Thatcher, przypuszczalnie dlatego, że pani Ofrey jadła raz obiad w Woburn Abbey u księcia i księżnej Bedford i ich gościnność wywarła na niej ogromne wrażenie. Ale przynajmniej tego wieczoru Wilt poświęcał jej niepodzielną uwagę.

Miał kłopoty, odkąd tylko wszedł do sali wykładowej. Bandaż, którym owinał sobie lędźwie, rozwiązał się podczas jazdy samochodem i zanim Wilt zdążył go poprawić, jeden jego koniec zaczął pełznąć w dół prawej nogawki spodni. Na domiar złego kapitan Clodiak trochę się spóźniła i usiadła naprzeciw niego, zakładając nogę na nogę, toteż Wilt musiał szybko

przywrzeć do mównicy, aby zdławić kolejną erekcję lub przynajmniej ukryć ją przed swoim audytorium. A dzięki temu, że skupił się na pani Ofrey, jak dotąd udało mu się nie zerknąć ponownie na kapitan Clodiak.

Skupianie się na pani Ofrey miało jednak pewne minusy. Chociaż nosiła ona dosyć wełnianej dzianiny w dziwaczne wzory, aby zapewnić utrzymanie kilku hodowcom owiec z Zachodniej Szkocji oraz całkowicie zamaskować swoje i tak mizerne wdzięki, co stanowiło jakieś antidotum na przeżający szyk kapitan Clodiak - Wilt zwrócił już uwagę na bluzkę pani kapitan i polową, jak mu się zdawało, spódnicę z surowego jedwabiu - nadal była kobietą. Poza tym najwyraźniej nie lubiła towarzystwa i zawsze siadała z lewej strony sali w pewnej odległości od reszty słuchaczy, toteż w połowie wykładu dostał od wpatrywania się w nią skrętu szyi. Przeniósł spojrzenie na dziobatego sprzedawcę z kantyny, który uczęszczał poza tym na karate i aerobik, a którego zainteresowanie kulturą brytyjską ograniczało się do zgłębiania tajemnic krykieta, ale to także niewiele mu dało. Po dziesięciu minutach nieprzerwanego kontaktu wzrokowego i krytycznych uwag Wilta na temat wpływu przyznania kobietom prawa głosu na wyniki wyborów od 1928 roku, sprzedawca zaczął się nerwowo wiercić na krześle i Wilt nagle uświadomił sobie, że facet bierze jego zachowanie za podryw. Nie chcąc zostać zbitym na miazgę przez mistrza karate, spróbował wodzić wzrokiem od pani Ofrey do ściany na końcu sali, ale wydawało mu się, że za każdym razem kapitan Clodiak uśmiecha się bardziej znacząco. Wilt przylgnął do mównicy z nadzieją, że dotrwa do końca wykładu, nie ejakulując w spodnie, i pochłonięty tym problemem nie zorientował się, że pani Ofrey skończyła swoje pytanie.

- Czy według pana jest to słuszny pogląd? - dodała tytułem podpowiedzi.

- No więc... hm... tak - odparł Wilt, który nie pamiętał, o co chodziło. Że monarchia brytyjska jest matriarchatem? - Tak, sądzę, że ogólnie biorąc, zgodziłbym się z panią - podjął, mocniej przywierając do mównicy. - Z drugiej strony, nie możemy zakładać, że jakiś kraj nie jest zdominowany przez mężczyzn, tylko dlatego, że rządzi nim kobieta. Na przykład w przedrzymskiej Brytanii mieliśmy królową Boadiceę, a raczej nie powiemy, że w tamtych czasach szalało wyzwolenie kobiet, prawda?

- Nie pytałam o ruch feministyczny - odrzekła pani Ofrey nieprzyjemnym tonem, który sugerował, że jest Amerykanką przedeisenhowerską. - Moje pytanie dotyczyło matriarchalnego charakteru monarchii.

- To prawda - przyznał Wilt, grając na zwłokę. Z ochraniaczem stało się coś dziwnego. Stracił z łobuzem kontakt. - Aczkolwiek tylko dlatego, że mieliśmy kilka królowych... Ściśle biorąc, było ich prawie tyle samo, co królów... A może więcej? W końcu każdy król musiał mieć żonę...

- Henryk VIII miał ich całą masę - odezwał się specjalista od astronawigacji, który, sądząc z jego gustów czytelniczych, wolałby żyć w jakimś klimatyzowanym i odwonionym średniowieczu. - Musiał być z niego kawał chłopca.

- Na pewno - przytaknął Wilt, wdzięczny za tę interwencję. Może wywiąże się dyskusja, co pozwoli mu poszukać tego przeklętego ochraniacza.

- Ściśle biorąc, Henryk miał pięć żon. Katarzynę Aragońską...

- Przepraszam pana - przerwał mu jakiś inżynier - ale czy stare królowe się liczą? Chodzi mi o wdowy. Czy wdowa po królu nadal jest królową?

- Jest królową matką - odparł Wilt, który włożył już rękę do kieszeni i szukał ochraniacza. - Oczywiście ma to walory czysto tytularne. Królowa...

- Powiedział pan „walory”? - zapytała kapitan Clodiak, nadając temu słowu nie zamierzony przez Wilta i całkowicie mu teraz niepotrzebny podtekst. A jej głos pasował do twarzy. Kapitan Clodiak pochodziła z Południa. - Czy zechciałby pan uwypuklić, co to znaczy?

- Uwypuklić? - powtórzył słabo Wilt.

Zanim jednak zdążył odpowiedzieć, ponownie odezwał się inżynier.

- Przepraszam, że przerywam - powiedział - ale chyba coś wystaje panu z nogawki.

- Tak? - zapytał Wilt, jeszcze bardziej przyciskając się do mównicy.

Cała sala patrzyła teraz na jego prawą nogę. Wilt spróbował schować ją za lewą.

- I wydaje mi się, że jest to coś ważnego dla pana.

Wilt świetnie wiedział, co to jest. Puścił mównicę i omal nie tracąc równowagi, złapał się za nogawkę, aby zatrzymać ochraniacz, ale ten był już niżej. Przez chwilę wyglądał niemal nieśmiało z mankietu spodni, po czym ześliznął się na but. Wilt chwycił go błyskawicznym ruchem ręki i spróbował wepchnąć do kieszeni. Ochraniacz ani drgnął. Wciąż przyklepiony plastrzem do bandaża, nie chciał się z nim rozstać. Kiedy Wilt zaczął go ciągnąć, szybko pojął, że może rozedrzeć sobie spodnie. Pojął również, że drugi koniec bandaża nadal opasuje mu biodra i nie zamierza się rozwiązać. Jeszcze jedno szarpnięcie, a stanie przed grupą półnagi, z uwięźniętą przepukliną na dodatek. Z drugiej strony, nie mógł się tak dłużej zginać w pół, a jakakolwiek próba wyciągnięcia cholerstwa od góry poprzez włożenie ręki w spodnie zostałyby źle zrozumiana. Chociaż sądząc z tego, co słyszał, już go źle rozumiano. Mimo swej dziwacznej pozycji Wilt był świadom, że kapitan Clodiak wstała z krzesła, a astronawigator mówi coś o suspensoriach.

Tylko inżynier przyjął konstruktywną postawę.

- Czy ma pan jakiś problem zdrowotny? - zapytał i nie dosłyszał mamrotliwej odpowiedzi Wilta, że nie. - Dysponujemy najlepszymi warunkami do leczenia infekcji dróg moczowo-płciowych na wschód od Frankfurtu i mógłbym wezwać pomoc. Wilt puścił ochraniacz i stanął prosto. Wolał już najeść się wstydu z powodu wystającego ze spodni krykietowego ochraniacza, niż pozwolić, aby w obecnym stanie zbadał go wojskowy lekarz. Bóg jeden wiedział, co facet mógłby pomyśleć o galopującej erekcji.

- Nie potrzebuję pomocy lekarskiej - wychrypiał Wilt. - Po prostu... przed przyjazdem tutaj grałem w krykieta i w pośpiechu zapomniałem... Na pewno państwo rozumiecie.

Pani Ofrey najwyraźniej nie rozumiała. Mrucząc coś o braku ogłady, wymaszerowała z sali za kapitan Clodiak. Zanim Wilt zdążył wyjaśnić, że musi tylko pójść do toalety, wtrącił się dziobaty sprzedawca.

- Nie wiedziałem, że gra pan w krykieta. Zaledwie trzy tygodnie temu nie umiał mi pan powiedzieć, jak wy, Anglicy, nazywacie podkreconą piłkę.

- Innym razem - odparł Wilt. - W tej chwili muszę pójść do... hm... łazienki.

- Na pewno nie chce pan...

- Na pewno - uciął Wilt. - Czuję się znakomicie. To tylko... Mniejsza z tym.

Wykuśtykał z sali i niebawem walczył z ochraniaczem, bandażem i spodniami bezpiecznie ukryty w kabinie toalety. Jego słuchacze omawiali tymczasem ów najnowszy przejaw kultury brytyjskiej z ożywieniem, jakiego nie wzbudziły w nich poglądy Wilta na ordynację wyborczą.

- Nadal uważam, że facet nie ma pojęcia o krykiecie - stwierdził sprzedawca, ale nawigatora i inżyniera bardziej interesował stan zdrowia Wilta.

- Miałem w Idaho wujka, który musiał nosić pas przepuklinowy - powiedział inżynier. - To nic nadzwyczajnego. Spadł z drabiny, kiedy na wiosnę malował dom. Te sprawy mogą być naprawdę groźne.

- Mówiłem panu - powiedział kapral. - Dwa nadajniki radiowe, jeden magnetofon, żadnej bomby.

- Na pewno? - zapytał Glaushof, starając się ukryć rozczarowanie.

- Na pewno - potwierdził kapral.

Poparł go major ze służby inżynieryjnej, który chciał wiedzieć, czy może już polecić swoim ludziom zabrać wywrotki. Kiedy odjechały, zostawiając osamotnionego escorta Wilta pośrodku parkingu, Glaushof postanowił mimo wszystko wykorzystać sytuację. Pułkownik Urwin, szef wywiadu, wyjechał na weekend i pod jego nieobecność mógłby zażegnać jakiś mały kryzys.

- Facet nie wjechał tu z tym sprzętem bez powodu - oświadczył. - Ma pan jakieś sugestie, majorze?
- Mogła to być symulacja dla sprawdzenia, czy uda im się wwieźć do bazy bombę i zdetonować ją zdalnie - odparł major, który pod wpływem swoich kompetencji myślał dość jednotorowo.
- Ale on nadawał, nie odbierał - zauważył kapral. - Przy bombie są potrzebne sygnały wchodzące, nie wychodzące. I na co mu ten magnetofon?
- To nie moja działka - stwierdził major. - Jeśli chodzi o materiały wybuchowe, samochód jest czysty. Pójdę spisać raport.
- Glaushof powziął ostateczną decyzję.
- Dla mnie - powiedział. - Złoży pan raport mnie i nikomu innemu. Musimy spuścić na to zasłonę.
- Zasłoniliśmy już samochód wywrotkami i zupełnie niepotrzebnie.
- To prawda - przyznał Glaushof - ale nadal nie wiemy, co jest grane. Odpowiadam za bezpieczeństwo bazy i nie podoba mi się, że jakiś dzemogad wjeżdża tu z całym tym cholerstwem. Albo to symulacja, jak pan powiedział, albo coś innego.
- Musi to być coś innego - zawyrokował kapral. - To oczywiste. Mając ten sprzęt, można by nagrać pieprzące się wszy z odległości dwudziestu mil. Taki jest czuły.
- Może jego żona stara się o rozwód? - podsunął major.
- Musiałaby być w cholernej desperacji, żeby używać dwóch nadajników i magnetofonu - odparł kapral. - Poza tym nie są to ogólnie dostępne urządzenia. Nigdy nie widziałem, żeby jakiś cywil miał namierzacze najnowszej generacji.
- Namierzacze? - powtórzył Glaushof, który wciąż był myślami przy pieprzających się wszach. - Jakie namierzacze?
- Wskaźniki położenia. Dwaj goście odbierają sygnały i wiedzą, gdzie dokładnie jest.
- Jezu! - wykrzyknął Glaushof. - Mówicie, że Ruscy mogli przysłać tego Wilta jako agenta, żeby się dowiedzieć, gdzie jesteśmy?
- Już to wiedzą dzięki termolokacji satelitarnej. Nie muszą przysyłać faceta, który będzie machał radiem jak flagą - powiedział kapral. - Chyba że chcieli się go pozbyć.
- Pozbyć się go? Dlaczego mieliby to robić?
- Nie mam pojęcia - odrzekł kapral. - Pan jest od spraw bezpieczeństwa, ja od spraw technicznych, i zgadywanie, dlaczego ktoś coś robi, nie należy do mnie. Wiem tylko tyle, że nie kazałbym mojemu agentowi jechać gdzieś z nadajnikiem, który go zdradza, gdybym nie chciał, żeby go złapano. To jak umieścić w pieprzonym pokoju z kotem pieprzoną mysz, która nie może przestać piszczeć.

Glaushof nie dawał za wygraną.

- Tak czy inaczej, Wilt wjechał tu z nielegalnym sprzętem szpiegowskim i już stąd nie wyjedzie.

- Więc zorientują się po tych sygnałach, że nadal tu jest - zauważył kapral.

Glaushof posłał mu nienawistne spojrzenie. Zdrowy rozsądek kaprała zaczął go solidnie wkurzać. Ale oto miał okazję oddać wet za wet.

- Chcecie powiedzieć, że te radia nadal działają? - wrzasnął.

- No jasne - odparł kapral. - Kazał nam pan sprawdzić, czy w samochodzie nie ma bomb. Nie mówił pan, że mamy mu rozpieprzyć sprzęt nadawczy. Powiedział pan „bomby”.

- Tak jest - wtrącił major. - Powiedział pan „bomby”.

- Wiem, co powiedziałem - ryknął Glaushof. - Nie musicie mi przypominać!

Umilkł i z wściekłością skierował swą uwagę na samochód. Jeśli nadajniki wciąż działały, nieprzyjaciel zapewne już wiedział, że został odkryty, a w takim razie... Jego myśli pomknęły dalej, torem, który prowadził do katastrofy. Musiał podjąć doniosłą decyzję i to zaraz.

- W porządku - powiedział. - Zabierzcie go stąd.

Pięć minut później, mimo protestów, że nie zrobi trzydziestu mil żadnym pieprzonym samochodem z pieprzonymi szpiclami na pieprzonym ogonie, chyba że dostanie pieprzoną ochronę, kapral wyjechał z bazy. Kasetę w magnetofonie wymieniono na nową, ale poza tym nic nie wskazywało, że ktoś przy eskorcie majstrował. Instrukcje Glaushofa były jasne.

- Zostawicie samochód pod jego domem - polecił kapralowi. - Major przywiezie was z powrotem i jeśli będą jakieś problemy, zajmie się nimi. Dranie chcą wiedzieć, gdzie jest ich chłopak - niech szukają go u siebie. Trudno im będzie znaleźć go u nas.

- Za to bez trudu znajdą mnie - mruknął kapral, który już wiedział, że nie należy dyskutować ze starszymi rangą. Powinien był pozostać przy niemym oporze.

Glaushof przyglądał się przez chwilę, jak escort i ciężarówka znikają w ponurym nocnym krajobrazie. Nigdy go nie lubił, ale teraz wydał mu się wręcz złowrogi. To przez te równiny wiał wiatr z Rosji, od samego Uralu. Dla Glaushofa był to zatruty wiatr, który, owionąwszy kopuły i wieżyczki Kremla, zagrażał przyszłości świata. A teraz gdzieś tam ktoś słuchał. Glaushof odwrócił wzrok. Zamierzał się dowiedzieć, kim są ci złowrodzy słuchacze.

- Ptaszek nadal jest w środku i na pewno nam nie wyfrunie - powiedział porucznik Harah, gdy Glaushof dotarł wreszcie pod pawilon nr 9. Ta ostatnia informacja była zbyt cenna. Glaushof sam miał kłopoty z przedarciem się przez kordon, którym Harah otoczył pawilon, i w innych okolicznościach ostro by skrytykował skrupulatność porucznika. Ale sytuacja była poważna, a poza tym szanował kompetencje swego zastępcy. Jako szef OOPP, Oddziału Obrony Przeciwpenertracyjnej, porucznik Harah odbył szkolenie w Fort Knox i w Panamie, a przebrany za brytyjskiego policjanta brał udział w akcji pod Greenham Common, gdzie dosłużył się orderu za rany odniesione na polu bitwy, ponieważ ugryzła go w nogę matka czwórka dzieci - które to doświadczenie nieprzychylnie nastawiło go do kobiet. Glaushofowi odpowiadała jego mizoginia. Miał gwarancję, że przynajmniej jeden mężczyzna w Baconheath nie przeleci Mony Glaushof i że Harah nie będzie się ceregielił z członkiniami CND, gdyby próbowały wdrzeć się do bazy.

Z drugiej strony, miał wrażenie, że tym razem porucznik posunął się za daleko. Pomijając już sześciu komandosów w maskach przeciwgazowych, zaczajonych przy szklanych drzwiach pawilonu i kilku innych przycupniętych pod oknami z boku, pod ścianą sąsiedniego budynku stała na baczność niewielka grupka kobiet.

- A to kto? - zapytał Glaushof.

Miał paskudne wrażenie, że poznaje szkocką dzianinę pani Ofrey.

- Podejrzane kobiety - odparł porucznik Harah.

- Jak to „podejrzane kobiety”? - indagował Glaushof. - Albo są kobietami, albo nie.

- Wyglądają jak kobiety - wyjaśnił porucznik - co me znaczy, że nimi są. Mogą być przebranymi terrorystami. Chce pan, żebym to sprawdził?

- Boże broń - odparł pośpiesznie Glaushof.

Rozpłaszczenie na ścianie żony szefa administracji bazy wyglądało dostatecznie źle i bez sprawdzania jej płci przez porucznika Haraha. Z drugiej strony, nawet pani Ofrey nie powinna narzekać, że uratowano ją przed losem zakładniczki.

- Jesteście pewni, że się nie wymknął?

- Absolutnie - potwierdził Harah. - Tunele gospodarcze są zablokowane, a gdyby przypadkiem wydostał się na dach, mam strzelców wyborowych na sąsiednim budynku. Wystarczy wrzucić do środka puszkę gazu obojętnego i po kłopotach.

Glaushof spojrzał z powątpiewaniem na rząd kobiet. Kłopoty dopiero się zaczną i może byłoby lepiej, gdyby wyglądały na naprawdę poważne.

- Zaprowadzę te kobiety w bezpieczne miejsce i możecie zaczynać - powiedział. - Nie strzelajcie, chyba że otworzy ogień pierwszy. Chcę faceta

przesłuchać. Zrozumiano?

- Tak jest - odparł porucznik. - Jak powącha GO, nie trafi palcem w spust.

- W porządku. Dajcie mi pięć minut - polecił Glaushof i podszedł do pani Ofrey. - Pozwolą panie za mną - powiedział i odprawiwszy ludzi, którzy ich pilnowali, popędził całą grupkę za róg i do holu innego pawilonu. Pani Ofrey była wyraźnie zirytowana.

- Co mają znaczyć... - zaczęła, ale Glaushof uciszył ją gestem ręki.

- Już wszystko tłumaczę - powiedział. - Zdaję sobie sprawę, że sprawiliśmy paniom kłopot, ale mamy do czynienia z infiltracją i nie mogliśmy pozwolić, aby wzięto panie jako zakładniczki.

Umilkł i z zadowoleniem stwierdził, że pani Ofrey zrozumiała, co trzeba.

- To doprawdy okropne - wyszeptała.

Zaskoczyła go natomiast kapitan Clodiak.

- Jaka infiltracja? - spytała. - Mieliśmy normalny wykład. Nie widziałam nikogo nowego. Chce pan powiedzieć, że jest tam ktoś, o kim nie wiemy?

Glaushof musiał się zastanowić. Nie chciał, aby wiadomość, że Wilt jest obcym agentem, rozeszła się po bazie lotem błyskawicy, i to zanim jeszcze zakończy przesłuchanie i będzie miał wszystkie informacje, których potrzebował, aby dowieść, że służba wywiadowcza, a ten wazelinarz pułkownik Urwin w szczególności, nie prześwietlili cudzoziemca jak należy. Wtedy pułkownik pójdzie w odставку, a Glaushof otrzyma awans. Jeśli jednak Wywiad zwęszy, co się dzieje, cały plan może spalić na panewce. Glaushof uciekł się do wybiegu tajności.

- Nie uważam, aby w obecnej chwili dalsze naświetlanie tej kwestii było wskazane. Sprawa jest ściśle tajna. Najmniejszy przeciek mógłby poważnie osłabić potencjał obronny Dowództwa Lotnictwa Strategicznego w Europie. Muszę wprowadzić całkowite zaciemnienie informacyjne.

To oświadczenie wywarło na chwilę pożądany skutek. Nawet pani Ofrey sprawiała wrażenie należycie osłupiałej. Ale kapitan Clodiak przerwała ciszę.

- Nic z tego nie kapuję - oznajmiła. - Byłyśmy tam tylko my i ten cały Wilt, prawda?

Glaushof nic nie odpowiedział.

- A pan ściąga esesmanów, którzy przygważdżają nas do ściany, jak tylko wyjdziemy, po czym mówi, że to infiltracja. Nie wierzę panu, majorze. Zwyczajnie panu nie wierzę. Jedynej infiltracji, o jakiej mi wiadomo, dopuścił się pod moją spódnicą ten seksistowski drań porucznik Harah i za-

mierzam wnieść przeciwko niemu oficjalną skargę, bez względu na to, ilu urojonych szpiegów załęgło się w pana chorej wyobraźni.

Glaushof nerwowo przełknął ślinę. Zrozumiał, że miał rację, charakteryzując kapitan jako kobietę z ikrą, i że zupełnie jej nie miał, pozwalając Harahowi działać na własną rękę. Pomylił się również w ocenie jego antypatii do kobiet, choć należało przyznać, że kapitan Clodiak jest wyjątkowo atrakcyjną kobietą. Aby ratować sytuację, spróbował przybrać współczujący uśmiech. Wyszło mu to trochę krzywo.

- Jestem pewien, że porucznik Harah nie miał zamiaru... - zaczął.

- Więc gdzie pchał łapę? - warknęła kapitan Clodiak. - Myśli pan, że nie umiem rozpoznać zamiarów, kiedy je czuję?

- Może sprawdzał, czy nie ma pani broni - odparł Glaushof, który już wiedział, że będzie musiał zrobić coś naprawdę zdumiewającego, aby odzyskać panowanie nad sytuacją.

Uratował go brzęk tłuczonego szkła. Porucznik Harah odczekał dokładnie pięć minut i przystąpił do akcji.

Wilt potrzebował grubo ponad pięć minut na rozplatanie bandaża i umocowanie ochraniacza w taki sposób, aby zabezpieczał go przed nieobliczalnymi wybrykami jego członka. W końcu mu się to udało i dosyć niezadarnie związywał całe urządzenie razem, kiedy usłyszał pukanie do drzwi.

- Dobrze się pan czuje? - zapytał inżynier.

- Tak, dziękuję - odparł Wilt, na tyle uprzejmie, na ile pozwoliła mu irytacja.

Z miłymi idiotami zawsze było tak samo. Dranie ofiarowywali się z pomocą w kompletnie niewłaściwy sposób. Wszystko, czego Wilt w tej chwili chciał, to prysnąć z bazy, nie robiąc sobie jeszcze większego wstydu. Ale inżynier tego nie rozumiał.

- Właśnie mówiłem Pete'owi, że mój wujek z Idaho też nosił pas przepuklinowy - powiedział przez drzwi.

- Naprawdę? - spytał Wilt z udawanym zainteresowaniem, szarpiąc się ze swoim rozporkiem.

W suwaku najwyraźniej utkwiała nitka bandaża. Wilt spróbował pociągnąć go w dół.

- Chodził z paskudztwem całe lata, aż ciocia Annie dowiedziała się o tym chirurgu w Kansas City i zawiozła lam wujka Rona. Oczywiście nie chciał jechać, ale potem tego nie żałował. Mogę panu dać jego nazwisko.

- Kurwa - mruknął Wilt.

Szew u dołu rozporoka zatrzeszczał tak, jakby się rozpruł.

- Mówił pan coś? - zapytał inżynier.

- Nie - odparł Wilt.

Na moment zapadła cisza, podczas której inżynier obmyślał zapewne swój następny krok, a Wilt usiłował pociągnąć suwak do góry, przytrzymując rozporek u dołu.

- Jak ja to rozumiem, a musi pan pamiętać, że nie jestem lekarzem, niemniej jako inżynier znam się na usterkach mechanicznych, dochodzi do niedowładu mięśni w dolnej...

- Niech pan posłucha - przerwał mu Wilt. - W tej chwili mam tu usterkę mechaniczną suwaka moich spodni. Coś w nim utkwilo i zaciął się.

- Z której strony? - zapytał inżynier.

- Co z której strony?

- To coś w nim tkwi?

Wilt spojrzał na suwak. W ciasnej kabinie trudno było się zorientować, z której strony jest cokolwiek.

- A skąd, do diabła, mam wiedzieć?

- Ciągnął go pan do góry czy w dół? - indagował inżynier.

- Do góry - odparł Wilt.

- Czasem dobrze jest najpierw pociągnąć go w dół.

- On jest na dole - warknął Wilt, folgując swojej irytacji. - Gdyby cholernik nie był na dole, nie próbowałbym ciągnąć go do góry, prawda?

- Prawda - przyznał inżynier z pogodną cierpliwością, która była jeszcze bardziej denerwująca niż jego chęć niesienia pomocy. - Niemniej jeśli nie jest na samym dole, mogłoby to coś dać... - Umilkł na chwilę. - A co właściwie pan sobie przyciął?

Wilt wbił obłąkane spojrzenie w wywieszkę, która nie tylko nakazywała mu umyć ręce, lecz także objaśniała, jak ma to zrobić.

- Policz do dziesięciu - wymamrotał pod nosem i ku swemu zaskoczeniu stwierdził, że suwak się odczepił.

Podobnie jak inżynier od Wilta. Brzęk tłuczonego szkła zamącił wreszcie jego pogodę ducha.

- Jezu, co się dzieje?! - wrzasnął.

Nie było to pytanie, na które Wilt mógł odpowiedzieć. I biorąc pod uwagę odgłosy na zewnątrz, wcale nie chciał. Trzasnęły jakieś drzwi i na korytarzu rozległ się tupot nóg oraz przytłumione rozkazy „Stój”. Wilt stanął. Chociaż przekonał się ostatecznie, że chodzenie do toalety poza własnym domem niesie ze sobą pewne ryzyko, przebywanie w zamkniętej kabinie, gdy do budynku wpada Oddział Obrony Przeciwpenertracyjnej, było dla niego nowym doświadczeniem.

Dla inżyniera również. Kiedy na korytarz wtargnęli uzbrojeni w automaty mężczyźni w maskach przeciwgazowych i puszkami ze środkiem obездniającym uderzyły o podłogę, stracił wszelkie zainteresowanie problemami Wiltowego suwaka i zawrócił do sali wykładowej. Po drodze zde-

rzył się z nawigatorem i sprzedawcą z kantyny biegnącymi w przeciwnym kierunku, i powstało zamieszanie, które dowiodło, że gaz obezwładniający zasługuje na swą nazwę. Sprzedawca próbował się uwolnić od inżyniera, który robił, co mógł, aby go ominąć, a nawigator objął ich obu pod wpływem złudzenia, że porusza się w inną stronę.

Kiedy upadli na podłogę, porucznik Harah stanął nad nimi wielki i niebywale złowieszczy w swojej masce przeciwgazowej.

- Który z was jest Wiltem? - ryknął.

Jego głos, zniekształcony przez maskę i działanie gazu na ich systemy nerwowe, docierał do nich powoli. Nawet elokwentny inżynier nie był w stanie odpowiedzieć.

- Zabierzcie ich stąd - polecił porucznik i trzech mężczyzn zostali wywleczeni z budynku, gulgocząc zdania, które brzmiały tak, jakby puszczone pod wodą przenośny magnetofon ze starymi bateriami.

Ukryty w kabinie Wilt słuchał tych okropnych odgłosów z rosnącym niepokojem. Brzęk szkła, dziwnie przytłumione okrzyki oraz tupot ciężkich butów nie należały do programu jego poprzednich wizyt w bazie i za skarby świata nie potrafił odgadnąć, co wróżą. Cokolwiek to było, miał dość kłopotów jak na jeden wieczór i nie chciał wpakować się w następne. Wydawało się, że najbezpieczniej będzie zostać tam, gdzie jest, i poczekać, aż to, co się dzieje, ustanie. Wilt zgasił światło i usiadł na sedesie.

Tymczasem ludzie porucznika Haraha zameldowali mamrotliwie, że w sali wykładowej nikogo nie ma. Mimo obłoków gazu porucznik to widział. Patrząc przez okular maski, zlustrował puste krzesła z uczuciem rozczarowania. Miał nadzieję, że wrogi agent będzie stawiał przykładowy opór, i łatwość, z jaką drania ujęto, sprawiła mu zawód. Zrozumiał leż, że nie powinien być brać na akcję psów bojowych, nie wyposażywszy ich w maski. Gaz obezwładniający ewidentnie działał również na zwierzęta. Jeden pies ślizgał się po podłodze, warcząc w zwolnionym tempie, a inny, próbując się podrapać w prawe ucho, machał zadnią łapą w wielce niepokojący sposób.

- W porządku, to wszystko - powiedział porucznik i wy-maszerował z budynku, aby przesłuchać swoich jeńców.

Niestety, oni również zostali całkowicie obezwładnieni i Harah nie miał pojęcia, którego powinien zatrzymać jako cudzoziemskiego szpiega. Wszyscy trzech mieli na sobie cywilne ubrania i nie byli w stanie powiedzieć, kim lub czym są. Porucznik Harah zgłosił się do Glaushofa.

- Niech pan ich lepiej obejrzy. Nie wiem, który sukinsyn jest który.

- Wilt - warknął Glaushof, patrząc z furią na maskę porucznika. - Nazywa się Wilt. Jest agentem obcego wywiadu. Nie powinniście mieć kłopotu

z rozpoznaniem drania.

- Wszystkie dzemojady wyglądają dla mnie tak samo - odparł porucznik, po czym dostał kantem dłoni w krtań i kolanem w krocze od kapitan Clodiak, która mimo maski rozpoznała swego seksistowskiego napastnika. Kiedy porucznik zgiął się w pół, chwyciła go za rękę i zaskoczony Glaushof zobaczył, jak łatwo jego zastępca daje się powalić kobiecie.

- Niebawem - powiedział. - To prawdziwa przyjemność być świadkiem...

- Bez kitu - przerwała mu kapitan Clodiak, otrzepując dłonie z taką miną, jakby chciała zademonstrować swoją znajomość karate na następnej osobie. - Ten palant zrobił seksistowską uwagę, a pan powiedział Wilt. Mam rację?

Glaushof na chwilę się stropił. Nie widział nic seksistowskiego w epitecie „sukinsyn” i nie chciał rozmawiać o Wilcie przy pozostałych kobietach. Z drugiej strony, nie miał bladego pojęcia, jak Wilt wygląda, i ktoś musiał go zidentyfikować.

- Może lepiej przedyskutujmy to na zewnątrz - odparł i wyszedł za drzwi.

Kapitan Clodiak czujnie podążyła za nim.

- O czym mamy dyskutować? - zapytała.

- O Wilcie - odrzekł Glaushof.

- Pan oszalał. Słyszałam, co pan przed chwilą powiedział. Wilt jest agentem?

- Bezsposornie - potwierdził Glaushof, uciekając w lapidarność.

- Jak to? - spytała równie zwięźle Clodiak.

- Przeniknął na teren bazy z taką ilością sprzętu radionadawczego w samochodzie, że sygnały informujące o naszej pozycji mogły dotrzeć do Moskwy albo i na księżyc. Mówię poważnie, kapitanie. Co więcej, nie jest to sprzęt cywilny, jaki można kupić w sklepie. To profesjonalne urządzenia - powiedział Glaushof i poczuł ulgę, widząc, że z twarzy Clodiak znika niedowierzanie. - A w tej chwili ktoś musi mi pomóc go zidentyfikować.

Poszli za róg, gdzie przed pawilonem nr 9 leżeli twarzami do ziemi trzej schwytni mężczyźni. Pilnowały ich dwa obezwładnione psy bojowe i oddział OPP.

- W porządku, chłopcy, kapitan go rozpozna - oznajmił Glaushof i trącił nogą sprzedawcę z kantyny. - Odwróć się no.

Sprzedawca próbował spełnić polecenie, ale udało mu się tylko wpełznąć na inżyniera, który natychmiast dostał drgawek. Glaushof spojrzał z obrzydzeniem na ich wykrzywione twarze, po czym z jeszcze większym obrzydzeniem zauważył, że pies bojowy sika na jego but, nawet nie podnosząc nogi.

- Zabierzcie ode mnie to bydłę - krzyknął.

Zawtórował mu inżynier, protestujący równie energicznie, choć mniej zrozumiale przeciwko ewidentnym próbom zgwałcenia go przez sprzedawcę. Kiedy pies został odprowadzony, a raczej odciągnięty za smycz przez trzech ludzi i na ziemi przywrócono jaki taki porządek, wyraz twarzy kapitan Clodiak znowu się zmienił.

- Chciał pan chyba, żebym zidentyfikowała Wilta - powiedziała. - Ale Wilta tu nie ma.

- Nie ma go? Jest pani pewna?

Glaushof popatrzył podejrzliwie na wyłamane drzwi pawilonu.

- To są ludzie, których porucznik kazał nam schwytać - odezwał się jeden z komandosów. - Nie widziałem w środku nikogo innego.

- Musiał tam być! - wrzasnął Glaushof. - Gdzie Harah?

- Tam, gdzie zaprowadził pan...

- Wiem, gdzie. Sprowadźcie go i to szybko.

- Tak jest - odparł komandos i odmaszerował.

- No to ma pan problem - zauważyła kapitan Clodiak.

Glaushof wzruszył ramionami.

- Nie mógł przebić się przez kordon, a nawet jeśli, spali się na ogrodzeniu albo aresztują go przy bramie - powiedział. - Nie martwię się.

Niemniej przyłapał się na tym, że spogląda na znajome, nieciekawe budynki i uliczki między nimi z nieufnością, jakby nagle zmieniły charakter i stały się współnikami nieobecnego Wilta. Uświadomił sobie - a taka introspekcja była dla Glaushofa czymś niepokojąco nowym - ile znaczy dlań Baconheath; był to jego dom, jego własna mała forteca na obcej ziemi, gdzie swojskie odgłosy odrzutowców przypominały mu jego rodzinne miasto, Eiderburg w stanie Michigan, i przydrożną rzeźnię, w której zabijano świnię. Jako chłopiec budził się przy ich kwiku i gwizd startujących F-11 działał nań w ten sam kojący sposób. Przede wszystkim jednak Baconheath ze swoim ogrodzeniem i strzeżoną bramą było dla niego Ameryką, jego ojczyzną, potężną, niepodległą i wolną od niebezpieczeństw dzięki jego bezustannemu czuwaniu i ogromowi swego arsenału. Przycupnięte za drutami i oddzielone płaską przestrzenią mokradeł od starych, rozsypujących się wiosek i miasteczek z ich leniwymi, nieudolnymi sprzedawcami w sklepach i brudnymi pubami, w których dziwni ludzie pili ciepłe, niehigieniczne piwo, Baconheath było oazą energicznej efektywności i postępu oraz dowodem, że wielkie Stany Zjednoczone Ameryki wciąż są Nowym Światem i pozostaną nim po wsze czasy.

Teraz jednak Glaushof patrzył na bazę inaczej i na chwilę poczuł się w niej dziwnie obco. Te budynki ukrywały przed nim Wilta i dopóki drania nie znajdzie, Baconheath będzie skażone. Z wysiłkiem odpędził tę kosz-

marną wizję, ale zaraz ukazała mu się następna. Zza rogu wyszedł porucznik Harah, który najwyraźniej wciąż płacił za swoje seksistowskie zachowanie wobec kapitan Clodiak, gdyż podtrzymywało go dwóch ludzi z OOPP. Glaushof w zasadzie spodziewał się tego. Niemniej bełkot, jaki porucznik z siebie wydawał, trudno było wytłumaczyć kopniakiem w krocze.

- To GO, panie majorze - wyjaśnił jeden z komandosów. - Chyba rozbił w holu jedną puszkę.

- Rozbił puszkę? W holu? - wychrypiął Glaushof, przerażony myślą, jakie straszliwe konsekwencje dla jego kariery będzie miał tak skandaliczny postępek. - Tam są te kobiety...

- Tak jest - zapał bez ostrzeżenia porucznik Harah.

Glaushof odwrócił się do niego.

- Co „tak jest”?

- Absolutnie - głos Haraha przeszedł w sopran. I zaciął się. - Absolutnie, absolutnie, absolutnie...

- Zakneblujcie drania - krzyknął Glaushof i popędził za róg, aby zobaczyć, czy da się jeszcze uratować sytuację.

Ale sprawa była beznadziejna. Z jakiegoś obłąkanego powodu, być może chcąc się zabezpieczyć przed kolejnym atakiem kapitan Clodiak, porucznik Harah wyszarpnął zawleczkę z granatu gazowego, niepomny na to, że podczas upadku zgubił maskę. Patrząc przez szklane drzwi na dziwaczne sceny rozgrywające się w holu, Glaushof przestał się obawiać ingerencji pani Ofrey. Przewieszona przez oparcie krzesła, tak że jej włosy dotykały podłogi i szczęśliwie zasłaniały twarz, żona szefa administracji przypominała dużą i nie trzymającą moczu szkocką owcę, którą trochę przedwcześnie przepuszczono przez maszynę dziewiarską. Inne kobiety były w nie lepszym stanie. Jedna leżała na plecach i najwyraźniej przeżywała na nowo jakieś osobliwe bierne doświadczenie seksualne, a pozostałe adeptki brytyjskiej kultury i instytucji wyglądały tak, jakby statystowały w filmie, który opowiada o końcu świata. Glaushof ponownie doznał tego upiornego uczucia obcości w znajomym otoczeniu i udało mu się zapanaować nad sobą wyłącznie poprzez sięgnięcie do ograniczonych rezerw własnego zdrowia psychicznego.

- Zabierzcie je stąd! - wrzasnął. - I wezwijcie lekarza. Mamy w bazie szaleńca.

- Porucznik Harah będzie się gęsto tłumaczył - zauważyła kapitan Clodiak. - Nie sądzę, aby generał Ofrey specjalnie się ucieszył ze śmierci żony. Będzie musiał grać w brydża z dziadkiem.

Ale Glaushof miał już dosyć obiektywizmu kapitan.

- Pani jest za to odpowiedzialna - powiedział nowym, groźnym tonem. - Sama będzie się pani tłumaczyć. Zaatakowała pani porucznika Haraha

podczas wykonywania obowiązków służbowych i...

- Jakby jego obowiązki służbowe wymagały wsadzania mi łapy w... - przerwała mu kapitan, po czym nagle zamilkła i wytrzeszczyła oczy. - O Boże -jęknęła i Glaushof, który przygotowywał się na kolejny pokaz karate, podążył za jej spojrzeniem.

W wyłamanych drzwiach pawilonu nr 9 jakaś żalosna istota próbowała dźwignąć się z ziemi. I doznała niepowodzenia.

Piętnaście mil dalej pikający Wiltowy escort zmierzał okrężną drogą w stronę Ipford. Ponieważ nikt nie powiedział kapralowi, którędy ma jechać, a on sam nie ufał zapewnieniom Glaushofa, że major i jego ludzie podążający za nim ciężarówką zagwarantują mu dostateczną ochronę, zastosował własne środki ostrożności. Zaopatrzył się mianowicie w ciężki karabin maszynowy i obmyślił trasę, która miała maksymalnie zdezorientować osoby próbujące określić jego pozycję na podstawie nasłuchu. I osiągnął swój cel. Na początek przebył dwadzieścia mil wielce skomplikowanym zygzakiem, tak że pół godziny od wyjazdu z Beaconheath znajdował się zaledwie pięć mil od bazy. Następnie ruszył w kierunku Ipford i spędził dwadzieścia minut w tunelu pod autostradą, udając, że zmienia koło, po czym skręcił w boczną drogę, która bardzo dogodnie biegła przez kilkanaście mil wzdłuż linii wysokiego napięcia. Po dwóch kolejnych tunelach i piętnastu milach szosy wijącej się poniżej wału przeciwpowodziowego inspektor Hodge i jego tajniacy w drugiej furgonetce przesyłali sobie nawzajem rozpaczliwe komunikaty, próbując ustalić gdzie, do diabła, im zniknął. Co gorsza, sami też nie bardzo wiedzieli, gdzie są.

Major miał podobny dylemat. Nic spodziewał się, że kapral będzie stosował manewry wymijające albo jechał - kiedy nie czał się w tunelach - z nadmierną prędkością po wąskich i krętych drogach, które zostały prawdopodobnie wytyczone dla pojazdów konnych i były niebezpieczne już wtedy. Ale majora mało to obchodziło. Jeśli kapral chciał gnać jak oparzony, jego sprawa.

- Jak chce mieć zbrojną eskortę, niech się nas trzyma - powiedział do kierowcy, kiedy zarzuciło ich na błotnistym, dziewięćdziesięciostopniowym zakręcie i omal nie wylądowali w głębokim kanale z wodą. - Nie zamierzam skończyć życia w jakimś rowie, więc na litość boską zwolnij.

- Wtedy za nim nie nadążymy - zaproponował kierowca, który był w swoim żywiole.

- Trudno. Jeśli nie pochłonie go piekło, kiedyś dotrze do Ipford. Mam tu adres. Przy pierwszej okazji wjedź na autostradę i zaczekamy na niego na miejscu.

- Tak jest - odparł rad nierad kierowca i na najbliższym skrzyżowaniu wrócił na główną drogę.

Sierżant Runk chętnie zrobiłby to samo, ale taktyka kaprała potwierdziła najśmielsze przypuszczenia inspektora Hodge'a.

- Próbuje nas zgubić - krzyknął inspektor wkrótce po tym, jak kaprał opuścił bazę i zaczął igrać ze śmiercią. - To musi oznaczać, że wiezie towar.

- Albo trenuje do rajdu Monte Carlo - odparł Runk.

Hodge nie poznał się na dowcipie.

- Bzdura. Drań jedzie do Baconheath, spędza tam półtorej godziny, a później zasuwa osiemdziesiątką po polnych drogach, którymi żaden człowiek przy zdrowych zmysłach nie jechałby czterdziestką za dnia, i w dodatku zawraca pięć razy. Musi mieć w tym samochodzie coś, co sobie ceni.

- Na pewno nie jest to jego życie - zauważył Runk, starając się nie spaść z fotela. - Może wezwiemy drogówkę i niech go zatrzymają za przekroczenie prędkości? Mieliby prawo przeszukać wóz.

- Dobry pomysł - odrzekł Hodge i miał już wydać stosowne polecenia, kiedy kaprał schronił się w tunelu i zgubili go na dwadzieścia minut. Hodge spędził ten czas, winiąc Runka za to, że nie odnotował współrzędnych jego poprzedniej pozycji i wzywając na pomoc drugą furgonetkę. Dalsza trasa kaprała, prowadząca wzdłuż linii wysokiego napięcia i wału przeciwpowodziowego, postawiła ich w jeszcze bardziej kłopotliwej sytuacji. Inspektor zupełnie nie wiedział, co począć, lecz jego przekonanie, że ma do czynienia z przestępczym asem przerodziło się w niezłomną pewność.

- Przekazał towar jakiemuś wspólnikowi i jeśli go teraz zgarniemy, będzie twierdził, że jest niewinny - wymamrotał.

Nawet Runk musiał przyznać, że wszystko na to wskazuje.

- Wie też, że jego wóz jest na podsłuchu - dodał. - Inaczej by tak nie jechał. Więc co robimy dalej?

Hodge zastanowił się chwilę. Mógłby wystąpić o nakaz i przeprowadzić w domu Wiltów tak dokładną rewizję, że nawet najdrobniejszy ślad narkotyków musiałby wyjść na światło dzienne. Gdyby jednak nie wyszedł...

- Jest jeszcze magnetofon - powiedział w końcu. - Może go nie zauważył, a wtedy będziemy mieli jego rozmowę z kurierem.

Sierżant Runk w to wątpił.

- Jeśli chce pan znać moje zdanie - odparł - jedyny sposób, żeby zdobyć niezbite dowody jego winy, to posłać tam ekipę techniczną z odkurzaczem, który wessałoby słonia. Drań może być szatańsko sprytny, ale chłop-

cy z laboratorium znajdują się na swojej robocie. Według mnie jest to najrozsądniejsze wyjście.

Hodge nie dał się przekonać. Nie zamierzał przekazywać śledztwa nikomu innemu, kiedy było jasne jak słońce, że jest na właściwym tropie.

- Najpierw sprawdzimy, co się nagrało na kasetę - oświadczył, gdy zawrócili w stronę Ipsford. - Damy mu godzinę, żeby poszedł spać, a potem ją wyjmiesz.

- I pójdę do domu - odrzekł Runk. - Pan może sobie cierpieć na bezsenność, ale ja potrzebuję moich ośmiu godzin, bo inaczej...

- Nie cierpię na bezsenność - warknął inspektor.

Jechali dalej w ciszy przerywanej jedynie coraz głośniejszym pikaniem dochodzącym z samochodu Wilta. Dziesięć minut później furgonetka zaparkowała na początku Perry Road, a escort sygnalizował swoją obecność na Oakhurst Avenue.

- Trzeba oddać bydlakowi sprawiedliwość - powiedział Hodge. - Patrząc na niego, nigdy byś się nie domyślił, że jest takim kierowcą. Co tylko dowodzi, że pozory mylą.

Godzinę później sierżant Runk wygramolił się z furgonetki i poszedł w górę Perry Road.

- Nie ma go tam - zameldował po powrocie.

- Nie ma go? Musi, do diabła, tam być - odparł inspektor. - Sygnały są głośne i wyraźne.

- Może skurczybyk zabrał te pieprzone nadajniki do łóżka. Wiem tyle, że samochód nie stoi pod domem.

- Mógł go wstawić do garażu. Runk prychnął.

- Do garażu? Zaglądał pan tam kiedyś? To cholerny magazyn mebli. Kiedy go widziałem, był zawałony po sufit gratami, i jeśli chce mi pan powiedzieć, że przez ostatnie dwa dni drań przeniósł wszystko do ogrodu za domem, żeby wstawić tam samochód...

- Wkrótce się przekonamy - uciał Hodge.

Furgonetka przejechała powoli obok domu Wiltów i okazało się, że sierżant miał rację.

- A nie mówiłem? - zawołał. - Powiedziałem panu, że nie wstawił go do garażu.

- Ale nie powiedziałeś, że zaparkował go tam - odparł Hodge, wskazując ubłoconego escorta, którego kapral, nie mając ochoty tracić w środku nocy czasu na sprawdzanie numerów domów, zostawił przy Oakhurst Avenue 65.

- A niech mnie - mruknął Runk. - Dlaczego tak zrobił?

- Może dowiemy się czegoś z tej kasety - odrzekł inspektor. - Skocz po nią i przejedziemy za róg.

Ale tym razem sierżant Runk był nieugięty.

- Jeśli chce pan przesłuchać tę cholerną kasetę, niech sam pan po nią pójdzie - oświadczył. - Taki gość jak Wilt nie zostawia wozu pod cudzym domem bez cholernego powodu i nie mam ochoty się dowiedzieć, co to za powód, kiedy będzie za późno.

Rad nie rad, Hodge podszedł ostrożnie do escorta i zaczął właśnie gmerać pod przednim siedzeniem, kiedy w domu dał głos dog niemiecki pani Willoughby.

- A nie mówiłem? - powiedział Runk, gdy inspektor wgramolił się do furgonetki, gwałtownie sapiąc. - Wiedziałem, że to pułapka, ale nie chciał mnie pan słuchać.

Inspektor Hodge był zbyt przerażony, aby słuchać go teraz. Wciąż miał w uszach szczekanie tego upiornego psa i odgłos drapania jego okropnych pazurów o drzwi.

Nie pozbierał się jeszcze po tym przeżyciu, gdy wrócili na komisariat.

- Dopadnę go, dopadnę go - mamrotał, wchodząc ze znużeniem po schodach. Ale była to pusta groźba. Kolejny raz został wyprowadzony w pole i wreszcie docenił podkreślane przez sierżanta Runka znaczenie snu. Może po kilku godzinach uda mu się obmyślić jakiś nowy plan.

Sen miał pierwszorzędne znaczenie również dla Wilta. W wyniku działania gazu obezwładniającego na organizm osłabiony już seksualnym kordiałem doktor Kores nie bardzo wiedział, kim jest, i zupełnie nie był w stanie odpowiadać na pytania. Mgliście pamiętał swoją ucieczkę z kabiny w toalecie, a raczej to, że się w niej zamknął, ale reszta wydarzeń była już tylko gmatwaniną pojedynczych obrazów. Ludzie w maskach, karabiny, bycie wleczonym, wrzucenie do dżipa, jazda, więcej wleczenia, jasno oświetlony pusty pokój i jakiś mężczyzna obłąkańczo nań krzyczący - wszystkie te rzeczy wciąż przestawiały się w jego umyśle niczym wzory w kalejdoskopie, nie tworząc żadnej sensownej całości. Po prostu się wydarzyły albo działy się teraz, albo nawet, ponieważ krzyczący mężczyzna sprawiał wrażenie dziwnie dalekiego, przytrafiły mu się w jakimś poprzednim życiu, do którego wolałby nie wracać. I nawet kiedy Wilt próbował wyjaśniać te rzeczy, czymkolwiek były, a nie były tym, czym się wydawały, krzyczący mężczyzna nie chciał go słuchać.

I nic dziwnego. Osobliwe dźwięki, jakie Wilt w rzeczywistości wydawał, trudno byłoby zaliczyć do kategorii wypowiedzi, a co dopiero uznać za wyjaśnienia.

- Jajecznicza zamiast mózgu - stwierdził lekarz wezwany przez Glaushofa, aby pomógł mu nawiązać kontakt z Wiltem. - Normalne po GO 2. Będzie pan miał szczęście, jeśli powie jeszcze coś do rzeczy.

- GO 2? - zdziwił się Glaushof. - To był standardowy gaz obezwładniający. GO 2 jest zarezerwowany dla radzieckich oddziałów samobójczych.

- Być może - odparł lekarz. - Ja tylko stawiam diagnozę. Niech pan lepiej rzuci okiem na te puszki.

- Rzucę, ale czymś ciężkim w tego szaleńca Haraha - powiedział Glaushof i wypadł z pokoju.

Kiedy wrócił, Wilt spał jak kamień, przybrawszy pozycję embrionalną.

- GO 2 - przyznał ponuro Glaushof. - I co teraz zrobimy?

- Ja zrobiłem, co mogłem - oświadczył lekarz, wyrzucając do kosza dwie strzykawki. - Podałem mu dostateczną dawkę antidotum, żeby nie dopuścić do śmierci mózgowej...

- Do jakiej śmierci mózgowej? Muszę drania przesłuchać. Jako warzywo na nic mi się nie przyda. Jest pieprzonym szpiegiem i muszę się dowiedzieć, kto go przysłał.

- Panie majorze - odparł lekarz znużonym tonem - jest w tej chwili trzecia rano i mam osiem kobiet, trzech mężczyzn, jednego porucznika oraz tego tutaj... - wskazał na Wilta - cierpiących wskutek zatrucia gazem paralizującym. Jeśli pan sobie życzy, spróbuję ich wyciągnąć z wywołanej chemicznie psychozy, ale domniemany terrorysta noszący ochraniacz namosznowy nie jest dla mnie pacjentem numer jeden. Jeżeli chce go pan przesłuchać, będzie pan musiał zaczekać. I modlić się. Tak, modlić się, a jeśli nie wybudzi się ze śpiączki w ciągu ośmiu godzin, niech pan da mi znać, może jego organy nadają się do przeszczepów.

- Chwileczkę, doktorze - powiedział Glaushof. - Jeżeli któraś z tych osób piśnie słowo, że jest...

- Zagazowana? - dokończył lekarz z niedowierzaniem w głosie. - Chyba nie zdaje pan sobie sprawy, co pan zrobił. Oni nie będą niczego pamiętać.

- Że jest tu agent - krzyknął Glaushof. - Wiem, że zostali zagazowani. Przez porucznika Haraha.

- Skoro pan tak twierdzi - odrzekł lekarz. - Ja dbam o zdrowie żołnierzy i ich rodzin, a nie o bezpieczeństwo bazy, i mam nadzieję, że potrafi pan wyjaśnić generałowi Ofreyowi stan jego żony. Tylko niech mi pan nie każe zaświadczać, że ona i pozostałe siedem kobiet cierpiały na psychozę już wcześniej.

Glaushof rozważył tę wymówkę i uznał, że jest niezręczna. Pozostawał mu porucznik Harah...

- Niech mi pan powie, doktorze - zagaił - jak bardzo chory jest Harah?

- Tak bardzo, jak może być chory człowiek, który dostał kopa w krocze i nawdychał się GO 2. Pomijając stan jego umysłu już wcześniej. Powinien był nosić coś takiego.

Lekarz podniósł ochraniacz krykietowy. Glaushof przyjrzał mu się z namysłem, po czym zerknął na Wilta.

- Po co terrorysta włożył taki ochraniacz? - zapytał.

- Może spodziewał się tego, co spotkało porucznika Haraha - odparł lekarz.

Glaushof przeszedł do sąsiedniego pokoju i wezwał kapitan Clodiak.

- Niech pani siada - powiedział. - Chcę usłyszeć, co dokładnie się tam dziś wieczór stało.

- Co się stało? Myśli pan, że wiem? Ten oszołom Harah...

Glaushof podniósł dłoń.

- Powinna pani wiedzieć, że porucznik Harah jest w tej chwili poważnie chory.

- W tej chwili? - powtórzyła Clodiak. - Zawsze był chory. Na głowę.

- Nie o jego głowę mi chodzi.

Kapitan Clodiak pozuła przez moment gumę.

- Więc ma jaja tam, gdzie powinien mieć mózg. Co mnie to obchodzi?

- Powinno to panią obchodzić - odparł Glaushof. - Napaść na młodszego oficera podlega bardzo surowej karze.

- Podobnie jak napastowanie seksualne starszego oficera.

- Być może - przyznał Glaushof- ale trudno będzie pani tego dowieść.

- Zarzuca mi pan kłamstwo? - spytała kapitan.

- Skądże znowu. Ja pani wierzę. Ale czy uwierzy pani ktoś inny?

- Mam świadków.

- Miała pani - sprostował Glaushof. - Z tego, co mówi lekarz, nie będą zbyt wiarygodni. Powiem więcej, przestali się zaliczać do kategorii świadków. Gaz obezwładniający robi dziwne rzeczy z pamięcią. Powinna pani o tym wiedzieć. A obrażenia porucznika Haraha zostały odnotowane w jego aktach medycznych. Nie sądzę, aby udało się pani podać je w wątpliwość. Tak więc radziłbym ze mną współpracować.

Kapitan Clodiak przyjrzała się jego twarzy. Nie była to twarz przyjemna, ale Clodiak zdawała sobie sprawę, że nie ma w tej chwili zbyt dużego pola manewru.

- Czego pan chce? - zapytała.

- Dowiedzieć się, co mówił ten Wilt. Podczas swoich wykładów. Czy coś wskazywało na to, że jest komunistą?

- O ile wiem, to nie - odparła kapitan. - Zameldowałabym o tym.

- Więc o czym mówił?

- Głównie o takich rzeczach, jak parlament i ordynacja wyborcza i jak ludzie w Anglii widzą sprawy.

- Sprawy? - powtórzył Glaushof, zastanawiając się, dlaczego taka atrakcyjna kobieta jak kapitan Clodiak chce słuchać wykładów, na które on sam nie chodziłby nawet za pieniądze. - Jakie sprawy?

- Jak religia i małżeństwo i... po prostu sprawy.

Po godzinie rozmowy Glaushof nadal nic nie wiedział.

Eva kolejny raz spojrzała na zegar. Była piąta rano i siedziała w kuchni od drugiej, pozwalając sobie na luksus doznawania wielu emocji. Gdy kładła się do łóżka, była zirytowana. „Znów poszedł do pubu i wróci pijany”, pomyślała. „Niech nie liczy na moje współczucie, jeśli będzie miał kaca”. Potem leżała, nie śpiąc i wpadając z każdą minutą w coraz większą złość, aż do pierwszej, kiedy zaczęła się niepokoić. Było to niepodobne do Henry'ego, żeby tak długo nie przychodzić do domu. Może coś mu się stało. Rozważyła różne ewentualności, od wypadku samochodowego po aresztowanie za pijaństwo i zakłócanie porządku publicznego, a w końcu doprowadziła się do stanu, w którym po prostu wiedziała, że coś straszego przytrafiło mu się w więzieniu. Uczył przecież tego okropnego mordercę McCulluma i kiedy wrócił do domu w poniedziałek wieczorem, wyglądał bardzo dziwnie. Oczywiście był w pubie, ale pamiętała, że... Nie, to nie było w poniedziałek wieczorem, bo spała, kiedy wrócił. Musiało to być we wtorek rano. Tak, na pewno. Powiedziała mu, że wygląda dziwnie, ale tak naprawdę pomyślała sobie, że wygląda na przestraszonego. A Henry powiedział, że zostawił samochód na parkingu, i wciąż patrzył w okno, jakby na kogoś czekał. A nazajutrz miał tę stłuczkę, co złożyła na karb jego zwykłego roztargnienia, ale jeśli się zastanowić... W tym momencie Eva zapaliła światło i wstała z łóżka. Działo się coś niedobrego, a ona nic o tym nie wiedziała.

To ponownie wprawiło ją w złość. Henry powinien był jej powiedzieć, ale on nigdy nie mówił jej naprawdę ważnych rzeczy. Uważał, że jest za głupia, i może rzeczywiście nie potrafiła dyskutować o książkach i prowadzić konwersacji na przyjęciach, ale przynajmniej była praktyczna i nikt nie mógł jej zarzucić, że nie dba o edukację czworaczeków.

I tak mijała noc. Eva siedziała w kuchni i robiła sobie herbatę za herbatą, złościła się, po czym miała do siebie pretensje, zastanawiała się, do kogo zadzwonić, a potem stwierdzała, że lepiej nie dzwonić do nikogo, bo tylko by się wściekli, że ich obudziła, a poza tym mogło istnieć jakieś zupełnie naturalne wytłumaczenie, na przykład zepsuł mu się samochód albo wpadł do Braintreech na drinka i musiał zostać na noc z powodu policji i

alkomatu, co byłoby rozsądne z jego strony, więc może powinna wrócić do łóżka i trochę się przespać...

A za tym chaosem sprzecznych myśli i emocji kryło się cały czas poczucie winy i świadomość, że postąpiła głupio, słuchając Mavis i idąc do doktor Kores. Co tak naprawdę Mavis wiedziała o seksie? Nigdy nie mówiła, jak wygląda jej współżycie z Patrickiem - nie była to rzecz, o którą Eva odważyłaby się spytać, a nawet gdyby spytała, Mavis by jej nie powiedziała, i zawsze słyszała tylko tyle, że Patrick romansuje z innymi kobietami. A może miał po temu powody? Może Mavis była oziębła albo za bardzo chciała dominować i grać męską rolę, albo nie dbała o higienę czy coś w tym rodzaju. W każdym razie nie miała prawa dawać Patrickowi tych okropnych sterydów czy hormonów i robić z niego ociężałej, grubej osoby - bo nie można go już było nazwać mężczyzną - która spędza wszystkie wieczory przed telewizorem i nie radzi sobie w pracy. Poza tym Henry nie był złym mężem. Po prostu był roztargniony i zawsze myślał o rzeczach, które nie miały nic wspólnego z tym, co akurat robił. Jak wtedy, gdy obierał ziemniaki na niedzielny obiad i nagle powiedział, że przy proboszczu Poloniusz jest cholernym geniuszem, a przecież nie byli w kościele od dwóch tygodni, i kiedy zapytała, kim jest Poloniusz, okazało się, że to tylko postać w jakiejś sztuce.

Nie, Henry zdecydowanie nie był praktyczny. I naturalnie zdarzało im się kłócić, zwłaszcza o czworaczki. Dlaczego nie dostrzegał, że są wyjątkowe? To znaczy dostrzegał, ale nie w takim sensie, w jakim powinien, a nazywanie ich klonami nie ułatwiało sprawy. Mówił też inne rzeczy, które nie były miłe. A teraz jeszcze ta okropna historia ze szprycą do dekorowania tortów. Bóg jeden wiedział, jaki wywarło to wpływ na wyobrażenie dziewczynek o mężczyznach. I to właśnie było główną wadą Henry'ego: nie miał ani krzty romantyzmu. Eva wstała od stołu i dla uspokojenia nerwów zaczęła porządkować spiżarnię. O szóstej trzydziści przerwała jej tę czynność Emmeline w piżamie.

- Co robisz? - zapytała tak niepotrzebnie, że Eva dała się sprowokować.

- To zupełnie oczywiste - burknęła. - Nie musisz zadawać głupich pytań.

- Nie było to oczywiste dla Einsteina - odparła Emmeline, stosując sprawdzoną technikę wciągania Evy w temat, o którym ta nie miała pojęcia, ale który musiała zaaprobować.

- Co nie było?

- Że najkrótsza odległość między dwoma punktami to linia prosta.

- Zgadza się - powiedziała Eva, przestawiając puszkę marmolady Epicure z półki ze szprotkami i tuńczykiem na półkę z dżemami, gdzie też jakoś ją raziała.

- Wcale nie. Wszyscy o tym wiedzą. To krzywa. Gdzie tatuś?

- Nie rozumiem, w jaki sposób... Jak to, „Gdzie tatuś?” - zapytała Eva, kompletnie zbita z tropu tym przeskokiem od abstrakcji do konkretności.

- Pytałam, gdzie jest - wyjaśniła Emmeline. - Bo nie ma go w domu, prawda?

- Prawda - przyznała Eva, rozdarta między pragnieniem dania upustu swojej irytacji a potrzebą zachowania spokoju. - Jest poza domem.

- Gdzie się podziewa? - zapytała Emmeline.

- Nigdzie się nie podziewa - odparła Eva, z powrotem przedstawiając marmoladę na półkę ze szprotkami. Puszki nie pasowały do słoików. - Nocuje u Braintreech.

- Pewnie znowu się upił - stwierdziła Emmeline. - Myślisz, że jest alkoholikiem?

Eva groźnie zacisnęła dłoń na słoiku z kawą.

- Nie waż się tak mówić o swoim ojcu! - krzyknęła. - Ma prawo wypić drinka, kiedy wraca z pracy. Prawie wszyscy to robią. Jest to zupełnie normalne i nie wolno ci źle się o nim wyrażać.

- Sama źle się o nim wyrażasz - zauważyła Emmeline. - Słyszałam, jak nazwałaś go...

- Mniejsza z tym - przerwała jej Eva. - To zupełnie co innego.

- Wcale nie - upierała się Emmeline. - Powiedziałaś, że jest alkoholikiem, a poza tym ja tylko zadałam pytanie, a zawsze nam mówisz...

- Marsz do swojego pokoju - ucięła Eva. - Nie będziesz tak ze mną rozmawiać. Nie pozwolę na to.

Po wyjściu córki Eva ponownie opadła na kuchenne krzesło. Było to do prawdy nieznośne, że Henry nie wpoił czworaczkom szacunku dla siebie. Zawsze musiała go bronić. Powinien mieć większy autorytet. Wróciła do spiżarni i postarała się o to, aby kartony, słoiki i puszki stały dokładnie tak, jak chciała. Kiedy skończyła, poczuła się trochę lepiej i kazała czworaczkom szybko się ubrać.

- Będziemy musiały pojechać autobusem - oznajmiła, gdy zeszły na śniadanie. - Tatuś ma samochód i...

- Nieprawda - przerwała jej Penelope. - Ma go pani Willoughby.

Eva, która nalewała herbatę, rozlała ją.

- Co powiedziałaś?

Penelope zrobiła chytrą minę.

- Pani Willoughby ma samochód.

- Pani Willoughby? Tak, wiem, że rozlałam herbatę, Samantho. Co ty mówisz, Penny? To niemożliwe.

- Możliwe - odparła Penelope z jeszcze bardziej chytrą miną. - Mleczarz mi powiedział.

- Mleczarz? Musiał się pomylić - stwierdziła Eva.

- Nie pomylił się. Strasznie się boi Potwora z Oakhurst Avenue i zostawia mleko przy bramie, i właśnie tam stoi nasz samochód. Sama widziałam.

- A widziałaś w nim waszego ojca?

- Nie, był pusty.

Eva niezgrabnie odstawiała imbryk i spróbowała się zastanowić, co to oznacza. Jeśli Henry'ego nie było w samochodzie...

- Może tatusia zjadł Potwór? - podsunęła Josephine.

- Potwór nie zjada ludzi - zaproponowała Emmeline. - Przegryza im tylko gardła i zostawia zwłoki na kompoście w głębi ogrodu.

- Nieprawda. On tylko szczeka. Jest całkiem miły, kiedy daje mu się kotlety baranie i tak dalej - powiedziała Samantha, bezwiednie odciągając uwagę Ewy od przerażającej możliwości, że Henry po pijanemu pomylił domy i rozszarpał go na kawałki dog niemiecki sąsiadki. Z drugiej strony, z miksturą doktor Kores wciąż grającą w jego żyłach... Penelope ubrała tę myśl w słowa:

- Prędzej zjadła go pani Willoughby. Pan Gamer mówi, że jest niewyżyta seksualnie. Słyszałam, jak powiedział to pani Gamer, kiedy ona powiedziała, że tego chce.

- Czego chce? - spytała Eva, zbyt oszołomiona tą ostatnią rewelacją, aby przejąć się zniknięciem kotletów z zamrażarki. Mogła wrócić do tej sprawy później.

- Tego, co zwykle - odparła Penelope z wyraźnym niesmakiem. - Ciągłe mu o tym truje i pan Gamer powiedział, że robi się taka sama jak pani Willoughby, a on nie zamierza skończyć jak pan Willoughby, który umarł przy robocie.

- To nieprawda - zaprotestowała wbrew sobie Eva.

- Prawda - potwierdziła Penelope. - Sammy też to słyszała.

Samantha skinęła głową.

- Był w garażu i bawił się ze sobą jak Paul z trzeciej b i wszystko było bardzo dobrze słyhać. Ma tam mnóstwo „Playboyów” i książek i pani Gamer weszła i powiedziała...

- Nie chcę tego słuchać - ucięła Eva, odrywając się wreszcie od tego fascynującego tematu. - Wkładajcie buciki. Przyprowdzę samochód i...

Urwała. Łatwo było powiedzieć, że przyprowdzi samochód sprzed domu sąsiadki, ale istniał pewien szkopuł. Jeśli Henry spędził noc u pani Willoughby, już nigdy nie będzie mogła spojrzeć ludziom w oczy. Niemniej należało coś zrobić, bo wybuchnie dostateczny skandal, jeśli ktoś zobaczy tam escorta. Z determinacją, z jaką zawsze stawiała czoło kłopotliwym sytuacjom, Eva włożyła płaszcz i wymaszerowała z domu. Chwilę

później siedziała w samochodzie, próbując go uruchomić. Jak zwykle, kiedy się spieszyła, silnik zacharczał i nic się nie stało. Ściśle biorąc, coś się stało, ale nie to, na co liczyła. Otworzyły się frontowe drzwi i wybiegł z nich dog, a za nim wyszła pani Willoughby w szlafrocisku. Zdaniem Evy był to dokładnie taki szlafrocisk, jaki mogła nosić niewyżyta seksualnie wdowa. Opuściła szybę, aby powiedzieć, że tylko zabiera samochód, i natychmiast podniosła ją z powrotem. Cokolwiek w dziecinnej naiwności myślała o Potworze Samantha, Eva mu nie ufała.

- Muszę zawieźć dziewczynki do szkoły - dorzuciła, tytułem raczej niedostatecznego wyjaśnienia.

Dog zaszczekał i nie usłyszała, co mówi pani Willoughby. Opuściła szybę na dwa cale.

- Powiedziałam, że muszę zawieźć... - zaczęła.

Dziesięć minut później, po wyjątkowo nieprzyjemnej wymianie zdań, podczas której pani Willoughby zakwestionowała prawo Evy do parkowania na cudzych podjazdach, a ta nie mogąc ze względu na Potwora zażądać, aby pozwolono jej przeszukać dom, musiała się ograniczyć do moralnej krytyki szlafrociska, Eva z furią odwiozła czworaczki do szkoły. Dopiero wtedy znów zaczęła się martwić. Skoro Henry nie zostawił samochodu u tej okropnej kobiety - naprawdę nie wyobrażała sobie, aby mógł stawić czoło dogowi niemieckiemu, chyba że zalał się w trupa, a wówczas nie byłby zbyt interesujący dla pani Willoughby - musiał to zrobić ktoś inny. Eva pojechała do Braintreech i wyszła od nich jeszcze bardziej zaniepokojona. Betty była pewna, że Peter mówił, że nie widział Henry'ego prawie cały tydzień. Tak samo było w college'u. Gabinet Wilta świecił pustkami, a pani Bristol stanowczo twierdziła, że pan kierownik nie był w pracy od środy. Pozostawało tylko więzienie.

Wiedziona złym przeczuciem, Eva skorzystała z telefonu w gabinecie Wilta. Kiedy odłożyła słuchawkę, ogarnął ją popłoch. Henry nie był w więzieniu od poniedziałku? Przecież uczył tego mordercę w każdy piątek... Nie. Nigdy. I nie będzie go już uczył w poniedziałki, bo Mac przestał być ciężarem dla państwa, jeśli można się tak wyrazić. Ale miał z McCullumem lekcję w piątek? Ależ skąd. Więźniowie tej kategorii nie mogą ucinąć sobie miłych pogawędek z gośćmi co wieczór. Tak, strażnik dyżurny był zupełnie pewien. Pan Wilt nie przyjeżdżał do więzienia w piątki.

Eva siedziała samotnie w gabinecie i jej reakcje przechodziły od paniki do złości i z powrotem. Henry ją oszukiwał. I kłamał. Mavis miała rację, cały czas romansował z inną kobietą. Ale przecież to niemożliwe. Wiedziałyby. Nie ukryłby przed nią czegoś takiego. Nie był dostatecznie praktyczny ani sprytny. Coś by go zdradziło, jak długie włosy na płaszczu albo

szminka, albo puder. I dlaczego miałyby to robić? Zanim jednak zdążyła się zastanowić nad tym pytaniem, pani Bristol wetknęła głowę w drzwi i zaproponowała jej kawę. Eva zebrała się w sobie, aby stawić czoło rzeczywistości. Nikt nie zobaczy jej załamanej. Nie da ludziom tej satysfakcji.

- Nie, dziękuję - powiedziała. - To bardzo miło z pani strony, ale muszę już iść.

I nie dając pani Bristol szansy zapytania o cokolwiek, wymaszerowała z gabinetu z bohaterską miną. Nie było to łatwe, ale utrzymała ją w drodze do samochodu i do domu; i nawet tam, mając wokół siebie wszystkie potencjalne dowody zdrady w postaci prochowca Henry'ego i butów, które wyjął, żeby je wypastować, i o których zapomniał, i jego aktówki w sieni, nie pozwoliła sobie na łzy. Coś było nie tak. Coś świadczyło o tym, że Henry jej nie porzucił. Gdyby tylko mogła zebrać myśli.

Miało to coś wspólnego z samochodem. Henry nigdy by go nie zostawił na podjeździe pani Willoughby. Nie, to nie było to... Upuściła kluczyki na kuchenny stół i nagle uświadomiła sobie ich' znaczenie. Były w stacyjce, kiedy poszła po escorta, a wśród nich wisiał na kółku klucz od Oakhurst Avenue 45. Henry porzucił ją bez uprzedzenia, nie zostawiając żadnej wiadomości, i nie zabrał klucza od domu? To nie miało sensu. A w takim razie intuicja jej nie zawiodła i przytrafiło mu się coś straszego. Eva wstała czajnik i zaczęła się zastanawiać, co ma zrobić.

- Posłuchaj, Ted - powiedział inspektor Flint. - Możesz to rozegrać, jak chcesz. Jeśli pójdziesz mi na rękę, ja pójdę na rękę tobie. Zero problemów.

- Jeśli pójdę panu na rękę - odparł Lingon - nie będę miał pieprzonej ręki, na którą mógłby mi pan pójść. Chyba że znajdzie ją pan przy jakiejś cholernej szosie. Czy byłby pan uprzejmy stąd wyjść?

Flint usadowił się na krześle i powiódł wzrokiem po maleńkim biurze urządzonym w kącie zapyziałego warsztatu. Oprócz szafy na akta, typowego kalendarza z rozebraną dziewczyną, telefonu i biurka, jedyną rzeczą, jaka się w nim mieściła, był pan Lingon. A zdaniem Flinta pan Lingon był rzeczą, rzeczą dość paskudną, przysadzistą, niechlujną i zdegenerowaną.

- Interes dobrze idzie? - zapytał jak najbardziej obojętnym tonem.

Za szklaną ścianą boksu mechanik polewał z węża Luksusowy Autokar Lingona. Lingon stęknął i odpalił papierosa od papierosa.

- Szedł dobrze, dopóki pan się tu nie zjawił. Niech pan będzie tak miły i da mi spokój. Nie wiem, o co panu biega.

- O herę - odparł Flint.

- O herę? Jaką znowu herę?

Flint zignorował to pytanie.

- Ile lat odsiedziałeś ostatnim razem?

- Chryste - jęknął Lingon. - Tak, byłem w kiciu. Dawno temu. Ale wy, dranie, nigdy nie odpuszczacie, co? Jakaś kradzież z włamaniem, ktoś łyka kulkę dwie mile dalej, cokolwiek się zdarzy i kogo się czepiacie? Kto jest w kartotece? Ted Lingon. Chodźmy przycisnąć Teda. To wszystko, co umiecie wymyślić. Zero wyobraźni.

Flint oderwał wzrok od mechanika i spojrzał na Lingona.

- Na co komu wyobraźnia? - zapytał. - Ładne, podpisane zeznanie, złożone zupełnie dobrowolnie i w obecności świadków, jest dużo lepsze od wyobraźni. Można je przedstawić w sądzie.

- Zeznanie? Jakie zeznanie? - Lingon wyraźnie się zaniepokoił.

- Nie chcesz najpierw wiedzieć czyje?

- No dobrze. Czyje?

- Clive'a Swanella.

- Tego starego pedała? Chyba pan żartuje. Clive nigdy by mnie... - Lingon raptownie urwał. - Podpuszcza mnie pan.

Flint uśmiechnął się chytrze.

- Rocker też by cię nie sypnął?

Lingon zgasił papierosa i nic nie powiedział.

- Mam je czarno na białym. Zeznania Clive'a i Rockera. Chcesz, żebym mówił dalej?

- Nie wiem, o co panu chodzi, inspektorze - odparł Lingon. - A teraz, jeśli pan pozwoli...

- Następną na liście - ciągnął Flint, delektując się tym przykręcaniem śruby - jest pewna laleczka z Chingford, Annie Mosgrave. Lubi Pakistańczyków. I trójkąty z żółtkami. Taka bardziej kosmopolitka. Ale pisze ładnie i czytelnie i nie chce, żeby którejś nocy złożył jej wizytę facet z toporem rzeźniczym.

- Kłamię pan - powiedział Lingon, wierząc się na krześle i gmerając w paczce papierosów. - To wszystko jest pieprzonym kłamstwem.

Flint wzruszył ramionami.

- Jasne, że kłamię. To oczywiste. Taki stary, głupi glina jak ja musi kłamać. Zwłaszcza kiedy ma pod kluczem podpisane zeznania. Tylko nie myśl, że wyświadczę ci przysługę i zamknę również ciebie, Teddie Boy. Nie lubię handlarzy narkotyków. Bardzo ich nie lubię. - Pochylił się z uśmiechem do przodu. - Ale przyjdę na sekcję zwłok. Twoich zwłok, Teddie, skarbie. Może nawet spróbuję cię zidentyfikować. Co nie będzie łatwe, prawda? Bez stóp, bez dłoni, wszystkie zęby wyrwane... Jeśli w ogóle znajdziemy głowę, bo mogą ją urznąć i spalić, kiedy już skończą z resztą tego, co było tobą. A nie spieszą się przy tej robocie, oj, nie spieszą. Pamiętaj Chrisa z Thurrock? Musiał okropnie cierpieć, skoro tak krwawił. Wyrwali mu...

- Zamknij się! - krzyknął Lingon, nagle poblady i rozdygotany.

Flint wstał.

- Dobrze, zamknę się - powiedział. - Na razie. Nie chcesz ze mną gadać, twoja sprawa. Wyjdę stąd i więcej mnie nie zobaczysz. Ale za to przyjdzie do ciebie jakiś gość, którego nie znasz. Będzie chciał wynająć autokar na wycieczkę do Buxton. Forsa na stół, zero zamieszania i zanim się obejrzyz, będziesz żałował, że to nie ja, tylko jeden z kumpli Maca z sekatorem.

- Mac umarł - wybąkał Lingon niemal szeptem.

- Podobno - mruknął Flint. - Ale Roddie Eaton żyje i ma się dobrze. Zabawny facet ten Roddie. Słyszałem, że lubi zadawać ludziom ból, zwłaszcza kiedy wiedzą dosyć, żeby posłać go na resztę życia za kratki, nie jest pewien, czy będą milczeć.

- Nie jestem kapusiem - zachnął się Lingon.

- O co zakład? Będziesz śpiewał, i to baranim głosem, zanim jeszcze się za ciebie wezmą - stwierdził Flint, otwierając drzwi.

Lingon zatrzymał go gestem ręki.

- Muszę mieć gwarancje - powiedział. Flint potrząsnął głową.

- Mówiłem ci. Jestem starym, głupim gliną. Nie sprzedaję łaski królowej. Jeśli chcesz przyjść i wszystko mi opowiedzieć, będę u siebie. Do pierwszej. - Spojrzał na zegarek. - Masz dokładnie godzinę i dwanaście minut. Potem lepiej zamknij interes i kup sobie strzelbę. I nie próbuj łapać za ten telefon, bo się o tym dowiem. To samo dotyczy dzwonienia z budki. A pięć po pierwszej ja zadzwonię do Roddiego.

Flint minął autokar i wyszedł z warsztatu. Parszywy mały drań przyjdzie. Był tego pewien i wszystko ładnie, a raczej paskudnie, układało się w całość. A Hodge miał przerąbane. Sprawy szły po myśli inspektora i tylko dowodziły słuszności jego poglądu, że nie ma to jak lata doświadczenia. Dobrze też było mieć syna, który siedział w więzieniu za przemyt narkotyków, ale Flint nie zamierzał ujawniać swoich źródeł informacji w raporcie dla nadinspektora.

- Agent obcego wywiadu? - zagrzemiał generał sił powietrznych dowodzący bazą w Baconheath. - Dlaczego mnie natychmiast nie powiadomiono?

- To dobre pytanie, panie generale - odparł Glaushof.

- Nie, majorze, to kiepskie pytanie. Nie powinienem musieć zadawać tego pytania. Nie powinienem zadawać żadnych pytań. Nie po to tutaj jestem. Wprowadziłem w bazie dyscyplinę i oczekuję, że moi ludzie sami będą odpowiadać na swoje pytania.

- Taka właśnie była moja reakcja - oświadczył Glaushof.

- Reakcja na co?

- Na wykrzycie agenta obcego wywiadu. Powiedziałem sobie...

- Nie interesuje mnie, co pan sobie powiedział, majorze. Interesują mnie wyłącznie rezultaty! - krzyknął generał. - I chcę wiedzieć, jakie rezultaty pan osiągnął, bo według mojej rachuby ograniczają się one do zagazowania dziesięciu członków personelu bazy lub ich rodzin.

- Jedenastu, panie generale - sprostował Glaushof.

- Jedenastu? To jeszcze gorzej.

- Dwunastu z agentem Wiltem.

- To dlaczego mówił pan, że dziesięciu? - zapytał generał, bawiąc się modelem B 52.

- Porucznik Harah został zagazowany podczas prowadzenia działań i z dumą melduję, że gdyby nie jego odwaga w obliczu zacieklego oporu nieprzyjaciela ponieśliśmyby ciężkie straty osobowe i mogłoby dojść do wzięcia zakładników.

Generał Belmonte odstawił B 52 i sięgnął po butelkę szkockiej, ale przypomniał sobie, że ma panować nad sytuacją.

- Nikt mi nie mówił o żadnym oporze - powiedział trochę bardziej przyjaznym tonem.

- Uznałem, że ogłoszenie komunikatu w tej sprawie byłoby niewskazane - wyjaśnił Glaushof. Odparłszy pytania generała, postanowił przejść do ataku. Najbardziej na świecie dowódca nienawidził napomknąć o rozgłosie. Glaushof o nim napomknął. - Moim zdaniem rozgłos...

- Jezu, Glaushof! - wrzasnął generał. - Ile razy mam panu powtarzać, że nie możemy sobie pozwolić na rozgłos? To dyrektywa numer jeden, wydana przez najwyższe władze. Żadnego rozgłosu, do diabła. Jak mamy bronić Wolnego Świata, jeśli będzie temu towarzyszył rozgłos? Chcę, żeby było to zupełnie jasne. Żadnego rozgłosu, na litość boską.

- Tak jest, panie generale - odparł Glaushof. - Właśnie dlatego zarządziłem całkowite zaciemnienie informacyjne i wstrzymanie komunikacji ze wszystkimi środkami masowego przekazu. Gdyby wyszło na jaw, że miała miejsce infiltracja...

Urwał, aby pozwolić generałowi zebrać siły do dalszego natarcia na rozgłos. Miało ono charakter falowy i kiedy się skończyło, Glaushof zaatakował swój właściwy cel.

- Jeśli wolno mi wyrazić własne zdanie, sądzę, że możemy mieć problem informacyjny ze strony Wywiadu.

- Tak pan sądzi? No więc coś panu powiem, majorze, i jest to rozkaz, priorytetowy rozkaz najwyższej wagi, że wprowadzamy całkowite zaciemnienie informacyjne i wstrzymujemy komunikację ze wszystkimi środkami masowego przekazu. Tak brzmi mój rozkaz, rozumie pan?

- Tak jest - odparł Glaushof. - Natychmiast przekażę go dowództwu Wywiadu. Gdyby nastąpił przeciek do prasy...

- Majorze Glaushof, wydałem panu rozkaz. Proszę go natychmiast przekazać wszystkim służbom.

- Łącznie z Wywiadem?

- Jasne, że łącznie z Wywiadem! - ryknął generał. - Nasze służby wywiadowcze są najlepsze na świecie. Nie zamierzam zakłócić ich perfekcyjnego działania rzuceniem ich na pastwę mediów. Zrozumiano?

- Tak jest! - zawołał Glaushof i wymaszerował z gabinetu generała, aby posłać pod sztab Wywiadu uzbrojonego wartownika i zarządzić całkowite wstrzymanie komunikacji.

Ponieważ nikt nie wiedział, o jaką komunikację chodzi, interpretacje tej wytycznej były różne, od wprowadzenia zakazu ruchu wszelkich pojazdów na terenie bazy po ogłoszenie stanu pełnego pogotowia na lotnisku. Ten ostatni utrzymano niemal przez całą noc, gdyż od snującego się w powietrzu GO 2 zaczęły wyc detektory broni chemicznej. Koło południa krążące po bazie pogłoski były tak jawnie ze sobą sprzeczne, że Glaushof poczuł się dostatecznie pewnie, aby obsztorcować żonę za seksualną niesubordynację z porucznikiem Harahem i trochę się zdrzemnąć. Chciał być w dobrej formie, aby przesłuchać Wilta.

Kiedy jednak dwie godziny później wszedł do strzeżonej sali w szpitalu, Wilt nie był w nastroju do rozmowy.

- Może pan sobie pójść i pozwolić mi spać? - wymamrotał i przewrócił się na bok.

Glaushof wbił wściekłe spojrzenie w jego plecy.

- Niech mu pan da jeszcze jeden zastrzyk - polecił lekarzowi.

- Jeszcze jeden zastrzyk czego?

- Tego, co dał mu pan wczoraj.

- Nie miałem wczoraj dyżuru - powiedział lekarz. - A poza tym kim pan jest, żeby mi mówić, co mam mu podać?

Glaushof oderwał wzrok od pleców Wilta i wbił wściekłe spojrzenie w lekarza.

- Jestem Glaushof. Major Glaushof, doktorze, jeśli pan o mnie nie słyszał. I ma pan dać temu cholernemu komuchowi coś, po czym wyskoczy z tego łóżka i będę mógł go przesłuchać.

Lekarz wzruszył ramionami.

- Jak pan sobie życzy, majorze - odparł i popatrzył w kartę Wilta. - Co by pan zalecał?

- Ja? - zdziwił się Glaushof. - Skąd, do diabła, mam wiedzieć? Nie jestem cholernym lekarzem.

- A ja owszem - powiedział lekarz - i mówię panu, że na razie nie mogę podać temu pacjentowi żadnych dalszych leków. Facet był wystawiony na działanie środka trującego...

Nie udało mu się dokończyć zdania. Z paskudnym pomrukiem Glaushof wypchnął go przez drzwi na korytarz.

- Niech pan posłucha - warknął. - Żadnego chrzanienia o etyce lekarskiej. Mamy tutaj niebezpiecznego wrogiego agenta, a ci nie zaliczają się do kategorii pacjentów. Rozumie pan?

- Tak - odparł nerwowo lekarz. - Tak, rozumiem. Rozumiem doskonale. Może pan już zabrać te ręce?

Glaushof puścił jego kitel.

- Niech pan da draniowi coś, żeby zaczął mówić - powiedział. - I to szybko. Mamy do czynienia z zagrożeniem bezpieczeństwa.

- Ja na pewno - mruknął lekarz i szybko uciekł do sali.

Dwadzieścia minut później okryty kocem i kompletnie skołowany Wilt został wywleczony ze szpitala i odwieziony na pełnym gazie do biura Glaushofa, gdzie posadzono go na krześle. Glaushof włączył magnetofon.

- Teraz wszystko mi powiesz - stwierdził.

- Co panu powiem? - zapytał Wilt.

- Kto cię przysłał? - zapytał Glaushof.

Wilt zastanowił się nad pytaniem. O ile mógł się zorientować, nie miało wielkiego związku z tym, co się z nim działo, prócz tego, że było równie nieprawdopodobne.

- Przysłał mnie? - powtórzył. - Tak pan powiedział?

- Tak powiedziałem.

- Tak mi się zdawało - wymamrotał Wilt i pogrążył się w zadumie.

- No więc? - ponaglił go Glaushof.

- No więc co? - zapytał Wilt, próbując dodać sobie otuchy obraźliwym tonem.

- Kto cię przysłał?

Wilt poszukał natchnienia w wiszącym nad głową Glaushofa portrecie prezydenta Eisenhowera, ale go nie znalazł.

- Przysłał mnie? - powtórzył raz jeszcze i pożałował tego. Wyraz twarzy Glaushofa niemiło kontrastował z pogodą oblicza zmarłego prezydenta. - Nikt mnie nie przysłał.

- Posłuchaj - powiedział Glaushof - jak dotąd traktujemy cię dobrze. Co nie znaczy, że tak zostanie. Może się zrobić bardzo nieprzyjemnie. Więc będziesz mówił czy nie?

- Jestem jak najbardziej gotów mówić - odparł Wilt - choć muszę zakwestionować pańską definicję słowa „dobrze”. Zostanie zagazowanym i...

- Chcesz poznać moją definicję słowa „nieprzyjemnie”? - przerwał mu Glaushof.

- Nie - zaprzeczył pośpiesznie Wilt. - Ani trochę.

- Więc mów.

Wilt przełknął ślinę.

- Interesuje pana jakiś konkretny temat? - zapytał.

- Interesują mnie twoje kontakty - odrzekł Glaushof.

- Kontakty?

- Dla kogo pracujesz. Tylko mi nie chrzań, że uczysz w Fenlandzkim College'u Nauk Humanistycznych i Technicznych. Chcę wiedzieć, kto zorganizował tę operację.

- Dobrze - powiedział Wilt, kolejny raz wchodząc do mentalnego labiryntu, aby się w nim zgubić. - Użył pan określenia „ta operacja”. Czy mógłby pan... - Urwał. Glaushof wpatrywał się w niego jeszcze bardziej paskudnie niż przedtem. - Nie wiem, o co panu chodzi.

- Nie wiesz?

- Niestety nie. Gdybym wiedział... Glaushof wycelował palec w nos Wilta.

- Człowiek może tutaj umrzeć i nikt się o tym nie dowie - powiedział. - Jeśli chcesz pójść tą drogą, proszę uprzejmie.

- Nie chcę - odparł Wilt, z braku lepszych widoków próbując skupić wzrok na palcu. - Gdyby zadał mi pan jakieś pytanie, na które mógłbym odpowiedzieć...

Glaushof cofnął się o krok.

- Zacznijmy od tego, skąd wzięłeś te nadajniki.

- Nadajniki? - zdziwił się Wilt. - Powiedział pan nadajniki? Jakie nadajniki?

- Te, które miałeś w samochodzie.

- Miałem w samochodzie nadajniki? - zapytał Wilt. - Jest pan pewien?

Glaushof chwycił się kurczowo krawędzi biurka i pomyślał z rozmarzeniem o zabijaniu ludzi.

- Myślisz, że możesz sobie wjechać na terytorium Stanów Zjednoczonych...

- Anglii - spokojnie sprostował Wilt. - Ściśle biorąc, Zjednoczonego Królestwa Anglii, Szkocji...

- Chryste - jęknął Glaushof. - Ty komunistyczny bękartie, masz tupet mówić o Rodzinie Królewskiej...

- To mój kraj - powiedział Wilt, czerpiąc siłę z pewności, że jest Brytyjczykiem. Dotychczas nie przywiązywał do tego faktu wielkiej wagi. - A dla pana informacji, nie jestem komunistą. Bękartem może. choć wo-

lałbym myśleć, że nie. Trzeba by o to spytać moją matkę, która nie żyje od dziesięciu lat. Ale na pewno nie jestem komunistą.

- Więc po co ci nadajniki radiowe w samochodzie?

- Już pan o to pytał i nie mam pojęcia, o co panu chodzi. Jest pan pewien, że nie bierze mnie za kogoś innego?

- Nazywasz się Wilt, prawda? - krzyknął Glaushof.

- Tak.

- I jeździsz ruiną forda, numer rejestracyjny HPR 791N?

Wilt skinął głową.

- Można to tak ująć - odparł. - Choć szczerze mówiąc, moja żona...

- Chcesz powiedzieć, że te nadajniki zainstalowała twoja żona?

- Boże broń. Eva nie zna się na takich rzeczach. I po jakie licha miałyby to zrobić?

- Jesteś tu właśnie po to, żeby mi to powiedzieć - oświadczył Glaushof.

- I lepiej uwierz, że inaczej stąd nie wyjdiesz.

Wilt spojrział na niego i potrząsnął głową.

- Muszę przyznać, że jest mi trudno uwierzyć w całą tę sytuację - wymamrotał. - Przyjeżdżam tu, żeby wygłosić wykład o kulturze brytyjskiej, cokolwiek można o niej sądzić, i zanim się obejrzę, jestem w środku jakiegoś szturmu i ktoś puszcza gaz, po czym budzę się w łóżku i lekarze wbiwiają we mnie igły...

Zamilkł. Glaushof wyjął z szuflady biurka rewolwer i zaczął go ładować. Wilt przyglądał się temu z niepokojem.

- Przepraszam - powiedział - ale byłbym wdzięczny, gdyby schował pan ten... hmm... przedmiot. Nie wiem, co pan planuje, ale mogę pana zapewnić, że nie jestem osobą, z którą powinien pan rozmawiać.

- Nie? A kto nią jest? Twój prowadzący?

- Prowadzący? - zapytał Wilt.

- Prowadzący - odrzekł Glaushof.

- Wydawało mi się, że użył pan tego słowa, ale jeśli mam być szczerzy, niewiele mi to daje. Nie mam pojęcia, kto to jest prowadzący.

- Dam ci małą podpowiedź. To facet w Moskwie, który mówi ci, co masz robić.

- Niech pan posłucha - powiedział Wilt, rozpaczliwie starając się wrócić do rzeczywistości, która nie obejmowała prowadzących w Moskwie mówiących mu, co ma robić. - Zaszła jakaś okropna pomyłka i...

- Sam ją popełniłeś, wjeżdżając tutaj z całym tym sprzętem. Ale dam ci jeszcze jedną, ostatnią szansę - ciągnął Glaushof, patrząc na rewolwer tak znacząco, że Wilta przeszły ciarki. - Albo wszystko mi wyśpiewasz, albo...

- Dobrze - odparł Wilt. - Chwyciłem aluzję, żeby użyć tego upiornego wyrażenia. Co mam panu powiedzieć?

- Wszystko. Jak zostałeś zwerbowany, z kim się kontaktujesz i gdzie, jakie informacje już przekazałeś...

Wilt słuchał tej wyliczanki, patrząc żałośnie w okno. Nigdy nie uważał świata za szczególnie sensowne miejsce, a bazy lotnicze były wyjątkowo niedorzeczne, ale zostanie wziętym za radzieckiego szpiega przez stukniętego Amerykanina, który bawi się rewolwerami, zakrawało na totalny obłęd. Może to właśnie się stało. Może dostał szmergla. Ale nie, chyba jednak nie. Rewolwer był przejawem pewnej rzeczywistości, rzeczywistości, którą miliony ludzi na całym globie uważały za normalną, ale która dotychczas omijała Oakhurst Avenue, college i Ipsford. W pewnym sensie to jego własny mały świat ze swą fundamentalną wiarą w edukację, książki i, z braku lepszego słowa, rozsądek, był nierzeczywisty, był snem, z którego wszyscy muszą się obudzić. I to szybko, jeśli ten szalenięcy recytujący frazesy o umieraniu bez niczyjej wiedzy postawi na swoim. Wilt odwrócił się od okna i podjął ostatnią próbę powrotu do znajomego świata.

- W porządku - powiedział - jeśli chce pan znać fakty, podam je panu, ale tylko w obecności ludzi z MI5. Jako obywatel brytyjski mam do tego prawo.

- Prawo? - prychnął Glaushof. - Odkąd minąłeś tę bramę, nie masz żadnych praw. Powiesz mi, co wiesz. Nie zamierzam się ceregielić z bandą ciot z brytyjskiego wywiadu. Więc gadaj.

- Jeśli nie zrobi to panu różnicy, wolałbym wszystko napisać - odparł Wilt, grając na zwłokę i zastanawiając się gorączkowo, do czego też mógłby się przyznać. - Wystarczy mi długopis i parę kartek.

Glaushof zawahał się przez chwilę, ale uznał, że zeznanie spisane ręką Wilta ma swoje plusy. Nikt nie będzie mógł powiedzieć, że je z drania wybił.

- Dobrze - mruknął. - Możesz usiąść przy tym stole.

Trzy godziny później Wilt skończył i wręczył mu sześć stron pokrytych starannym i właściwie nieczytelnym charakterem pisma. Glaushof rzucił na nie okiem.

- Co to ma być? Nie nauczyli cię porządnie pisać?

Wilt ze znużeniem potrząsnął głową.

- Jeśli nie może pan tego przeczytać, niech pan poprosi kogoś o pomoc. Ja mam dość - powiedział i oparł czoło o złożone na stole ręce.

Glaushof popatrzył na jego bladą twarz i dał za wygraną. Sam nie czuł się za dobrze. Ale pułkownik Urwin i ci idioci z Wywiadu poczują się jeszcze gorzej. Pobudzony świeżym przypiływem energii poszedł do sąsi-

edniego pokoju, skserował zeznanie i chwilę później przemaszerował obok wartowników stojących pod drzwiami sekcji łączności.

- Przepiszcie mi to - polecił szefowej maszynistek. - Treść jest ściśle tajna - dodał, po czym usiadł, aby zaczekać.

- Nakaz? - zapytał nadinspektor. - Nakaz rewizji Oakhurst Avenue 45? Chce pan wystąpić o nakaz rewizji?

- Tak jest - odparł inspektor Hodge, zastanawiając się, dlaczego całkowicie jego zdaniem uzasadniona prośba wymaga takiego przesłuchania. - Wszystko wskazuje na to, że Wiltowie są pośrednikami.

- Nie jestem pewien, czy sędzia się zgodzi - powiedział nadinspektor. - Opiera się pan na samych poszlakach.

- Opieram się na faktach. Wilt pojechał do tej bazy lotniczej i bawił się z nami w kotka i myszkę, a jego żona odwiedziła farmę zielarską. To wszystko jest w moim raporcie.

- Tak - mruknął nadinspektor z powątpiewaniem w głosie. - Ale nie ma w nim ani jednego solidnego dowodu.

- Właśnie dlatego trzeba przeprowadzić rewizję - upierał się Hodge. - W domu muszą być jakieś ślady narkotyków. To oczywiste.

- Jeśli Wilt jest tym, za kogo pan go bierze - zauważył nadinspektor.

- Niech pan posłucha - odrzekł Hodge. - Drań wiedział, że go śledziliśmy w drodze do Baconheath. Musiał o tym wiedzieć. Po wyjeździe stamtąd przez pół godziny kręcił się w kółko, żeby nas zgubić...

- To osobna sprawa - wtrącił nadinspektor. - Założył mu pan podsłuch nielegalnie, co uważam za wysoce naganne. Rozumiemy się? Zresztą mógł być pijany.

- Pijany? - powtórzył Hodge, zaskoczony tym nagłym przejściem od stwierdzenia, że nielegalne założenie podsłuchu jest naganne, zwłaszcza że jego zdaniem nie było, do pijaństwa Wilta.

- Kiedy wyjechał z Baconheath, pomieszały mu się strony świata i dlatego kręcił się w kółko. Ci Jankesi lubią żytnią whisky. Straszne paskudztwo, ale wchodzi tak gładko, że człowiek nie wie, kiedy się upija.

Hodge rozważył tę sugestię i odrzucił ją.

- Nie wyobrażam sobie, żeby po pijanemu mógł jechać tak szybko po takich drogach i nie wylądować w rowie. A w dodatku wybrać trasę, która uniemożliwiła nam prowadzenie nasłuchu.

Nadinspektor ponownie przestudiował raport. Nie była to przyjemna lektura. No i Hodge miał trochę racji.

- Jeżeli nie był pijany, dlaczego zostawił samochód pod cudzym domem? - zapytał, ale Hodge miał już gotową odpowiedź.

- Kolejny dowód na to, jaki drań jest sprytny. Myśli o wszystkim. Wie, że ma ogon, i musi jakoś wyjaśnić całe to kluczenie, więc udaje pijanego.

- Jeśli jest taki cholernie sprytny, nic pan nie znajdzie w jego domu - stwierdził nadinspektor, potrząsając głową. - Na pewno nie trzyma towaru u siebie.

- Musi go jednak przewozić - odparł Hodge - a to oznacza samochód. Niech pan posłucha. Wilt jedzie do bazy, odbiera stamtąd towar i w drodze powrotnej przekazuje go komuś, kto zajmuje się dystrybucją. Co tłumaczy, dlaczego zadał sobie tyle trudu, żeby nas zgubić. Nie łapaliśmy żadnych sygnałów przez całe dwadzieścia minut. To dosyć czasu na przeładunek.

- Rzeczywiście - przyznał nadinspektor z niechętnym podziwem. - Niemniej dowodzi to tylko, że mam rację. Jeśli przeprowadzi pan rewizję w jego domu, wyjdzie pan na durnia. A co ważniejsze, ja też. Więc rewizja odpada. Musi pan wymyślić coś innego.

Hodge wrócił do swojego gabinetu i wyładował się na sierżancie Runku.

- Przy takich wstąpieniach to cholerny cud, że udaje nam się zgarnąć jakiegokolwiek bandytę. I po co kwitowałeś pobranie tych pieprzonych nadajników?

- Inaczej bym ich nie dostał - odparł Runk.

- Ale nie musiałeś pakować mnie w gówno, pisząc: „Za zgodą nadinspektora Wilkinsona do tajnej inwigilacji”. Stary był zachwycony.

- Myślałem, że ma pan jego zgodę.

- Wcale tak nie myślałeś. Wycięliśmy ten numer w środku nocy, a stary poszedł do domu o piątej. Teraz musimy cholerstwa wymontować. Możesz to zrobić dziś wieczorem.

I mając przynajmniej tę pociechę, że sierżant będzie przez resztę dnia żałował swojej niefrasobliwości, Hodge wstał, aby poszukać natchnienia za oknem. Skoro nic mógł zdobyć nakazu rewizji... Wciąż zastanawiał się nad tą kwestią, gdy jego uwagę przyciągnął zaparkowany w dole samochód. Wyglądał obrzydliwie znajomo.

Escort Wiltów. Co, do diabła, robił pod komisariatem?

Eva siedziała w gabinecie Flinta i powstrzymywała łzy.

- Nie wiedziałam, do kogo jeszcze mogłabym się zwrócić - wyjaśniła. - Byłam w college'u i dzwoniłam do więzienia, i pani Braintree go nie widziała, a zazwyczaj tam chodzi, kiedy się... kiedy potrzebuje odmiany. Ale nie ma go u Braintreech ani w szpitalu, ani w żadnym z innych miejsc, które przyszły mi do głowy, i wiem, że go pan nie lubi i tak dalej, ale jest pan policjantem i w przeszłości był pan... pomocny. I naprawdę zna pan Henry'ego.

Umilkła i spojrzała błagalnie na inspektora.

To spojrzenie niezbyt się Flintowi spodobało, a już na pewno nie spodobała mu się sugestia, że zna Wilta. Owszem, próbował bydlaka zrozumieć, ale nigdy, nawet w chwilach największego optymizmu, nie uważał, że udało mu się wniknąć w straszliwe głębie jego zadziwiającego charakteru. Drań był jedną wielką zagadką, którą wybór Evy na żonę czynił jeszcze trudniejszą do rozgryzienia. Flint zawsze wolał nie myśleć o ich związku, a tu Eva Wilt we własnej osobie siedziała na krześle w jego gabinecie i mówiła mu, zupełnie lekceważąc jego uczucia, wręcz jakby był to swego rodzaju komplement, że zna jej Henry'ego.

- Czy zdarzyło już mu się tak zniknąć? - zapytał, myśląc jednocześnie, że na miejscu Wilta zniknąłby w okamgnieniu - przed ślubem.

- Nie, nigdy - zaprzeczyła Eva. - Dlatego tak się martwię. Wiem, że pana zdaniem jest... dziwny, ale naprawdę jest dobrym mężem.

- Nie wątpię - odparł Flint, nie potrafiąc wymyślić nic bardziej pocieszającego. - A może cierpi na amnezję?

- Na co?

- Zanik pamięci - wyjaśnił Flint. - Występuje u ludzi, którzy mają duże stresy. Czy działo się ostatnio coś, co mogłoby go przyprawić o... załamanie nerwowe?

- Nie przychodzi mi do głowy nic szczególnego - odrzekła Eva, zdecydowana nie wspominać o doktor Kores i jej paskudnej miksturze. - Oczywiście dzieci działają mu czasem na nerwy, a parę dni temu była ta straszna historia z dziewczyną, która umarła w college'u. Henry bardzo się zmartwił. No i uczył w tym więzieniu... - Umilkła ponownie, przypominawszy sobie, co naprawdę ją niepokoiło. - Uczył tego okropnego człowieka nazwiskiem McCullum, w poniedziałki i piątki wieczorem. W każdym razie tak mi mówił, ale kiedy zadzwoniłam do więzienia, powiedzieli mi, że nie.

- Co nie? - zapytał Flint.

- Nie przychodził tam w piątki - odparła Eva, znów bliska łez w obliczu dowodu, że Henry, jej Henry, ją okłamał.

- Ale wychodził w każdy piątek, mówiąc pani, że idzie do więzienia?

Eva bezgłośnie skinęła głową i na chwilę Flintowi niemal zrobiło jej się żal. Gruba kobieta w średnim wieku, z czterema nieznośnymi córkami, które robiły z domu przedsionek cholernego piekła, i nie wiedziała, co Wilt kombinuje? To się nazywa być ciemną jak tabaka w rogu. No cóż, zaraz ją oświeci.

- Proszę pani, wiem, że nie jest to łatwe do... - zaczął, lecz ku jego zaskoczeniu Eva go ubiegła.

- Wiem, co chce pan powiedzieć, ale to nieprawda. Gdyby chodziło o inną kobietę, czy zostawiłby samochód pod domem pani Willoughby?

- Zostawił samochód pod domem pani Willoughby? Kim jest pani Willoughby?

- Naszą sąsiadką. Mieszka pod 65 i właśnie tam stał dziś rano nasz samochód. Musiałam po niego pójść. Dlaczego Henry to zrobił?

Flint chciał już odpalić, że tak właśnie by postąpił na miejscu Wilta, zostawiłby samochód byle gdzie i uciekł w te pędy, kiedy coś przyszło mu do głowy.

- Niech pani tu zaczeka - powiedział i wyszedł z pokoju.

W korytarzu przystanął na chwilę, aby się zastanowić, kogo spytać. Oczywiście nie zamierzał zwracać się do Hodge'a, ale był jeszcze sierżant Runk. I mógł napuścić na niego Yatesa. Poszedł do dużej sali biurowej, gdzie sierżant Yates siedział przy maszynie do pisania.

- Mam dla ciebie zadanie, Yates. Pogadaj ze swoim kumplem Runkiem i dowiedz się, gdzie śledzili wczoraj Wilta. Jest u mnie jego ślubna. Tylko się nie wysyp, że ja cię przysłałem. Pytasz ot tak, sam z siebie.

Usiadł na brzegu biurka, żeby zaczekać. Yates wrócił po pięciu minutach.

- Dali dupy - zameldował. - Dojechali za draniem na nasłuchu do bazy lotniczej w Baconheath. Siedział tam półtorej godziny, a po wyjściu prowadził jak wariat. Runkie uważa, że wiedział, że go śledzą. Tak czy owak, zgubili go i kiedy w końcu znaleźli samochód, stał pod czyimś domem parę numerów od Wiltów i jakiś cholernie wielki pies próbował wyłamać frontowe drzwi, żeby rzucić się na Hodge'a. To mniej więcej wszystko.

Flint pokiwał głową, starannie ukrywając swoje podniecenie. Zrobił już dosyć, żeby Hodge wyszedł na pieprzonego idiotę, którym był; złamał Byka i Clive'a Swannella, i tego wypierdka Lingo-na, miał ich zeznania na piśmie i tak dalej; a przez cały ten czas Hodge nękał Wilta. Czemu miałby dłużej wpuszczać go w bagno?

Z drugiej strony, czemu nie? Im głębiej bydlak ugrzęźnie, tym trudniej będzie mu się wykaraskać. I nie tylko Hodge'owi, lecz także Willowi. Drań był pierwotną przyczyną wszystkich nieszczęść Flinta i unurzanie go w błocie razem z Hodge'em byłoby idealnym aktem sprawiedliwości. Poza tym Flint musiał czymś zająć inspektora, żeby przygwoździć Lingona. A kto mógłby dostarczyć Hodge'owi więcej zajęcia niż pani Eva Wilt? Jedyne problem polegał na tym, jak ją na niego napuścić bez niczyjej wiedzy. Cóż, będzie musiał zaryzykować. Ale najpierw lepiej się upewni. Flint znalazł numer Baconheath i podszedł do telefonu.

- Tu inspektor Hodge - powiedział, wymawiając nazwisko tak niewyraźnie, że równie dobrze mogło brzmieć Squash albo Hcdge. - Dzwonię z

komisariatu policji w Ipford w sprawie niejakiego pana Wilta... Pana Henry'ego Wilta, zamieszkałego przy Oak-hurst Avenue 45 w Ipford. Jak rozumiem, odwiedził was wczoraj.

Ktoś odrzekł, że to sprawdzi. Trwało to długo i w słuchawce odezwał się inny Amerykanin.

- Chodzi panu o jakiegoś Wilta?

- Zgadza się - odparł Flint.

- I jest pan z policji?

- Tak - potwierdził Flint, z zainteresowaniem odnotowując niepewny ton swego rozmówcy.

- Jeśli poda mi pan nazwisko i numer telefonu, zadzwonię do pana - powiedział Amerykanin.

Flint cichutko odłożył słuchawkę. Dowiedział się tego, co chciał, i żaden Jankes nie będzie go sprawdzał.

Wrócił do gabinetu i usiadł za biurkiem, wydając z siebie teatralne westchnienie.

- Obawiam się, że nie będzie pani zachwycona tym, co powiem - oświadczył.

Eva nie była. Opuściła komisariat blada z wściekłości. Henry nie tylko ją okłamywał, lecz także od miesięcy zdradzał, a ona niczego się nie domyślała.

Flint siedział w swoim gabinecie, wpatrując się z niemal ekstatyczną miną w ścienny plan Ipford. Tym razem Henry Wilt, cholerny Henry Wilt, dostanie to, na co zasłużył. A drań gdzieś tam był, na którejś z tych małych uliczek, zadekowany z jakąś cizią, która musiała mieć pieniądze, bo inaczej wróciłyby do swojej roboty w college'u.

Nie, nie wróciłyby, bo dopadłaby go Eva. Dlaczego zostawił samochód? Gdyby miał choć trochę rozumu, wyjechałby nim z miasta. Ta cholerna baba go zamorduje. Flint uśmiechnął się do siebie. To naprawdę byłby akt sprawiedliwości.

- Nic mogę tak ryzykować - powiedział pan Gamer. - Chciałbym panu pomóc, naprawdę bym chciał, ale jeśli wszystko się wyda?

- Nie wyda się - odparł Hodge. - Mogę pana uroczyście o tym zapewnić. Nawet pan nie zauważy, że tam są.

Pan Gamer rozejrzał się po restauracji z żalną miną. Zazwyczaj jadł na lunch kanapki i pił kawę, i nie był pewien, czy kurczak curry splukany butelką Blue Nun mu nie zaszkodzi. Ale to inspektor płacił i zawsze mógł wziąć potem silimarol.

- Chodzi nie tylko o mnie, ale i o moją żonę. Gdybym panu powiedział, co ta biedaczka przeżyła przez ostatni rok, nie uwierzyłby pan. Naprawdę

by pan nie uwierzył.

- Uwierzyłbym - stwierdził Hodge.

Jeśli przypominało to jego własne przeżycia z ostatnich czterech dni, pani Gamer musiała być kobietą żelaznej konstytucji.

- Najgorzej jest podczas szkolnych ferii - podjął pan Gamer. - Te pieprzone dziewczuchy... Zazwyczaj nie przeklinam, ale czasami człowiek musi... Nawet pan sobie nie wyobraża, jakie są okropne. - Umilkł i nachylił się do Hodge'a. - Pewnego dnia kogoś zabiją - wyszeptał. - We wtorek o mały włos nie załatwiły mnie. Gdyby nie to, że miałem buty na gumowej podeszwie, wachałbym już kwiatki od spodu. Ukradły mi rzeźbę z ogródka i kiedy po nią poszedłem...

Hodge uśmiechnął się współczująco.

- To karygodne - powiedział. - Powinien pan być od razu to zgłosić. Nawet teraz, gdyby złożył pan oficjalną skargę...

- Sądzi pan, że się odważę? Za nic. Gdyby z mety trafili wszyscy za kratki, to może, ale nie ma tak dobrze. Wrócą z sądu do domu i... nie chcę nawet o tym myśleć. Niech pan weźmie tego biedaka, radnego Birkenshawa. Wypisały jego nazwisko na gumie z napletkiem. Przeleciała nad całą ulicą. A potem go oskarżyły, że pokazywał im wacka. Z trudem udało mu się dowieść, że to nieprawda. I gdzie teraz jest? W szpitalu. Nie, nie warto się narażać.

- Rozumiem pana - wtrącił Hodge. - Ale Wiltowie nigdy się o tym nie dowiedzą. Potrzebujemy tylko pana zgody, żeby...

- A wszystko przez ich cholerną matkę - ciągnął pan Gamer, ośmielony winem i ewidentnym współczuciem inspektora. - Gdyby nie zachęcała tych małych suk, żeby interesowały się mechaniką jak chłopcy... Ale nie, muszą być wynalazczyniami i geniuszkami. Faktycznie, trzeba swego rodzaju geniuszu, żeby zrobić to, co zrobiły z kosiarką Dickensów. Była fabrycznie nowa i Bóg jeden wie, co właściwie przy niej zmajstrowały. W każdym razie doładowały ją gazem z butli turystycznej i zmieniły proporcje biegów, więc poszła jak burza. A Dickens nie jest dobrego zdrowia. Włączył ją i zanim się obejrzał, cholera śmignęła osiemdziesiątką przez trawnik i zaczęło kosić nowy dywan w salonie. Rozwaliło też pianino. Unieruchomiła je dopiero straż pożarna.

- Dlaczego nie pozwał rodziców do sądu? - spytał Hodge, wbrew sobie zafascynowany tą opowieścią.

Pan Gamer westchnął.

- Nie rozumie pan. Trzeba przez to przejść, żeby to zrozumieć. Myśli pan, że się do czegoś przyznały? Skądże znowu. A kto uwierzy starymu Dickensowi, że cztery sakramenckie dziewczuchy w tym wieku potrafiły za-

mienić koła łańcuchowe napędu i przykleić sprzęgło na superglue? Nikt. Można jeszcze wina?

Hodge napełnił mu kieliszek. Pan Gamer był bezsprzecznie człowiekiem złamanym.

- Dobrze - powiedział. - Przypuśćmy, że nie będzie pan nic wiedział. Przypuśćmy, że przyjdzie do pana inkasent z gazowni, żeby sprawdzić licznik...

- To następna sprawa - przerwał mu pan Gamer z niemal obłąkańczym błyskiem w oku. - Gaz. Ten rachunek! Czteryście pięćdziesiąt pieprzonych funtów za letnie miesiące! Nie wierzy mi pan, prawda? Ja też nie wierzyłem. Kazałem im jeszcze raz sprawdzić licznik, ale wyszło tak samo. Do tej pory nie wiem, jak to zrobiły. Musiały coś wykombinować, kiedy byliśmy na wakacjach. Gdybym tylko mógł się dowiedzieć!

- Niech pan posłucha - zaczął Hodge. - Jeśli pozwoli pan mojemu człowiekowi zainstalować ten sprzęt, ma pan bardzo duże szansę pozbyć się Wiltów na zawsze. Mówię poważnie. Na zawsze.

Pan Gamer spojrzął do swego kieliszka i rozważył tę wspaniałą perspektywę.

- Na zawsze?

- Na zawsze.

- Zgoda - powiedział pan Gamer.

Jeszcze tego samego popołudnia sierżant Runk, solidnie zakłopotany przebraniem inkasenta i żalonymi pytaniami pani Gamer, co też może być nie w porządku z kominem, przecież został zabezpieczony, kiedy zakładano centralne ogrzewanie, siedział na strychu Gamerów. Zanim stamtąd zszedł, udało mu się przepchnąć mikrofony przez szpary między cegłami, tak że leżały ukryte wśród wiórów izolacyjnych nad sypialniami Wiltów. Oakhurst Avenue 45 była na podsłuchu.

- Sądzę, że mamy diabelny problem - powiedział kapral. - Major Glaus-hof kazał mi zostawić samochód pod domem tego Wilta i zrobiłem to. Wiem tyle, że nie były to nadajniki cywilne. Dobrze się im przyjrzałem i był to sprzęt brytyjski najnowszej generacji.

Pułkownik Urwin, starszy oficer wywiadu Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych, rozważył tę kwestię, patrząc chłodno na myśliwską rycinę na ścianie. Nie była zbyt dobra, ale przedstawiając gromadę chudych, grubych, bladych i rumianych Angoli, którzy gonili konno uwidocznionego na drugim planie lisa, służyła mu za przypomnienie, że lepiej jest nie lekceważyć Brytyjczyków. A najlepiej uchodzić za jednego z nich. Dlatego też grał w golfa, używając zabytkowych kijów, a w wolnych chwilach szukał swoich korzeni w archiwach różnych uniwersytetów i na przykości-

elnych cmentarzach hrabstwa Lincolnshire. Krótko mówiąc, zachowywał incognito i był dumny z tego, że często brano go za nauczyciela z jednej z lepszych szkół publicznych. Ta rola w pełni mu odpowiadała i była zgodna z jego zawodowym credo: „W przezorności męstwo”.

- Brytyjski? - powtórzył z namysłem. - To może znaczyć wszystko albo nic. I mówicie, że major Glaushof utajnił całą sprawę?

- Na rozkaz generała Belmonte.

Pułkownik nic nie odpowiedział. Jego zdaniem dowódca bazy miał niewiele wyższy iloraz inteligencji od tego bałwana Glaushofa. Człowiek, który licytował cztery bez atutu, nie mając ani jednego kara, musiał być kreatywnym.

- Więc sytuacja wygląda tak, że Glaushof trzyma tego Wilita pod strażą i zapewne go torturuje, i nikt nie ma wiedzieć, że facet tu jest. Słowa kluczowe „ma”. Ktokolwiek go przysłał, wie, że nie wrócił do Ipsford.

- Tak jest, panie pułkowniku - potwierdził kapral. - I major próbuje wysłać e-mail do Waszyngtonu.

- Dopilnuj, żeby to mu się nie udało - polecił pułkownik. - I przynieś mi kopię.

- Tak jest - odparł kapral i wyszedł.

Pułkownik Urwin spojrzał na swojego zastępcę.

- Ładny gips - powiedział. - Co o tym sądzisz

Kapitan Fortune wzruszył ramionami.

- Jest wiele możliwości. Nie podoba mi się to, co kapral mówił o tym sprzecznie.

- Kamikaze - stwierdził pułkownik. - Kto wwozi nadajniki do bazy wojskowej?

- Libijczycy albo ludzie Chomeiniego?

Pułkownik Urwin potrząsnął głową.

- Na pewno nie. Oni uderzają bez ostrzeżenia. Przyjechaliby z bombami za pierwszym razem. Więc kto za tym stoi?

- Brytyjczycy?

- Też tak uważam - oświadczył pułkownik i przeszedł przez pokój, aby przyjrzeć się rycinie z bliska. - Pytanie brzmi, na kogo polują. Na pana Henry'ego Wilita czy na nas?

- W naszej bazie danych nic na Wilita nie mamy. W latach sześćdziesiątych należał do CND, poza tym apolityczny.

- Uniwersytet?

- Tak - odparł kapitan.

- Który?

Kapitan postukał w klawiaturę komputera.

- Cambridge. Filologia angielska.

- I to wszystko?

- Jeśli chodzi o nas. Wywiad brytyjski może wiedzieć coś więcej.

- Nie będziemy ich pytać - zdecydował pułkownik. - Jeśli Glaushof za zgodą generała chce się bawić w Samotnego Jeźdźca, proszę bardzo. My będziemy trzymać się z daleka od tego szamba i przedstawimy prawidłową odpowiedź, kiedy nas o nią poproszą.

- Nadal mi się nie podoba ten sprzęt w samochodzie - stwierdził kapitan.

- A mnie się nie podoba Glaushof - odrzekł pułkownik. - I mam wrażenie, że Ofreyom również. Niech sobie kopie własny grób. - Umilkł na chwilę. - Czy oprócz tego kaprała ktoś choć trochę inteligentny wie, co się naprawdę wydarzyło?

- Kapitan Clodiak wniosła na Haraha skargę o napastowanie seksualne. I jest na liście osób, które chodziły na wykłady Wilta.

- Dobrze - powiedział pułkownik. - Zaczniemy rozgryzać tę kabałę w tym miejscu.

- Wróćmy do tego Radka - zakomenderował Glaushof. - Chcę wiedzieć, kim on jest.

- Już panu mówiłem - odparł Wilt. - To czeski pisarz, który nie żyje od Bóg wie jak dawna, więc nie ma siły, żebym mógł go poznać.

- Jeśli kłamiesz, poznasz go już wkrótce - warknął Glaushof.

Przeczytawszy transkrypt zeznania, w którym Wilt napisał, że został zwerbowany przez agenta KGB Jurija Orłowa i miał łącznika, który nazywał się Karl Radek, Glaushof postanowił wy badać, jakie dokładnie informacje Wilt przekazał Rosjanom. Co zrozumiałe, miał z tym znacznie większy kłopot niż z nakłonieniem go do przyznania się, że jest szpiegiem. Dwukrotnie zagroził mu natychmiastową śmiercią, ale niewiele to dało. Wilt poprosił o czas do namysłu i wykoncypował bomby wodorowe.

- Bomby wodorowe? Zakablowałeś temu draniowi Radkowi, że mamy tu bomby wodorowe?

- Tak - potwierdził Wilt.

- Przecież już o tym wiedzą.

- Radek też tak powiedział. Chciał czegoś więcej.

- I co mu dałeś? BB?

- BB? - powtórzył Wilt. - To znaczy Brigitte Bardot?

- Bomby binarne.

- Nigdy o nich nie słyszałem.

- Najbezpieczniejsze bomby chemiczne na świecie - wyjaśnił z dumą Glaushof. - Moglibyśmy zabić nimi wszystko, co żyje od Moskwy do pięprzonego Pekinu, i w ogóle by się nie zorientowali.

- Naprawdę? - zapytał Wilt. - Dostyc dziwnie rozumie pan słowo „bezpieczny”. To do czego są zdolne bomby niebezpieczne?

- Cholera - mruknął Glaushof, bolejąc nad tym, że nie jest w jakimś zacofanym kraju typu Salvador i nie może zastosować skuteczniejszych środków perswazji. - Jak nie zaczniesz gadać, będziesz żałował, że mnie spotkałeś.

Wilt przyjrzał się majorowi krytycznie. Z każdą nie spełnioną groźbą nabierał pewności siebie, niemniej uwaga, że już żałuje spotkania Glaushofa, nadal byłaby nieroztropna. Lepiej bydlaka nie drażnić.

- Przecież odpowiadam na pana pytania.

- I nie zakapowałeś im nic więcej?

- Nic więcej nie wiem. Niech pan spyta moich słuchaczy. Powiedzą panu, że nie odróżniłbym bomby od banana.

- To ty tak twierdzisz - odburknął Glaushof.

Przepytał już słuchaczy Wilta i od pani Ofrey dowiedział się więcej o sobie samym niż o nim. Kapitan Clodiak też niewiele mu pomogła. Jedynym dowodem, jaki potrafiła przedstawić na to, że Wilt jest komunistą, było jego przekonanie, iż państwowa służba zdrowia to dobra rzecz. I tak, zatoczywszy koło niekonsekwencji, wrócili do niejakiego Radka, który miał być agentem KGB i łącznikiem Wilta, a okazał się czeskim pisarzem, w dodatku nieżyjącym. I z każdą godziną malały szansę Glaushofa na awans. Musiał znaleźć jakiś sposób, aby zdobyć informacje, których potrzebował. Zaczął się już zastanawiać, czy nic mógłby użyć jakiegoś serum prawdy, gdy zauważył leżący na biurku ochraniacz.

- Dlaczego miałeś to na sobie? - zapytał.

Wilt spojrzał na paskudztwo z urazą. W tych nowych i jeszcze bardziej przerażających okolicznościach wydarzenia poprzedniego wieczoru wydawały mu się dziwnie odległe, ale była chwila, gdy pomyślał, że ochraniacz jest w jakiś sposób odpowiedzialny za jego kłopoty. Gdyby się nie rozwiązał, nie poszedłby do toalety i...

- Dokuczala mi przepuklina - odparł, sądząc, że jest to bezpieczne wyjaśnienie.

Nie było. Glaushof zaczął myśleć o seksie.

Eva też o nim myślała. Odkąd wyszła od Flinta, myślała o seksie obsesyjnie. Henry, jej Henry, porzucił ją dla innej kobiety, i to amerykańskiej wojskowej dziwki. Nie mogła mieć co do tego wątpliwości. Inspektor Flint był bardzo delikatny. Powiedział jej tylko, że Henry pojechał do Baconheath. Ale to wystarczyło. Henry wychodził z domu w każdy piątek, mówiąc, że jedzie do więzienia, a przez cały czas... Nie, nie daruje mu tego. Ze straszliwą determinacją Eva skręciła w Canton Street. Mavis miała jednak

rację i Ma-vis potrafiła sobie poradzić ze zdradami Palricka. A co najważniejsze, jako sekretarka Matek Przeciwko Bombie nienawidziła Amerykanów z Baconheath. Mavis będzie wiedziała, co zrobić.

Mavis wiedziała. Ale najpierw musiała dać wyraz złośliwej satysfakcji.

- Nie chciałaś mnie słuchać, Evo - powiedziała. - Zawsze mówiłam, że Henry ma w sobie coś śliskiego i fałszywego, ale ty się upierałaś, że jest dobrym, wiernym mężem. Chociaż po tym, co próbował mi zrobić tamtego ranka, nie rozumiem, jak...

- Przepraszam - wtrąciła Eva - ale myślałam, że to moja wina, bo poszłam do doktor Kores i dałam mu... O Boże, nie sądzisz chyba, że dlatego to zrobił?

- Nie, nie sądzę - odparła Mavis. - To niemożliwe. Jeśli zdradzał cię z tą kobietą od pół roku, ziołowa mieszanka doktor Kores nie miała z tym nic wspólnego. Choć oczywiście spróbuje użyć takiej wymówki, kiedy przyjdzie do rozwodu.

- Ale ja nie chcę się rozwieść - zaprotestowała Eva. - Chcę tylko dostać w swoje ręce tę kobietę.

- Jeśli zamierzasz być seksualną helotką...

- Czym? - spytała Eva przerażona tym słowem.

- Niewolnicą, kochanie - wyjaśniła Mavis, rozpoznając swój błąd. - Służącą. Kuchtą, która tylko gotuje i sprząta.

Eva nie podjęła dyskusji. Chciała być jedynie dobrą żoną i matką i wychować dziewczynki w taki sposób, aby mogły zająć należne im miejsce w nowoczesnym świecie: na samej górze.

- Ale nawet nie wiem, jak się ta okropna kobieta nazywa - powiedziała, wracając do kwestii praktycznych.

Mavis zastanowiła się nad tym problemem.

- Może Bili Paisley coś wie - poddała po dłuższej chwili. - Uczył tam i wykłada z Patrickiem na Uniwersytecie Otwartym. Zadzwoń do niego.

Eva siedziała w kuchni, na pozór pogrążona w letargu, lecz w rzeczywistości zbierając się w sobie do konfrontacji. Niech Mavis mówi, co chce, nie pozwoli, żeby ktokolwiek odebrał jej Henry'ego. Czworaczki będą miały ojca i prawdziwy dom, i najlepsze wykształcenie, jakie pensja Wilta może im zapewnić, bez względu na to, co powiedzą ludzie i jak bardzo ucierpi jej własna duma. Duma była grzechem, a poza tym Henry za wszystko jej zapłaci.

Właśnie powtarzała sobie w myślach, co mu powie, kiedy wróciła Mavis.

- Bili Paisley wszystko o tym wie - oznajmiła triumfalnie. - Henry wykładał grupie kobiet kulturę brytyjską i nie trzeba wielkiej wyobraźni, żeby zgadnąć, co się stało. - Spojrzała na jakiś świstek papieru. - „Rozwój bry-

tyjskiej kultury i instytucji", pawilon nr 9. I trzeba rozmawiać z oficerem oświatowym. Bili podał mi jego numer. Jeśli chcesz, zadzwonię za ciebie.

Eva z wdzięcznością skinęła głową.

- Tylko bym się zdenerwowała i straciła panowanie nad sobą - powiedziała. - A ty masz takie zdolności organizacyjne.

Mavis ponownie wyszła na korytarz i przez następne dziesięć minut Eva słyszała odgłosy coraz bardziej gwałtownej rozmowy. Potem trzasnęła odkładana słuchawka.

- Co za tupet - zawołała Mavis, wpadając do kuchni jak burza, z bladą ze złości twarzą. - Połączyli mnie z nim dopiero, kiedy powiedziałam, że jestem ze służby bibliotecznej i chcę porozmawiać z oficerem oświatowym o gratisowej dostawie książek. I usłyszałam tylko: „Bez komentarza, proszę pani. Przykro mi, bez komentarza”.

- Ale spytałaś o Henry'ego? - wtrąciła Eva. nie bardzo rozumiejąc, co służba biblioteczna i gratisowa dostawa książek mogą mieć wspólnego z jej mężem.

- Oczywiście - burknęła Mavis. - Powiedziałam, że pan Wilt zasugerował, abym się z nim skontaktowała w sprawie dostarczenia przez służbę biblioteczną książek na temat kultury brytyjskiej, i wtedy nabrał wody w usta. - Zamyśliła się na chwilę. - Wiesz, mogłabym niemal przysiąc, że miał przestraszony głos.

- Przestraszony? Czego mógł się przestraszyć?

- Nie mam pojęcia. Taka była jego reakcja na nazwisko Wilt - odparła Mavis. - Ale pojedziemy tam zaraz i wszystkiego się dowiemy.

Kapitan Clodiak siedziała w gabinecie pułkownika Urwina. W odróżnieniu od pozostałych budynków w Baconheath, odziedziczonych przez Amerykanów po RAF-ie i przypominających tanie domki jednorodzinne z prefabrykatów, Sztab Wywiadu był dużym dworem z czerwonej cegły, wzniesionym na przełomie wieków przez emerytowanego inżyniera górnika, który liczył na wzrost wartości czarnej bagiennej gleby, gustował w stylu Tudorów i nie lubił lodowatych wiatrów wiejących z Syberii. W rezultacie dom miał imitację sali bankietowej, dębową boazerię na ścianach oraz doskonały system centralnego ogrzewania i idealnie harmonizował ze zmysłem ironii pułkownika Urwina. Pozwalał mu się też odciąć od reszty bazy i nadawał wagę jego przekonaniu, że wojskowi są niebezpiecznymi idiotami nie potrafiącymi mówić poprawnie po angielsku. W wywiadzie potrzebna była inteligencja, nie tylko mięśnie, lecz także mózg. Kapitan Clodiak najwyraźniej posiadała i jedno, i drugie. Pułkownik Urwin słuchał jej relacji o pojmaniu Wilta z wielką uwagą. Zmuszała go do zmiany poglądu na sytuację.

- Więc mówi pani, że był niespokojny przez cały wieczór?

- Tak jest - odparła Clodiak. - Skręcał się za pulpitem, jakby coś go bolało. A wykład nie trzymał się kupy. Był chaotyczny. Zazwyczaj robi dygresje, ale wraca do głównego tematu. Tym razem plótł coś bez składu i ładu, a potem wysunął mu się z nogawki ten bandaż i wtedy zupełnie się rozsypał.

Pułkownik spojrział na kapitana Fortune'a.

- Wiadomo nam, dlaczego nosił bandaż?

- Pytałem lekarzy i nic o tym nie wiedzą. Facet trafił do nich zagazowany, ale bez śladu jakichkolwiek obrażeń.

- Wróćmy do jego zachowania wcześniej. Zauważyła pani coś niezwykłego?

Kapitan Clodiak potrząsnęła głową.

- Raczej nie. Hetero, dobre maniery, nie przystawia się do nas, pewnie ma jakieś kompleksy i cierpi na depresję. W sumie nic, co uznałabym za niezwykle u Anglika.

- Ale był wyraźnie niespokojny? I na pewno widziała pani bandaż?

- Na pewno - potwierdziła Clodiak.

- Dziękuję za pomoc - powiedział pułkownik. - Jeżeli coś się pani przypomni, proszę dać nam znać. - i odprowadziwszy kapitan do drzwi, przystanął przed myśliwską ryciną, aby poszukać w niej natchnienia. - Wygląda na to, że Glaushof wziął go w obroty - odezwał się po dłuższej chwili.

- To jasne jak słońce - stwierdził Fortune. - Skoro tak szybko zaczął śpiewać.

- I co wyśpiewał? Absolutnie nic.

- Przyznał, że zwerbował go ten Orłów i że kontaktował się z jakimś Karlem Radkiem. Nie powiedziałbym, że to nic.

- Orłów jest dysydentem, który kibluje na Syberii - odparł Urwin. - A Karl Radek to czeski pisarz, który umarł w gułagu w 1940 roku. Dostyc trudno byłoby się z nim skontaktować.

- Może to pseudonimy.

- Może. Chociaż osobiście nie wybrałbym nazwisk, które wydają się fałszywe na pierwszy rzut oka. I dlaczego Rosjanie? Jeśli są z ambasady... Pewnie tak. Tylko że poznał tego „Orłowa” na przystanku autobusowym w Ipford, czyli poza terenem, po którym pracownikom radzieckiej ambasady wolno się poruszać. I gdzie się spotykał ze swoim kumplem Radkiem? W każdą środę po południu na miejskim skwerze. W każdą środę w tym samym miejscu o tej samej porze? Wykluczone. Nasi przyjaciele z KGB mogą czasem udawać głupich, ale nie aż tak głupich. Glaushof dostał karty, o które się prosił, i nie stało się to przypadkiem.

- No to Glaushof wylądował w gównie - zauważył Fortune.

Ale pułkownik Urwin nie był zadowolony.

- Wszyscy w nim wylądujemy, jeśli nie będziemy ostrożni - powiedział.

- Jeszcze raz rozpatrzmy możliwości. Wilt jest autentycznym rosyjskim szpiegiem? Odpada z powodów, które wymieniłem. Ktoś sprawdza naszą ochronę? Jakiś czubek w Waszyngtonie mógł wpaść na taki pomysł. Mają obsesję na punkcie szyickich oddziałów samobójczych. Ale dlaczego posłużyli się Anglikiem? Nie powiedzieli mu o nadajnikach, żeby sprawdzian był bardziej skuteczny. Jeśli tak, dlaczego panikował podczas wykładu? Do tego właśnie wracam, do jego zachowania wczoraj wieczorem. To jest trop, którym musimy pójść. Dalej mamy jego „zeznanie”, w które tylko taki bałwan jak Glaushof mógł uwierzyć, i coś naprawdę zaczyna śmierdzieć w państwie duńskim. I Glaushof się tym zajmuje? Już nie, Ed. Odbieram mu tę sprawę.

- W jaki sposób? Ma pełnomocnictwo od samego generała.

- Nie szkodzi - odrzekł pułkownik. - Stary B 52 może myśleć, że dowodzi tą bazą, ale pozbawię go złudzeń. Co do wielu rzeczy. - Nacisnął przycisk telefonu. - Połączcie mnie z dowództwem wywiadu.

- Mam nikogo nie wpuszczać - oświadczył wartownik przy bramie. - Przykro mi, ale taki dostałem rozkaz.

- Chcemy tylko porozmawiać z oficerem, który zajmuje się oświatą - wyjaśniła Mavis. - Nazywa się Bluejohn i...

- Mówię pani, nie wolno mi nikogo wpuszczać.

Mavis wzięła głęboki oddech i spróbowała zachować spokój.

- W takim razie chciałabym porozmawiać z nim tutaj. Skoro nie możemy wejść, może byłby uprzejmy do nas wyjść.

- Sprawdź to - mruknął żołnierz i wszedł do wartowni.

- To nic nie da - westchnęła Eva, patrząc na szlaban i wysokie ogrodzenie z drutu kolczastego. Na drodze za szlabanem ustawiono zygzakiem beczki z betonem, aby wszystkie pojazdy musiały powoli lawirować między nimi. - Nic nam nie powiedzą.

- Chcę wiedzieć, dlaczego - odparła Mavis.

- Może byliby dla nas miłsi, gdybyś nie miała tego znaczka Matek Przeciwno Bombie - zauważyła Eva.

Mavis odpięła go niechętnie.

- To skandal - stwierdziła. - Żyjemy w wolnym kraju i...

Umilkła, bo w drzwiach wartowni stanął jakiś porucznik.

Popatrzył na nie chwilę i podszedł do szlabanu.

- Bardzo panie przepraszam - powiedział - ale mamy próbny alarm. Trochę to jeszcze potrwa, więc gdyby mogły panie wrócić jutro...

- Jutro nam nie pasuje - ucięła Mavis. - Chcemy widzieć się z panem Bluejohnem dzisiaj. Gdyby był pan uprzejmy do niego zadzwonić albo przesłać mu wiadomość, byłybyśmy bardzo wdzięczne.

- Dobrze - odparł porucznik. - Co mam mu powiedzieć?

- Że jest tu pani Wilt, która chciałaby spytać o swojego męża, pana Henry'ego Wilta. Prowadzi u was wykłady na temat kultury brytyjskiej.

- Chodzi o pana Wilta? Słyszałem o nim od kapitan Clodiak - rozgądał się porucznik. - Uczęszcza na jego wykłady i uważa, że jest bardzo dobry. Nie ma sprawy, zadzwonię do OO.

- A nie mówiłam? - prychnęła Mavis, kiedy porucznik wrócił na wartownię. - „Uważa, że jest bardzo dobry”. Ciekawe, w czym twój Henry jest taki dobry teraz.

Eva prawie jej nie słyszała. Ostatnie wątpliwości co do tego, że Henry ją zdradza, zniknęły. Patrzyła przez druty na ponure wojskowe budynki z uczuciem, że widzi ponurość i jałowość swego dalszego życia. Henry odszedł z jakąś kobietą, może z tą kapitan Clodiak, i będzie musiała sama wychować czworaczki i żyć w biedzie, i przypną im łątkę niepełnej rodziny. Ale rodzina bez ojca nie jest rodziną i skąd weźmie pieniądze na szkołę dziewczynek? Będzie musiała się zwrócić do opieki społecznej i wystawać w kolejkach z tymi wszystkimi kobietami... Za nic w świecie. Pójdzie do pracy. Zrobi wszystko, żeby wynagrodzić czworaczkom... Przesuwające się przez jej głowę obrazy, obrazy pustki i własnego hartu ducha, zatrzymał powrót porucznika. Jego sposób bycia uległ zmianie.

- Przykro mi - powiedział szorstko - ale zaszła pomyłka. Proszę natychmiast stąd odjechać. Mamy próbny alarm.

- Pomyłka? Jaka pomyłka - spytała Mavis, u której ta opryskliwość wyzwoliła całą hamowaną dotąd nienawiść. - Powiedział pan, że mąż pani Wilt...

- Niczego nie powiedziałem - przerwał jej porucznik i odwracając się na pięcie, dał znak, aby podniesiono szlaban dla jakiejś ciężarówki.

- Co za bezczelność! - wykrzyknęła Mavis z furją. - Kłamią w żywe oczy! Słyszałaś, co powiedział przed chwilą, a teraz...

Ale Eva sunęła już naprzód z nową determinacją. Henry był w bazie. Wiedziała o tym. Wyczytała to z wyrazu twarzy porucznika, z tego zmienionego wyrazu, z tej surowości, która tak bardzo kontrastowała z jego wcześniejszą uprzejmością. Pustynia za szlabanem była niczym wobec jałowości życia bez Henry'ego. Znajdzie go i rozmówi się z nim. Ktoś zastąpił jej drogę, ale zamachała rękami i upadł. Trzech następnych mężczyzn, nie widziała ich wyraźnie, pochwyciło ją i zaczęło ciągnąć do tyłu. Skądś, jakby z oddali, dobiegł ją krzyk Mavis: „Rozluźnij mięśnie”. Eva rozluźni-

ła mięśnie i po chwili leżała na ziemi razem z dwoma żołnierzami, szarpana za ramię przez trzeciego.

Trzy minuty później, pokryta kurzem, ze zdartymi obcasami i podrapanymi udami, została wywleczona za szlaban i ciśnięta na drogę. I przez cały ten czas z jej ust nie wydobył się żaden dźwięk oprócz sapania z wysiłku. Posiedziała tak chwilę, a potem uklękła i popatrzyła na bazę z mocą, której implikacje były dużo bardziej niebezpieczne niż jej krótka bitwa z wartownikami.

- Proszę tu więcej nie przychodzić. Tylko napyla sobie pani biedy - powiedział porucznik.

Eva nic nie odrzekła. Wstała z klęczek i poszła do samochodu.

- Evo, kochanie, nic ci nie jest? - zapytała Mavis. Eva skinęła głową.

- Zawieź mnie do domu - poprosiła.

Tym razem Mavis nie miała nic do powiedzenia. Siła determinacji Evy nie potrzebowała słów.

Determinacja Wilta owszem. Jako że czas uciekał, Glaushof postanowił zmienić formę przesłuchania. Nie mogąc użyć siły, zdecydował się na podejście subtelne, przynajmniej jego zdaniem. Ponieważ wymagało ono współpracy pani Glaushof w stroju, który major, a może nawet porucznik Harah, uważali za ponętny - wysokie wojskowe buty, pas do pończoch i biustonosz z otworami na sutki należały do ulubionych rekwizytów erotycznych Glaushofa - przyodziany w szpitalną piżamę Wilt, którego znów zapakowano w samochód i zawieziono do domu majora, znalazł się nagle na łóżku w kształcie serca oko w oko ze zjawą w czerni, czerwieni oraz kilku odcieniach różu. Buty były czarne, pas i majtki czerwone, a biustonosz czarny z różową koronką. Reszta pani Glaushof, często korzystającej z solarium, była brązowa i bardzo pijana. Odkąd Glausie, jak go nazywała, objechał ją za to, że dzieli jej bujne wdzięki z porucznikiem Harahem, pociągała szkocką. Musiała też pociągnąć Chanel Nr 5 albo się w nich wykapać. Wilt nie potrafił tego rozstrzygnąć. I nie chciał. Wystarczało mu, że jest sam na sam w pokoju z nietrzeźwą prostytutką, która każe mówić na siebie Mona.

- Jak? - zapytał Wilt.

- Mona, dziecinko - powtórzyła pani Glaushof, chuchając mu whisky w twarz i miętosząc jego policzek.

- Nie jestem twoją dziecinką - zaprotestował Wilt.

- Jesteś, skarbie. Jesteś dokładnie tym, czego było trzeba mamusi.

- A ty nie jesteś moją matką - dodał Wilt, głęboko nad tym bolejąc.

Gdyby baba była jego matką, nie żyłaby od dziesięciu lat.

Dłoń pani Glaushof powędrowała w dół jego ciała.

- Cholera - mruknął Wilt. Ta przeklęta trucizna znów zaczynała działać.
- Tak lepiej, dziecinko - wyszeptała pani Glaushof, kiedy Wilt zeszywniał. - Fantastycznie się razem zabawimy.
- Wątpię, żebym... - zaczął Wilt. - Auć!
- Czy dziecinka będzie teraz dobra dla mamusi? - spytała pani Glaushof, wsuwając język między jego wargi.

Wilt spróbował skupić wzrok na jej oczach i stwierdził, że nie jest w stanie. Nie był też w stanie odpowiedzieć, nie rozwierając zębów, a jaszczurczy język pani Glaushof, mający smak alkoholu i tytoniu, tak energicznie penetrował jego dziąsła, że zrobienie czegokolwiek, co pozwoliłoby mu wnikać głębiej, wydawało się niewskazane. Wiltowi przemknęła przez głowę obłąkańcza myśl, żeby paskudztwo ugryźć, ale zważywszy na to, co baba trzymała w ręku, konsekwencje takiego czynu mogłyby być straszne, toteż skoncentrował się w zamian na mniej namacalnych rzeczach. Co, do diabła, robił w łóżku z nimfomanką ściskającą go za jaja, kiedy zaledwie pół godziny wcześniej jakiś morderczy maniak groził, że rozbryźnie jego mózg po suficie za pomocą trzydziestki ósemki, jeśli nie zacznie mówić o bombach binarnych? Nie było w tym krzty sensu, ale zanim zdążył dojść do jakichś rozsądnych wniosków, pani Glaushof wycofała swoją sondę.

- Dziecinka mnie rozpała - zamruczała i ugryzła go w szyję.
- Być może - odparł Wilt, notując w pamięci, że ma jak najszybciej umyć zęby. - Niemniej osobiście...

Pani Glaushof ścisnęła jego policzki.

- Różyczka- jęknęła.
- Hóżyczka? - powtórzył z trudem Wilt.
- Masz usta jak hóżyczka- wyjaśniła pani Glaushof, jeszcze głębiej wbijając mu paznokcie w ciało. - Jak uhocza hóżyczka.

- Nie szmakują tak - odrzekł Wilt i natychmiast tego pożałował.

Pani Glaushof usiadła na nim i miał teraz przed nosem sutkę obramowaną różową koronką.

- Possij mamusię - powiedziała pani Glaushof.

- Szpadaj - warknął Wilt.

Dalszy komentarz stłumiła sutka. Potem pierś pani Glaushof przygniotła mu twarz i Wilt poczuł, że się dusi.

Ukryty w łazience obok Glaushof miał podobny problem.

Obserwując tę scenę przez weneckie lustro, które zainstalował, aby przyglądać się w kąpieli, jak pani Glaushof wkłada atrybuty jego erotycznych fantazji, zaczął żałować swojej nowej taktyki. Subtelna to ona nie była. Cholernej babie najwyraźniej odbiła palma. Glaushof zakładał w swym patriotyzmie, że jego żona spełni obywatelski obowiązek, uwodząc

rosyjskiego szpiega, ale nie sądził, że będzie się z draniem gzić. Co gorsza, ewidentnie sprawiało jej to przyjemność.

Nie dało się tego powiedzieć o Glaushofie. Zgrzytając zębami, patrzył wściekle w lustro i starał się nie myśleć o poruczniku Harahu. Było to trudne i w końcu, rozsierdzony świadomością, że porucznik leżał na tym samym łóżku, podczas gdy Mona robiło mu to, co właśnie ogląda, Glaushof wybiegł z łazienki.

- Na litość boską - ryknął z korytarza. - Kazałem ci sukinsyna zmiękczyć, a nie podniecić.

- O co ci chodzi? - zapyłała pani Glaushof, zmieniając sutki. - Myślisz, że nie wiem, co robię?

- Ja nie wiem na pewno - wykrztusił Wilt, korzystając z okazji, aby zaczerpnąć tchu.

Pani Glaushof zeszła z niego i skierowała się ku drzwiom.

- Tak jest - odparł Glaushof. - Myślę, że...

- Spieprzaj - wrzasnęła pani Glaushof. - Facet się dla mnie usztywnił.

- Widzę - mruknął ponuro Glaushof. - I jeśli uważasz, że na tym polega zmiękczenie, to chyba, kurwa, oszalałaś.

Pani Glaushof zdjęła jeden but.

- Oszalałam? - zagrzmiała i zdumiewająco celnie cisnęła butem w jego głowę. - I kto to mówi? Jeśli nie włożę tych pieprzonych faszystowskich oficerek, w ogóle nie chce ci stanąć. - Drugi but wyleciał za drzwi. - Muszę się przebierać za pieprzonego Hitlera, żeby mieć z ciebie jakiś pożytek, i to też niewielki. W porównaniu z tobą ten facet ma kutasa jak Kolumna Waszygtona.

- Zejdz z mojego kutasa - krzyknął Glaushof. - Ten człowiek to komunistyczny agent. Jest niebezpieczny!

- No pewnie - odparła pani Glaushof, uwalniając się od biustonosza. - Jeszcze jak.

- Nie jestem niebezpieczny - zaprotestował Wilt, wyskakując z łóżka.

Chwiejąc się na nogach, pani Glaushof ściągnęła pas do pończoch.

- Zrozum, on może coś ci zrobić - zawołał Glaushof, schroniwszy się w korytarzu przed następnymi pociskami.

- O to mi właśnie chodzi - odkrzyknęła pani Glaushof, zatraskując drzwi. Potem przekręciła klucz w zamku, wyrzuciła go przez okno i zanim Wilt się zorientował, ruszyła w jego stronę. - Placu Czerwony, nadchodzę.

- Nie jestem Placem Czerwonym. Nie rozumiem, dlaczego wszyscy myślą... - zaczął Wilt, ale pani Glaushof nie interesowały myśli. Z zaskakującą zwinnością pchnęła go z powrotem na łóżko i uklękła nad nim.

- Ciu, ciu, dziecinko - jęknęła i tym razem było zupełnie jasne, co zamierza zrobić.

W obliczu tej straszliwej perspektywy Wilt dowiódł prawdziwości ostrzeżeń Glaushofa, że jest niebezpieczny, i zatopił zęby w jej udzie. W łazience Glaushof omal nie zaczął bić brawa.

- Odwołać moje rozkazy? Odwołać moje rozkazy? Każe mi pan odwołać moje rozkazy? - zapytał generał Belmonte, w niedowierzaniu zniżając głos o kilka decybeli. - Mamy do czynienia ze szpiegowską infiltracją grożącą zamachem bombowym, a pan każe mi odwołać moje rozkazy?

- Nie każę, panie generale, proszę - odparł łagodnie pułkownik Urwin. - Konsekwencje polityczne mogą być katastrofalne.

- Wysadzenie mojej bazy w powietrze przez pieprzonego fanatyka też byłoby katastrofalne i nie pozwolę na to - oświadczył generał. - Nie chcę mieć na sumieniu krwi tysięcy niewinnych amerykańskich żołnierzy i ich rodzin. Major Glaushof całkowicie panuje nad sytuacją i jeśli o mnie chodzi, może połamać temu draniowi gnaty. Nikt nie wie, że go mamy i...

- Poprawka, panie generale - przerwał mu pułkownik. - Kilka osób wie, że zatrzymaliśmy tego człowieka. Telefonowała do nas w jego sprawie brytyjska policja. I musieliśmy usunąć z bazy jakąś kobietę podająca się za jego żonę. Jeśli nie chce pan, żeby media...

- Media? - ryknął generał. - Niech pan nie wymawia przy mnie tego pi-przonego słowa. Glaushof otrzymał priorytetową dyrektywę numer jeden, że nie życzę sobie interwencji mediów, i nie odwołam tego rozkazu.

- Nie sugeruję, żeby pan to zrobił. Mówię tylko, że postępowanie Glaushofa może ściągnąć na nas nagonkę mediów o światowym zasięgu.

- Cholera - mruknął generał, cierpiąc na tę myśl. Oczyma duszy widział już kamery telewizyjne umieszczone na stojących pod bazą ciężarówkach. Mogły się nawet zjechać kobiety... Odpędził tę apokaliptyczną wizję. - Co się panu nie podoba w postępowaniu Glaushofa?

- Jest zbyt energiczne - wyjaśnił pułkownik. - Środki bezpieczeństwa, które zastosował, zwracają uwagę na to, że mamy jakiś problem. To po pierwsze. Powinniśmy rozładować atmosferę, zachowując się normalnie. Po drugie, przetrzymujemy brytyjskiego obywatela i jeśli dał pan majorowi zgodę na połamanie mu gnatów, przypuszczam, że...

- Nie dałem zgody na nic takiego. Powiedziałem mu... Powiedziałem, że może go przesłuchać i... - Generał zamilkł na chwilę, po czym spróbował kumplowskiego podejścia. - Do diabła, Joe, może i Glaushof jest durniem, ale oddajmy mu sprawiedliwość. Wyciągnął z drania zeznanie, że jest komunistycznym szpiegiem.

- To zeznanie jest fałszywe. Sprawdziłem je i otrzymałem negatywne potwierdzenie - odparł pułkownik, posługując się generalskim żargonem, aby złagodzić cios.

- Negatywne potwierdzenie? - powtórzył generał z wyraźnym podziwem. - To poważna sprawa. Nie miałem pojęcia.

- No właśnie. Dlatego proszę o bezzwłoczne zdeeskalowanie środków bezpieczeństwa. Chcę również, aby przekazał pan tego Wilta wywiadowi celem właściwego przesłuchania.

Generał Belmonte rozważył tę prośbę niemal racjonalnie.

- Jeśli nie przysłała go Moskwa, to kto?

- Tego właśnie wywiad zamierza się dowiedzieć - odrzekł pułkownik.

Dziesięć minut później pułkownik Urwin opuścił Centrum Kontroli Bazy w pełni usatysfakcjonowany. Generał odwołał alarm i Glaushof został pozabawiony swoich pełnomocnictw wobec więźnia.

Teoretycznie.

W praktyce uwolnienie Wilta spod kurateli Glaushofa okazało się dość trudne. Dowiedziawszy się w sztabie bezpieczeństwa, że Wilt został przewieziony, nadal cały i zdrowy, na przesłuchanie w domu majora, pułkownik pojechał tam z dwoma sierżantami, aby stwierdzić, że zwrot „cały i zdrowy” stracił już aktualność. Z piętra dobiegały upiorne odgłosy.

- Wygląda na to, że ktoś dobrze się bawi - powiedział jeden z sierżantów, kiedy pani Glaushof zagroziła, że wykastruje jakiegoś napalonego drania, niech tylko sama przestanie wykrwawiać się na śmierć, po czym spytała, dlaczego jakiś inny sukinsyn nie otwiera pieprzonych drzwi, żeby mogła wyjść. W tle Glaushof mówił jej żalonym tonem, żeby się uspokoiła, zaraz otworzy drzwi, nie musi odstrzelać zamka i niech nie ładuje tego pieprzonego rewolweru.

Pani Glaushof odparła, że nie zamierza strzelać do pieprzonego zamka, ma w planie inne pieprzone cele, jak on i ten pieprzony komunistyczny agent, który ją ugryzł, i żaden z nich nie wyjdzie z tego żywy, niech no tylko załaduje ten pieprzony magazynek, i dlaczego naboje nie wchodzą tak jak, kurwa, powinny? Na chwilę w oknie pojawiła się twarz Wilta, aby zniknąć, gdy nocna lampka z ogromnym abażurem przeleciała przez szybę i zawisała do góry nogami na sznurze.

Pułkownik Urwin zlustrował ją z obrzydzeniem. Język pani Glaushof był dostatecznie plugawy, ale abażur, pokryty kolażem sadomasochistycznych ilustracji z pism i pocztówek z kotkami w koszykach, nie mówiąc o licznych karmazynowych sercach i kwiatach, uraził jego poczucie estetyki w takim stopniu, że pułkownik niemal stracił pewność siebie.

Glaushof natomiast ją odzyskał. Mniej zaniepokojony możliwością, że jego pijana żona zastrzeli rosyjskiego szpiega z trzydziestki ósemki, którą, sądząc po odgłosach, usiłowała załadować nabojami kalibru 9 mm, niż perspektywą, że rozwali mu cały dom i sąsiedzi ujrzą jego osobliwą za-

wartość, opuścił względnie bezpieczną łazienkę i natarł na drzwi sypialni. Wybrał zły moment. Pogrzebawszy nadzieje Wilta na ucieczkę przez okno, pani Glaushof wreszcie załadowała rewolwer i nacisnęła spust. Kula przeszła przez drzwi, bark Glaushofa i jedną z plastikowych rur w wymyślnej klatce chomika wiszącej na ścianie przedpokoju, po czym wryła się w puszysty dywan.

- Jezu Chryste - wrzasnął Glaushof. - Mówiłaś poważnie!

- Słucham? - powiedziała pani Glaushof, równie zaskoczona skutkami swego czynu, aczkolwiek zdecydowanie mniej zaniepokojona. - Co mówisz?

- O Boże - jęknął Glaushof, osunąwszy się na podłogę.

- Myślisz, że nie potrafię odstrzelić pieprzonego zamka? - zapytała pani Glaushof. - Tak myślisz?

- Nie - ryknął Glaushof. - Nie myślę tak. Jezu, umieram.

- Hipochondryk - odpaliła pani Glaushof, najwyraźniej wyrównując jakieś stare domowe rachunki. - Odsuń się, wychodzę.

- Na litość boską - pisnął Glaushof, przyglądając się dziurze, którą zrobiła już w drzwiach obok jednego z zawiasów. - Nie celuj w zamek.

- Dlaczego? - zagrzmiała pani Glaushof.

Glaushof nie miał ochoty odpowiadać na to pytanie. Podejmując ostatnią próbę uniknięcia konsekwencji dalszej strzelaniny, poturlał się w bok, prosto na schody. Kiedy wylądował z hukiem na dole, pani Glaushof wreszcie się zaniepokoiła.

- Nic ci nie jest, Glausie? - zapytała, jednocześnie naciskając spust.

Gdy druga kula wbiła się w wielki puf w stylu Liberace'a, Wilt przeszedł do działania. Świadom, że następny strzał może zrobić mu to, co poprzednie zrobiły Glaushofowi i pufowi, podniósł taboret z różową falbanką i walnął nim panią Glaushof w głowę.

- Mój macho - stęknęła pani Glaushof, niepoprawna do końca, i osunęła się na podłogę.

Wilt zawahał się przez chwilę. Jeśli Glaushof jeszcze żył, a sądząc po brzęku szkła na parterze, tak właśnie było, wyważanie drzwi nie miało sensu. Podeszedł więc do okna.

- Stój! - krzyknął jakiś mężczyzna na dole.

Wilt stanął. Patrzył na pięciu żołnierzy trzymających karabiny i nie mógł mieć żadnych wątpliwości, do czego celują.

- Logika nakazuje - powiedział pan Gosdyke - abyśmy spojrzeli na ten problem racjonalnie. Wiem, że jest to trudne, ale dopóki nie zdobędziemy niezbitego dowodu, że pani mąż jest przetrzymywany w Baconheath

wbrew swojej woli, naprawdę nie możemy przedsięwziąć żadnych kroków prawnych. Chyba to pani rozumie?

Eva rozumiała tylko tyle, że traci czas. To Mavis była zdania, że powinna poradzić się adwokata, zanim zrobi coś pochopnie. Eva wiedziała, co znaczy „robić coś pochopnie”: nie bać się ryzyka i działać skutecznie.

- Nigdy nic nie wiadomo - stwierdziła Mavis, gdy wracały z bazy. - Może mogłabyś wystąpić o jakiś nakaz sądowy albo habeas corpus, czy coś w tym rodzaju. Lepiej się dowiedzieć.

Ale Eva nie potrzebowała się dowiadywać. Od początku wiedziała, że pan Gosdyke jej nie uwierzy i będzie mówił o dowodach i logice. Jakby życie było logiczne. Eva nie rozumiała nawet, co to słowo znaczy, poza tym, że zawsze wywoływało w jej myślach obraz torów kolejowych i jadącego po nich pociągu, z którego nie można wysiąść, aby pobiec przez pola i otwartą przestrzeń jak koń. A kiedy dojechało się na stację, trzeba jeszcze było iść pieszo tam, dokąd człowiek naprawdę chciał się dostać. Nie tak toczyło się życie i nie tak zachowywali się ludzie, kiedy wpadali w desperację. Nie tak nawet działało Prawo, skoro posyłało ludzi do więzienia, kiedy byli starzy i roztargnieni jak pani Reeman, która wyszła z supermarketu, nie płacąc za słoik korniszonów, a w ogóle nie jadła marynat. Eva wiedziała o tym, bo nosiła jej obiady, a staruszka nie znosiła octu. Chodziło o to, że miała pekińczyka, który wabił się Korniszon i zdechł miesiąc wcześniej. Ale Prawo tego nie rozumiało, tak jak pan Gosdyke nie rozumiał, że Eva ma już dowód, że Henry jest w bazie, bo pan Gosdyke nie był przy tym, jak zachowanie tego oficera tak nagle się zmieniło.

- Więc nie może pan nic zrobić? - zapytała, wstając z krzesła.

- Nie, chyba że zdobędziemy dowód, że pani mąż naprawdę jest przetrzymywany wbrew...

Ale Eva była już za drzwiami i odcięła się od dźwięku tych nieskutecznych słów. Zeszła szybko po schodach, wyszła na ulicę i udała się do kawiarni Mombasa, gdzie czekała na nią Mavis.

- Poradził ci coś? - spytała Mavis.

- Nie - odparła Eva. - Powiedział tylko, że nie może nic zrobić bez dowodu.

- Może Henry zadzwoni do ciebie wieczorem. Teraz, kiedy wie, że tam byłaś, a musieli mu powiedzieć..., Eva potrząsnęła głową.

- Dlaczego mieliby to zrobić?

- Posłuchaj, Evo, przemyślałam to sobie - oświadczyła Mavis. - Henry oszukiwał cię od pół roku. Wiem, co mi powiesz, ale musisz spojrzeć prawdzie w oczy.

- Nie oszukiwał mnie tak, jak myślisz - zaprotestowała Eva. - Wiem o tym.

Mavis westchnęła. Strasznie trudno było przekonać Evę, że wszyscy mężczyźni są tacy sami, nawet ci niedorozwinięci seksualnie jak Wilt.

- Jeździł do Baconheath w każdy piątek i cały czas ci mówił, że ma te lekcje w więzieniu. Zgadza się?

- Tak - przyznała Eva i zamówiła herbatę. Nie była w nastroju na nic zagranicznego jak kawa. Amerykanie pili kawę.

- Musisz zadać sobie pytanie, dlaczego ci nie mówił, dokąd jeździ.

- Bo nie chciał, żebym wiedziała - odparła Eva.

- A dlaczego nie chciał, żebyś wiedziała?

Eva milczała.

- Bo robił coś, co by ci się nie spodobało. A obie wiemy, o czym zdaniem mężów nie chciałyby wiedzieć ich żony, prawda?

- Znam Henry'ego - upierała się Eva.

- Owszem, znasz go, ale nikt nic wie, jakie są naprawdę nawet najbliższe nam osoby.

- Ty wiedziałaś, że Patrick lata za kobietami - odcięła się Eva. - Ciągłe opowiadałaś o tym, że cię zdradza. Dlatego poszłaś po te sterydy do tej okropnej doktor Kores i teraz biedak siedzi tylko przed telewizorem.

- Owszem - mruknęła Mavis, przeklinając się w myślach za to, że w ogóle wspomniała o tym fakcie. - Ale sama mówiłaś, że Henry jest oziębły, co tylko dowodzi, że mam rację. Nie wiem, z czego doktor Kores zrobiła tę miksturę, którą ci dała...

- Z much - wtrąciła Eva.

- Z much?

- Z hiszpańskich much. Tak nazwał je Henry. Powiedział, że mogły go zabić.

- Ale go nie zabiły - zauważyła Mavis. - Próbuję ci wytłumaczyć, że mógł być niewydajny dlatego...

- Henry jest człowiekiem - zachnęła się Eva.

- A co to ma do rzeczy? - „Niewydajny”. Mówisz o nim tak, jakby był płynem do zmywania naczyń.

- Dobrze wiesz, co mam na myśli.

Przerwało im pojawienie się kelnerki z herbatą.

- Rzecz w tym - podjęła Mavis po jej odejściu - że to, co brałaś za oziębłość Henry'ego...

- Mówiłam tylko, że nie jest zbyt aktywny - sprostowała Eva.

Mavis zamieszała swoją kawę, starając się zachować spokój.

- Mógł cię nie pragnąć, kochanie - odezwała się w końcu - bo przez ostatnie pół roku spędzał wszystkie piątkowe wieczory w łóżku jakiejś amerykańskiej żołnierki. To właśnie usiłuję ci powiedzieć.

- Gdyby tak było - odparła ostro Eva - nie wiem, jak mógł wracać do domu o wpół do jedenastej, jeśli do tego prowadził wykłady. Wychodził tuż przed siódmą, a dojazd do bazy zajmuje co najmniej czterdzieści pięć minut. Dwa razy po czterdzieści pięć minut daje...

- Półtorej godziny - warknęła Mavis. - To niczego nie dowodzi. Mógł prowadzić zajęcia indywidualne.

- Indywidualne?

- Z jedną osobą, moja droga.

- Nie można prowadzić zajęć z jedną osobą - powiedziała Eva. - Nie w college'u. Jeśli nie zbierze się dziesięć...

- W Baconheath może być inaczej - odparła Mavis. - I według mnie te zajęcia polegały na tym, że Henry zdejmował ubranie...

- Co tylko dowodzi, jak mało o nim wiesz - przerwała jej Eva. - Henry miałby zdjąć ubranie przy obcej kobiecie? Chyba żartujesz. Jest zbyt nieśmiały.

- Nieśmiały? - powtórzyła Mavis i chciała już powiedzieć, że nie był taki nieśmiały tamtego ranka w kuchni, ale ugryzła się w język, bo twarz Ewy znów nabrała niebezpiecznego wyrazu. I miała go nadal dziesięć minut później, gdy poszły do samochodu, aby pojechać do szkoły po czworaczki.

- Więc mówi pan, że nie postrzelił majora Glaushofa? - zapytał pułkownik Urwin.

- Oczywiście, że nie - odparł Wilt. - Po co miałbym zrobić coś takiego? To ta kobieta próbowała odstrzelić zamek w drzwiach.

- Mam tu inną wersję wypadków - powiedział pułkownik, spoglądając na leżące przed nim papiery. - Podobno usiłował pan zgwałcić panią Glaushof oralnie i kiedy odmówiła współpracy, ugryzł ją pan w nogę. Major Glaushof ruszył jej na ratunek i wtedy strzelił pan do niego przez drzwi.

- Zgwałcić oralnie? - powtórzył Wilt. - Co to, do diabła, znaczy?

- Wolę nie myśleć - odrzekł pułkownik, wzdrygając się.

- Niech pan posłucha - powiedział Wilt. - Jeżeli ktoś był gwałcony oralnie, to ja. Nie wiem, czy znalazł się pan kiedykolwiek w pobliżu pudernicy tej baby, aleja owszem, i zapewniam pana, że jedynym wyjściem było ugryzienie suki.

Pułkownik Urwin odpędził od siebie tę okropną wizję. Miał w aktach personalnych adnotację „wysocce heteroseksualny”, ale istniały jakieś granice i pudernica pani Glaushof leżała zdecydowanie poza nimi.

- To niezupełnie się zgadza z pańskim stwierdzeniem, że próbowała uciec z pokoju, odstrzeliwując zamek z trzydziestki ósemki. Czy zechciałby pan wyjaśnić, po co to robiła?

- Powiedziałem panu, że chciała... Powiedziałem, co chciała zrobić, i że ją ugryzłem, aby się ratować. Wtedy wpadła w szał i sięgnęła po broń.

- To nadal nie wyjaśnia, dlaczego musiała odstrzelić zamek. Czy major Glaushof zamknął was od zewnątrz?

- Wyrzuciła pieprzony klucz przez okno - odparł Wilt ze znużeniem w głosie. - Jeśli mi pan nie wierzy, niech pan pójdzie go poszukać.

- Bo wzbudził pan w niej takie pożądanie seksualne, że chciała zgwałcić pana... oralnie? - zapytał pułkownik.

- Bo była pijana.

Pułkownik Urwin wstał, aby poszukać natchnienia w swojej myśliwskiej rycinie. Nie było to łatwe. W całej tej historii prawdopodobnie brzmiało tylko to, że upiorna żona Glaushofa była pijana.

- Nadal nie rozumiem, skąd się pan tam w ogóle wziął.

- Myśli pan, że ja to rozumiem? - odparł Wilt. - Przyjechałem tutaj w piątek wieczorem, żeby wygłosić wykład, i zanim się obejrzałem, zostałem zagazowany, zastrzyknięty, ubrany jak coś, co ma być operowane, obwieszony po całym terenie z pieprzonym kocem na głowie, zarzucony obłąkanymi pytaniami o odbiorniki w moim samochodzie...

- Nadajniki - poprawił go pułkownik.

- Wszystko jedno - burknął Wilt. - I poinformowany, że jeśli się nie przyznam, że jestem rosyjskim szpiegiem albo fanatycznym muzułmaninem-szyitą, będę zeszkrobywał mój mózg z sufitu. A to dopiero początek. Potem ląduję w jakiejś okropnej sypialni z kobietą, która wygląda jak prostytutka, ciska klucze przez okno i wpycha mi do ust swoje dynie, po czym chce mnie udusić cipą. I pan prosi mnie o wyjaśnienie?

Opadł na krzesło i westchnął rozpaczliwie.

- To nadal nie...

- Na litość boską - przerwał mu Wilt. - Jeśli chce pan wyjaśnić obłąd, niech pan pogada z tym szaleńcem majorem. Ja mam dość.

Pułkownik wstał i poszedł do sąsiedniego pokoju.

- I co ty na to? - zapytał kapitan Fortune'a, który siedział z technikiem nagrywającym przesłuchanie.

- Jestem skłonny mu uwierzyć - odparł Fortune. - Mona Glaushof zerżnęłaby pieprzonego skunksa, gdyby nie miała pod ręką nic lepszego.

- To prawda - dorzucił technik. - Rypie porucznika Haraha, jakby był żywym wibratorem. Facet musi brać megawitaminy, bo inaczej by nie wydolił.

- Dobry Boże - westchnął pułkownik - i Glaushof odpowiada za bezpieczeństwo bazy. Po jakie licho napuścił Monę Messalinę na tego Wilta?

- Ma w łazience weneckie lustro - powiedział kapitan. - Może takie rzeczy go rajcują.

- Weneckie lustro w łazience? Drań musi być chory, żeby patrzeć, jak jego żona pieprzy się z facetem, którego sam uważa za rosyjskiego agenta.

- Może myślał, że Ruscy robią to inaczej i czegoś się nauczy - podsunął technik.

- Niech ktoś poszuka pod oknem tego klucza - polecił pułkownik i dał znak kapitanowi, aby wyszedł z nim na korytarz. - No więc? - zapytał.

- Nic tu nie pasuje - odparł Fortune. - Ten kapral od elektroniki nie jest głupi. Zaręcza, że sprzęt, który widział w samochodzie, był profesjonalny i brytyjski. Na pewno nie radziecki.

- Sugerujesz, że inwigilują go brytyjskie służby bezpieczeństwa?

- Jest to możliwe.

- Byłoby, gdyby nie zażądał wezwania ludzi z MI5, jak tylko Glaushof zaczął go przyciskać - stwierdził pułkownik. - Słyszałeś, żeby zdemaskowany agent Moskwy wzywał na pomoc wywiad brytyjski? Bo ja nie.

- Więc wracamy do pana teorii, że Angole chcieli sprawdzić system bezpieczeństwa bazy. Tylko to ma jakiś sens.

- Dla mnie nic nie ma tu sensu. Gdyby to była rutynowa kontrola, już by po niego przyjechali. I dlaczego się nie ujawnił? Mógłby sobie oszczędzić nieprzyjemności. Z drugiej strony mamy te nadajniki i zeznanie Clodiak, że był zdenerwowany przez cały wykład. To wskazuje, że nie jest ekspertem. Nie sądzę, aby w ogóle wiedział, że ma coś w samochodzie. Gdzie tu logika?

- Chce pan, żebym ja go przesłuchał? - zapytał kapitan.

- Nic, będę kontynuował. Tylko dalej wszystko nagrywaj. Będzie nam potrzebna pomoc.

Pułkownik Urwin wrócił do swojego gabinetu, gdzie zastał Wilta śpiącego na kanapie.

- Jeszcze kilka pytań, proszę pana - powiedział.

Wilt popatrzył nań nieprzytomnie i usiadł.

- Jakich pytań?

Pułkownik wyjął z szafki jakąś butelkę.

- Chciałby pan napić się szkockiej?

- Chciałbym wrócić do domu - odparł Wilt.

Na komisariacie policji w Ipford inspektor Flint delectował się swoim triumfem.

- Wszystko jest tutaj - powiedział do nadinspektora, wskazując stos segregatorów na biurku. - Sami nasi dobrzy znajomi. Swannell nawiązał kontakt, kiedy był na nartach w Szwajcarii. Miły, czysty kraj ta Szwajcaria, i oczywiście mówi, że to ten Włoch zaczepił jego. Groził mu, mówi, a jak pan wie, nasz Clive to nerwowy gość.

- Myślałby kto - mruknął nadinspektor. - Trzy lata temu omal go nie zamknęliśmy za usiłowanie morderstwa. Upiekło mu się, bo facet, którego pociął, nie chciał wnieść oskarżenia.

- Byłem ironiczny - wyjaśnił Flint. - Opowiadam tę historię jego słowami.

- Niech pan mówi dalej. Jak to zorganizowali?

- W sumie dosyć prosto - odparł Flint. - Potrzebowali kuriera, który nie będzie wiedział, co jest grane. Więc przycisnęli Teda Lingona. Zagrozili, że potraktują go kwasem azotowym, jeśli nie da im wykorzystać swoich wycieczek autokarowych na kontynent - w każdym razie on tak twierdzi. Tak czy owak, ma regularne kursy do Schwarzwaldu z przystankami na nocleg. Towar jest ładowany w Heidelbergu bez wiedzy kierowcy, dociera do Ostendy i wjeżdża w autokarze na nocny prom do Dover, po czym w połowie przeprawy przez kanał ktoś z załogi wyrzuca go za burtę. Zawsze w nocy, żeby nikt nie widział. Wyławia go znajomy Annie Mosgrave, który przypadkiem kręci się w pobliżu swoim pływającym barem i...

- Chwileczkę - przerwał mu nadinspektor. - Jak, do licha, można znaleźć paczkę heroiny w nocy i na środku kanału?

- Tak samo jak Hodge pilnował Wilta. Cholerstwo jest w wielkiej walizce, która utrzymuje się na powierzchni wody i ma nadajnik wysyłający sygnały radiowe. Facet ją namierza, wciąga na pokład i dowozi do jakiejś boi w ujściu Tamizy, skąd zabierają pługonurek, kiedy bar wróci już na przystań.

- Dość ryzykowna kombinacja - zauważył nadinspektor. - Ja nie ufałbym przyływowom i prądom, gdy w grę wchodzi takie pieniądze.

- Przeciwczyli to dokładnie na pusto i dla pewności przywiązują walizkę do łańcucha boi - wyjaśnił Flint. - Potem dzielą towar na trzy części. Żółtki z Hongkongu rozprawdzają go w Londynie, a Roddie Eaton u nas i w Edynburgu.

Nadinspektor przyjrzał się swoim paznokciom i rozważył implikacje odkryć Flinta. Ogólnie biorąc, był zadowolony, ale miał paskudne przeczucie, że metody inspektora mogą nie wyglądać za dobrze w sądzie. Najlepiej byłoby w ogóle o nich nie wspominać. Obrona na pewno przedstawiłaby je przysięgłym w najdrobniejszych szczegółach. Groźby pod adresem więźniów, szantażowanie oskarżeniem o morderstwo... Z drugiej strony, jeśli Flintowi się uda, ten idiota Hodge będzie załatwiony. A to było warte największego ryzyka.

- Czy jest pan pewien, że Swannell i pozostali nie wcisnęli panu kitu? - zapytał. - Nie, żeby panu nie wierzył, ale jeśli ich oskarżymy i odwołają te zeznania podczas procesu, co na pewno zrobią...

- Nie polegamy na ich zeznaniach - wtrącił pospiesznie Flint. - Zdobę solidne dowody. Myślę, że mając nakazy rewizji, znajdziemy w ich domach i na ubraniach dosyć heroiny i formaliny. Musieli trochę rozsypać, kiedy dzielili towar, prawda?

Nadinspektor milczał. O pewnych rzeczach wolał nie wiedzieć, a metody Flinta były stanowczo podejrzane. Z drugiej strony, jeśli inspektor rozbije narkotykowy gang, naczelnik policji i minister spraw wewnętrznych będą zadowoleni, a w obliczu zorganizowanej przestępczości zbytnie skrupuły nie miały sensu.

- Dobrze - powiedział w końcu. - Wystąpię o te nakazy.

- Dziękuję panu - odparł Flint i chciał odejść, ale nadinspektor go zatrzymał.

- Co do inspektora Hodge'a... Rozumiem, że podążał innym tropem?

- Do amerykańskiej bazy lotniczej - sprecyzował Flint.

- Wbił sobie do głowy, że towar pochodzi stamtąd.

- W takim razie lepiej go odwołajmy.

Flint miał jednak inne plany.

- Jeżeli mogę coś zasugerować - powiedział - to, że Wydział Narkotyków szuka winnych nie tam, gdzie trzeba, ma swoje dobre strony. Hodge odwrócił uwagę od naszego śledztwa i szkoda byłoby wysłać sygnał ostrzegawczy, zanim dokonamy aresztowań. Może nawet przydałoby się trochę Hodge'a zdopingować.

Nadinspektor spojrzał na Flinta z powątpiewaniem. Ostatnią rzeczą, jakiej Hodge potrzebował, był doping. Odbijało mu i bez niego. Z drugiej jednak strony...

- Zdopingować? W jaki sposób?

- Mógłby mu pan powiedzieć, że naczelnikowi zależy na szybkim aresztowaniu - podsunął Flint. - W końcu to prawda.

- Chyba tak - odparł nadinspektor ze znużeniem w głosie.

- Zgoda, ale oby się pan nie mylił co do własnych odkryć.

- Nie myślę się - zapewnił go Flint i wyszedł z pokoju, by udać się na parking, gdzie czekał na niego sierżant Yates.

- Załatwiłem nakazy - oznajmił Flint. - Masz towar.

Yates skinął głową i wskazał plastikową torebkę na tylnym siedzeniu.

- Runkie nie chciał dać mi więcej - powiedział. - Niby że nie mamy prawa. Musiałem skłamać, że jest potrzebny do analizy.

- I będzie - odparł Flint - w swoim czasie. To ta sama partia?

- Tak jest.

- No to wszystko gra - stwierdził Flint, kiedy ruszyli. - Najpierw autokar Lingona, potem łódź i ogródek Swannella i zostawimy tego tyle, żeby techniczni na pewno coś znaleźli.

- A co z Roddiem Eatonem?

Flint wyjął z kieszeni bawełniane rękawiczki.

- Podrzucimy mu je do kubła na śmieci - wyjaśnił. - Kiedy już ich użyję przy autokarze. Wizytę u Annie możemy sobie darować. Coś tam będzie tak czy inaczej, a zresztą tamci trzej zwałą całą winę na nią, żeby dostać mniejsze wyroki. Wystarczy perspektywa dwudziestu lat odsiadki i pogrążą w tym głównie wszystkich innych.

- Paskudny sposób załatwiania sprawy - powiedział Yates po chwili milczenia. - Podrzucanie dowodów i tak dalej.

- Nie przesadzaj - odparł Flint. - Wiemy, że są handlarzami, i oni o tym wiedzą. Aplikujemy im tylko odrobinę ich własnego lekarstwa. Ja nazywam to homeopatią.

Nie tak określiliby swoją pracę inspektor Hodge. Jego obsesyjne zainteresowanie niezwykłymi zajęciami domowymi Wiltów wzmogły jeszcze niepokojące odgłosy dochodzące z umieszczonych pod dachem urządzeń podsłuchowych. Winne temu były czworaczki. Zapędzone do swoich pokoi przez Evę, która chciała się ich pozbyć, aby spokojnie pomyśleć, co ma zrobić w związku z Henrym, mściły się, puszczając heavymetalowe płyty przez stuwatowe kolumny. Dla siedzących w furgonetce Hodge'a i Runka brzmiało to tak, jakby Oakhurst Avenue 45 wstrząsał nieprzerwany ciąg rytmicznych eksplozji.

- Co jest, kurwa, z tymi pluskwami? - pisnął Hodge. ściągając z głowy słuchawki.

- Nic - krzyknął technik. - Są bardzo czułe.

- Ja też! - wrzasnął Hodge, wtykając palec do ucha w nadziei, że dzięki temu odzyska słuch. - I coś jest z nimi nie w porządku.

- Po prostu odbierają piekielne zakłócenia. Może je wywoływać mnóstwo rzeczy.

- Na przykład koncert rockowy o sile pięćdziesięciu megaton - powiedział Runk. - Cholerna baba musi być głucha jak pień.

- Akurat - mruknął Hodge. - Robią to celowo. Musieli się zorientować, że są na podsłuchu. Wyłączcie to cholerstwo. Nie słyszę własnych myśli.

- Nikt ich nie słyszy - zauważył Runk. - Myśli nie wydają dźwięków. Są...

- Zamknij się - ryknął Hodge, który nie miał ochoty na wykład o funkcjonowaniu mózgu.

Przez następne dwadzieścia minut siedział we względnej ciszy, zastanawiając się, co ma zrobić dalej. Został wymanewrowany na każdym etapie swojej kampanii i to wyłącznie dlatego, że nie otrzymał odpowiednich pełnomocnictw i wsparcia. A teraz nadinspektor przesłał mu wiadomość, w

której domagał się natychmiastowego aresztowania. Hodge skontrował prośbą o nakaz rewizji i uzyskał mglistą odpowiedź, że kwestia zostanie wzięta pod rozwagę. Co oczywiście znaczyło, że nie dostanie tego nakazu nigdy. Chciał już wrócić na komisariat i zażądać zezwolenia na zajęcie domu Wiltów, gdy sierżant Runk przerwał tok jego myśli.

- Skończyli to jam session - powiedział. - Słyszać dobrze i wyraźnie.

Hodge chwycił słuchawki. Nie licząc jakiegoś grzechotu, którego nie umiał zidentyfikować (chomiczka Emmeline Perceval zażywała gimnastyki w swoim kołowrotku), przy Oakhurst Avenue 45 panowała cisza. Dziwne. Dotychczas nigdy nie było tam cicho, kiedy Wiltowie byli w domu.

- Samochód nadal tam stoi? - zapytał. Technik odwrócił się do monitora. - Żadnych sygnałów - wymamrotał i przestawił antenę.

- Musieli wymontować nadajniki pod osłoną tego hałasu. Inspektor Hodge omal nie dostał apopleksji.

- Jezu, ty kretynie - wrzasnął. - Chcesz powiedzieć, że tyle czasu nie sprawdzałeś tego pieprzonego samochodu?

- Kim ja według pana jestem? Cholerną ośmiornicą z uszami na maczkach? - odpalił technik. - Muszę obsługiwać wszystkie te durne pluskwy, którymi nafaszerowaliście dom, a jednocześnie pilnować dwóch urządzeń naprowadzających. I nie jestem kretynem.

Nim kłótnia rozszalała się na dobre, interweniował sierżant Runk.

- Odbieram słaby sygnał z samochodu - powiedział. - Musi być dobre dziesięć mil stąd.

- Gdzie? - ryknął Hodge.

- Na wschodzie, jak poprzednio - odparł Runk. - Wracają do Baconheath.

- Jedziemy za nimi - krzyknął Hodge. - Tym razem sukinsyn nie wróci do domu. Wywlokę go z tej pieprzonej bazy, choćby miała to być ostatnia rzecz, jaką zrobię w życiu.

Nieświadoma narastającej za nią wrogości, Eva twardo jechała w stronę bazy. Nie miała sprecyzowanego planu, a jedynie determinację, że wyciągnie od Amerykanów prawdę, i Wilta, choćby przyszło jej podpalić samochód albo położyć się nago pod bramą. Wszystko, byle nagłośnić sprawę. I tym razem Mavis się z nią zgodziła i pospieszyła z pomocą. Zebrała grupę Matek Przeciwko Bombie (niektóre z nich były w rzeczywistości babciami), wynajęła autokar i zadzwoniła do wszystkich londyńskich gazet oraz do BBC i Telewizji Fenlandzkiej, aby zapewnić demonstracji maksymalny rozgłos.

- Daje nam to sposobność zwrócenia uwagi świata na uwodzicielski charakter globalnej dominacji kapitalistycznego kompleksu wojsko-

wo-przemysłowego - oświadczyła.

Eva nie bardzo rozumiała, o co chodzi, ale czuła, że „to” na początku zdania oznacza Wilta. Zresztą było jej obojętne, co ludzie mówią; liczyło się to, co robią. Demonstracja Mavis zajmie uwagę wartowników i pomoże jej się dostać do bazy. A jeśli mimo wszystko jej się to nie uda, nazwisko Henry'ego Wilta dotrze do milionów widzów oglądających wieczorne wiadomości.

- Macie się grzecznie zachowywać - powiedziała do czworaczek, kiedy dojeżdżały do bazy. - Słuchajcie mamusi wszystko będzie dobrze.

- Nie będzie, jeśli tatuś mieszka z jakąś panią Amerykanką - zauważyła Josephine.

- Pieprzy się - sprostowała Penelope - nie mieszka.

Eva gwałtownie zahamowała.

- Kto tak powiedział? - spytała, piorunując wzrokiem siedzące z tyłu dziewczynki.

- Mavis Motty - odparła Penelope. - Ona ciągle chrzani o pieprzeniu.

Eva wzięła głęboki oddech. Bywały chwile, kiedy język czworaczek, tak starannie kształtowany w kierunku dojrzałej autoekspresji w szkole dla wybitnie zdolnych dzieci, wydawał się przerażająco niestosowny.

- Nie obchodzi mnie, co powiedziała Mavis - oświadczyła - a poza tym to nieprawda. Po prostu wasz ojciec znów był niemądry. Nie wiemy, co mu się przytrafiło. Właśnie dlatego tu jesteśmy. A teraz bądźcie grzeczne i...

- Skoro nie wiemy, co mu się przytrafiło, skąd wiesz, że był niemądry? - zapytała Samantha, jak zwykle czuła na punkcie logiki.

- Zamknij się - warknęła Eva i ponownie włączyła silnik.

Czworaczki w milczeniu przybrały pozę czterech grzecznych małych dziewczynek. Była to poza zwodnicza, gdyż przygotowały się do tej ekspedycji z właściwą sobie zatrwającą pomysłowością. Emmeline uzbroiła się w szpilki do kapelusza należącego niegdyś do babci Wilt; Penelope napełniła dwie pompki rowerowe amoniakiem i zakleiła końce gumy do żucia; Samantha opróżniła skarbonki siostr i kupiła od zdumionego sklepikarza cały zapas pieprzu; Josephine zaś zdjęła z magnesów w kuchni kilka największych i najbardziej spiczastych noży Sabatiera. Jednym słowem, czworaczki zamierzały unieszkodliwić tylu wartowników, ilu zdołają, i lękały się tylko tego, że cała akcja będzie miała spokojny przebieg. Niewiele brakowało, aby ich obawy się sprawdziły.

Gdy zajechały pod bramę, w bazie nie było widać żadnych oznak gotowości bojowej tak bardzo rzucających się w oczy poprzedniego dnia. Pułkownik Urwin polecił usunąć z drogi betonowe blokady, a dowódca warty został upomniany o obowiązku uprzejmości. Nie sądził zresztą, aby gruba

Angielka z trwałą na głowie i samochodem pełnym małych dziewczynek mogła stanowić jakieś zagrożenie dla bezpieczeństwa Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych.

- Będzie pani uprzejma tam podjechać, a ja wezwę oficera oświatowego
- powiedział Evie, która postanowiła na razie nie wspominać o kapitan Clodiak.

Eva przejechała za szlaban i zaparkowała samochód. Nie sądziła, że pójdzie jej tak łatwo, i ogarnęły ją wątpliwości. Może Henry'ego wcale nie było w bazie i popełniła jakąś okropną pomyłkę? Ale ta myśl szybko pierzchła. Escort Wiltów znów zasygnalizował swą obecność i kiedy Eva mówiła czworaczkom, że wszystko będzie dobrze, z wartowni wyszedł porucznik w towarzystwie dwóch uzbrojonych żołnierzy.

- Pani wybaczy - powiedział - ale muszę poprosić panią do biura.
- Po co? - spytała Eva.
- To zwykła formalność.

Przez chwilę Eva wpatrywała się weń tępo, próbując zebrać myśli. Była przygotowana na jakąś konfrontację, a słowa „poprosić do biura” i „zwykła formalność” brzmiały trochę jak groźba. Niemniej otworzyła drzwi es-corta i wysiadła.

- Dzieci też - dodał porucznik. - Wsiadźcie wszystkie.
- Nie ważcie się tknąć moich córek! - wykrzyknęła Eva, teraz już naprawdę zaniepokojona; zrozumiała, że wpadła w zasadzkę.

Była to jednak sposobność, na którą czekały czworaczki. Kiedy porucznik sięgnął do klamki, Penelope wystawiła przez okno pompkę rowerową, a Josephine nóż do mięsa. Eva uratowała porucznika przed nożem, wykręcając mu rękę, ale w tym samym momencie z pompki wystrzelił amoniak. Wartownicy skoczyli na Evę, a porucznik, z trudem łapiąc powietrze, rzucił się w stronę wartowni. Za plecami słyszał dziecięcy śmiech, który dla niego brzmiał demonicznie. Na wpół uduszony, wpadł do biura i włączył alarm.

- Zdaje się, że mamy kolejny problem - powiedział pułkownik Urwin, gdy w bazie zawyły syreny.

- Wy może tak - odparł Wilt. - Ja mam własne problemy. Na przykład, jak wytłumaczę mojej żonie, co się, do diabła, ze mną działo przez ostatnie Bóg jeden wiele dni.

Ale pułkownik dzwonił już na wartownię. Przez moment słuchał, a potem odwrócił się do Wilta.

- Czy pana żona jest grubą kobietą z czterema córkami?
- Zapewne można tak to ująć - przyznał Wilt - ale w bezpośredniej rozmowie z nią radziłbym opuścić słowo „gruba”. Bo co?

- Bo to ją mamy na bramie - oświadczył pułkownik i wrócił do telefonu.
- Wstrzymajcie wszystko... Jak to, nie możecie? Ona nie jest... Jezu...
Dobrze, już dobrze. I wyłączcie te pieprzone syreny.

Pułkownik odsunął słuchawkę od ucha i utkwiał wzrok w Wilcie. Teraz, gdy syreny umilkły, słyszeć było wyraźnie wykrzykiwane przez Evę żądania.

- Oddajcie mi mojego męża! - wrzeszczała. - I zabierzcie ode mnie te obleśne łapy... Jeśli zbliżycie się do moich dzieci...

Pułkownik odłożył słuchawkę.

- Eva to bardzo stanowcza kobieta - powiedział Wilt tytułem wyjaśnienia.

- Mogłem się zorientować - odrzekł pułkownik. - I chcę wiedzieć, co tutaj robi.

- Sądząc z tego, co słyszałem, szuka mnie.

- Mówił pan, że pana żona nie wie, że pan tu jest. Więc jak to możliwe, że nokautuje mi wartowników i...

Pułkownik urwał. Do pokoju wszedł kapitan Fortune.

- Dzwoni generał - rzekł. - Chce wiedzieć, co się dzieje.

- I myśli, że ja wiem? - zapytał pułkownik.

- Ktoś musi wiedzieć.

- Na przykład on - mruknął pułkownik, wskazując Wilta. - Ale nie chce powiedzieć.

- Bo nie mam pojęcia - zawołał Wilt, odzyskując pewność siebie. - I nie chciałbym panów pouczać, ale nikt na całym bożym świecie nie wie, co się, do licha, dzieje gdziekolwiek. Połowa ludzkości głoduje, a druga, przekarmiona połowa, ma pieprzone życzenie śmierci i...

- Na litość boską - przerwał mu pułkownik, podejmując nagłą decyzję. - Usuwamy stąd drania. Natychmiast.

Wilt zerwał się na równe nogi. Widział za dużo amerykańskich filmów, aby nie mieć ambiwalentnego stosunku do zostania „usuniętym”.

- Nic z tego - zaprotestował, cofając się pod ścianę. - I nie wyzywajcie mnie od drani. Nie ja rozpętałem tę obłąkaną kołomyję i muszę myśleć o mojej rodzinie.

Pułkownik Urwin popatrzył z rezygnacją na myśliwską rycinę. Miał rację, podejrzewając Brytyjczyków o posiadanie ukrytych charakterologicznych głębi, których nigdy nie zrozumie. Nic dziwnego, że Francuzi mówili o „perfidnym Albionie”*. Sukinsyny zawsze będą się zachowywać w najmniej oczekiwany sposób. Tymczasem musiał sprokurować jakieś wyjaśnienie, które usatysfakcjonuje generała.

* Perfidne Albion - wyrażenie z czasów Rewolucji Francuskiej, związane z przystąpieniem Anglii do koalicji antyfrancuskiej; jako la perfide Angleterre (perfidna Anglia) występuje już u Jacquesa Bossueta w Sermon sur la Circoncision (1655).

- Powiedz mu, że jest to czysto wewnętrzny problem - polecił kapitanowi - i popędź Glaushofa. Bezpieczeństwo bazy to jego broszka.

Zanim jednak kapitan zdążył wyjść z pokoju, Wilt zgłosił kolejny protest.

- Jeśli pozwolicie temu szaleńcowi zbliżyć się do moich dzieci, komuś stanie się krzywda! - krzyknął.

- W takim razie niech pan lepiej użyje swojej władzy rodzicielskiej - odparł ponuro pułkownik i skierował się do drzwi.

Kiedy dotarli na parking przy bramie, było jasne, że sytuacja się pogorszyła. Podejmując zupełnie niepotrzebną akcję ratowania matki z rąk wartowników - Eva powaliła już jednego z nich, zadając mu cios kolanem w krocze, którą to sztukę opanowała na wieczorowym kursie samoobrony przed gwałtem - czworaczki porzuciły samochód Wiltów i wyeliminowały z gry drugiego wartownika poprzez sypnięcie mu w oczy pieprzem. Potem zajęły wartownię i wzięły do niewoli porucznika, który tymczasem zdarł z siebie przesycony amoniakiem mundur. Skonfiskowawszy jego rewolwer, jak również rewolwer wartownika wijącego się na ziemi na zewnątrz, czworaczki mogły obwarować budynek jeszcze skuteczniej - grożąc bronią kierowcy cysterny, który miał pecha akurat podjechać pod szlaban, zmusiły go, aby spuścił na drogę kilkaset galonów oleju napędowego.

Rezultat przeraził nawet Evę. Kiedy olej rozlał się po asfalcie, porucznik Harah nadjechał dziupem z trochę za dużą prędkością i spróbował zahamować. Teraz dziup stał wbity w ogrodzenie, a porucznik, wyczołgawszy się z niego, wzywał posiłki.

- Mamy do czynienia z realną penetracją! - ryknął do swojego walkie-talkie. - Wartownię opanowała banda lewicowych terrorystów.

- To nie terroryści, to tylko małe dziewczynki - krzyknęła ze środka Eva, ale jej głos zagłuszyła włączona przez Samanthę syrena alarmowa.

Tymczasem przywiezione przez Mavis Mottram Matki Przeciwno Bombie ustawiły się szeregiem na drodze przed bazą i spięły razem kajdankami, a następnie przykuły końce szeregu do ogrodzenia po obu stronach bramy i skandowały: „Zakończcie zbrojenia, ratujcie istnienia”, tańcząc jakiś zbliżony do kankana taniec w polu widzenia trzech kamer telewizyjnych i tuzina fotoreporterów. Nad ich głowami huśtał się powoli na wietrze olbrzymi balon ukształtowany i pożyłkowany jak członek w stanie erekcji, a prezentujący wymalowane z dwóch stron niezbyt jasne hasła: „Macice nie główce” i „Pieprzcie się z cruise'ami, nie z nami”. Po pewnym czasie, najwyraźniej dokarmiony butlą z wodorem, balon zrzucił swój monstrualny plastikowy napletek i rezygnując z pretensji do antropomor-

fizmu, zmienił się na oczach Wilta i pułkownika Urwina w gigantyczną rakieta.

- To zabije starego B 52 - wymamrotał pułkownik, który dotychczas przyglądał się z upodobaniem, jak wymazany olejem porucznik Harah usiłuje wstać z ziemi. - A i prezydent nie będzie zachwycony, jeśli telewizja pokaże tę pieprzoną pytę w czasie największej oglądalności.

Nagle zza rogu wyskoczył wóz straży pożarnej, a za nim nadjechał dziupem major Glaushof z prawą ręką na temblaku i twarzą koloru kredy.

- Chryste -jęknął kapitan Fortune -jeśli ten wóz wrąbie się w olej, będziemy mieli na sumieniu trzydzieści Matek.

Ale wóz się zatrzymał i strażacy zaczęli rozwijać węże. Po drugiej stronie żywego łańcucha stanęli zaś, rozglądając się nieprzytomnie dookoła, świeżo przybyli inspektor Hodge i sierżant Runk. Przed nimi kobiety wciąż wymachiwały nogami i skandowały, strażacy lali pianę na olej i porucznika Haraha, a Glaushof machał jedną ręką na żołnierzy z Oddziału Obrony Przeciwpenertracyjnej, którzy ustawili się w szyku bojowym vis-a-vis Matek Przeciwno Bombie, aby obrzucić je puszkami z gazem obezwładniającym.

- Stójcie, do ciężkiej cholery! - wrzasnął Glaushof, ale jego słowa zagłuszyła syrena.

Kiedy puszki upadły na jezdnię u stóp żywego łańcucha, pułkownik Urwin zamknął oczy. Wiedział już, że Glaushof jest skończony, ale zagrożona była również jego własna kariera.

- Musimy wyciągnąć stamtąd te pieprzone dzieciaki, zanim złapią je kamery - ryknął do kapitana Fortune'a. - Idź po nie.

Kapitan popatrzył na pianę, na olej i na snujący się w powietrzu gaz. Kilka MPB osunęło się już na ziemię, a jakby tego wszystkiego było mało, Samantha niby niechcący strzeliła z rewolweru przez jedno z okien wartowni, na co Oddział OPP odpowiedział ogniem.

- Jeśli pan myśli, że zamierzam narażać życie... - zaczął kapitan, ale Wilt przejął już inicjatywę. Brnąc przez olej i pianę, dotarł do wartowni i po chwili wyprowadził z niej cztery małe dziewczynki oraz dużą kobietę.

Hodge ich nie widział. Tak jak kamerzyści patrzył gdzie indziej, lecz w przeciwieństwie do nich stracił już zainteresowanie kataklizmem szalejącym pod bramą. Puszka GO, która spadła tuż obok inspektora, przekonała go, że powinien się jak najszybciej oddalić. Utrudniła mu również prowadzenie samochodu. Gdy policyjna furgonetka wjechała tyłem w autokar, a następnie śmignęła do przodu i odbiła się rykoszetem od wozu transmisyjnego, po czym ześlignęła się z drogi i przewróciła na bok, Hodge doznał objawienia. Inspektor Flint wcale nie był takim starym durniem. Nikt nie mógł wygrać z rodziną Wiltów.

Pułkownik Urwin podzielał odczucia Hodge'a.

- Wywieziemy was stąd śmigłowcem - powiedział do Wilta, kiedy następne kobiety legły w poprzek jezdni.

- A co z moim samochodem? - zapytał Wilt. - Jeśli pan myśli, że zostawię...

Ale jego protest zakrzyczały czworaczki. I Eva.

- Chcemy lecieć helikopterem - pisnęły unisono.

- Zabierz mnie jak najdalej stąd - powiedziała Eva.

Dziesięć minut później Wilt patrzył z wysokości trzech tysięcy stóp na mozaikę pasów startowych i dróg, budynków i bunkrów oraz na maleńkie figurki kobiet przenoszonych spod bramy do karetek pogotowia. I po raz pierwszy poczuł pewną sympatię do Mavis Mottram. Mimo wszystkich swoich wad Mavis słusznie wydała wojnę banalnej potworności bazy. To miejsce miało wszelkie cechy potencjalnego obozu zagłady. Co prawda nikogo nie pędzono do komór gazowych i z krematoriów nie unosił się dym. Ale panowało tam ślepe posłuszeństwo wobec rozkazów, wpojone Glaushofowi, a nawet pułkownikowi Urwinowi. Wpojone wszystkim, oprócz Mavis Mottram i łańcucha kobiet pod bramą. Pozostali wypełnią rozkazy, jeśli przyjdzie czas i zacznie się prawdziwy holocaust. I tym razem nie będzie wyzwolicieli ani następnych pokoleń, które mogłyby wznieść pomniki poległym i wyciągnąć naukę z minionych okropności. Zostanie tylko cisza. Tylko szum wiatru i morza. I tak samo było w Rosji i okupowanych państwach wschodniej Europy. Gorzej. Tam Mavis Mottram już by uciszono, zamknięto w więzieniu albo w szpitalu psychiatrycznym, ponieważ była maniakalnie zdrowa na umyśle. Nowych obozów śmierci nie pokazywała telewizja. I dwadzieścia milionów Rosjan zginęło, uwalniając swój kraj od ludobójstwa, tylko po to, aby następcy Stalina za bardzo bali się własnego narodu, żeby pozwolić mu dyskutować o alternatywie dla konstruowania większej liczby machin, które mogą zmieścić życie z powierzchni ziemi.

Wszystko to było obłąkane, niepoważne i bestialskie. Ale w głównej mierze banalne. Równie banalne jak college i budowanie imperium przez doktora Mayfielda czy troska dyrektora o utrzymanie posady i uniknięcie niekorzystnego rozgłosu, bez względu na to, co myślą wykładowcy i czego woleliby się uczyć studenci. I właśnie do tego wracał. W rzeczywistości nic się nie zmieniło. Eva nadal będzie przejawiać swój szaleńczy entuzjazm, a czworaczki mogą nawet wyrosnąć na cywilizowane istoty ludzkie. Wilt raczej w to wątpił. Cywilizowane istoty ludzkie były mitem, legendarnymi postaciami istniejącymi wyłącznie w wyobraźni pisarzy, którzy oczyszczali je ze słabości i wad, a wyolbrzymiali ich sporadyczne akty po-

święcenia. W najlepszym wypadku mógł więc liczyć na to, że czworaczki zawsze będą tak wolnomyślne i niepokojąco nonkonformistyczne jak teraz. I przynajmniej cieszyły się z tego lotu.

Pięć mil od bazy śmigłowiec wylądował przy pustej drodze.

- Możecie wysiąść tutaj - powiedział pułkownik Urwin. - Spróbuję wam przysłać jakiś samochód.

- Ale my chcemy dolecieć do samego domu - zaprotestowała Samantha, przekrzykując szum wirników; zawtórowała jej Penelope, która chciała skoczyć na Oakhurst Avenue ze spadochronem. Tego było za wiele dla Evy. Kolejno wystawiła czworaczki na trawę i wysiadła sama. Wilt poszedł w ich ślady. Przez chwilę kotłowało się wokół niego powietrze, a potem śmigłowiec uniósł się i odleciał. Kiedy zniknął, Eva odzyskała głos.

- No i spójrz, co narobiłeś - powiedziała.

Wilt rozejrzył się po otaczającym ich pustkowiu. Po przesłuchaniach, którym poddano go w bazie, nie miał ochoty słuchać zrzędzenia Evy.

- Idziemy - zakomenderował. - Nikt po nas nie przyjedzie, więc lepiej znajdziemy jakiś przystanek autobusowy.

Pokonał dzielący go od drogi nasyp i ruszył przed siebie. W oddali coś błysnęło i na niebie zakwitł kulisty płomień. To major Glaushof strzelił pociskiem smugowym w nadmuchiwany członek. W wieczornych wiadomościach telewizja pokaże tę kulę ognistą i niewielką chmurę w kształcie grzyba w całej okazałości. Może jednak udało się coś osiągnąć.

W college'u był koniec semestru i pracownicy siedzieli w auli, równie znudzeni jak studenci, którym tu wcześniej wykładali. Teraz za katedrą stał dyrektor. Przez dziesięć męczących minut dokładał wszelkich starań, aby ukryć swą prawdziwą opinię o panu Spireyu z Sekcji Budownictwa, który wreszcie odchodził na emeryturę, a przez następne dwadzieścia próbował wyjaśnić, dlaczego cięcia budżetowe położyły kres nadziejom na wyremontowanie gmachu Inżynierii i to w momencie, kiedy anonimowy dobroczyńca ofiarował college'owi zawrotną sumę ćwierć miliona funtów na zakup podręczników. Wilt siedział w pierwszym rzędzie z innymi kierownikami sekcji i udawał obojętność. Tylko on i dyrektor wiedzieli, skąd pochodzi darowizna, i żaden z nich nie mógł tego wyjawić, gdyż naruszyłby ustawę o tajemnicy państwowej. Te pieniądze były ceną za milczenie Wilta. Wynegocjował je od nerwowych przedstawicieli ambasady Stanów Zjednoczonych w obecności dwóch groźnych osobników rzekomo reprezentujących departament prawny Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Nie, żeby Wilt się ich bał. Przez całą dyskusję pławił się w poczuciu własnej niewinności i nawet Eva była onieśmielona, a potem mile zaskoczona propozycją sprezentowania im nowego samochodu. Ale Wilt odmówił.

Wystarczała mu satysfakcja, że dyrektor, do końca nie rozumiejąc dlaczego, zawsze będzie miał przykrą świadomość, iż Fenlandzki College Nauk Humanistycznych i Technicznych znowu zawdzięcza coś człowiekowi, którego chętnie zwolniłby z pracy. Teraz był skazany na Wilta, dopóki sam nie przejdzie na emeryturę.

Trudniej było uciszyć czworaczki. Pompowanie amoniaku na porucznika i unieszkodliwianie wartowników za pomocą pieprzu sprawiło im zbyt wielką przyjemność, aby nie chciały rozgłosić swych wyczynów.

- My tylko uwalniałyśmy tatusia od tej seksownej kobiety - oświadczyła Samantha, kiedy Eva dość niemądrze poprosiła, aby obiecały, że nigdy nie powiedzą nikomu o tym, co się wydarzyło.

- Jeśli nie zamkniecie tych cholernych jadaczek na kłódkę, będziecie uwalniać waszą matkę i mnie z Dartmoor - warknął Wilt. - A wiecie, co to oznacza.

- Co? - zapytała Emmeline, najwyraźniej ciesząc się na perspektywę zorganizowania ucieczki z więzienia.

- Oddadzą was na wychowanie jakimś okropnym ludziom i to nie całą cholerną czwórka. Zostaniecie rozdzielone i nie będziecie mogły się widywać i...

Wilt rozwinął czysto dickensowski opis rodzin zastępczych i znęcania się nad dziećmi. Kiedy skończył, czworaczki zaniemówiły ze strachu, a Eva miała łzy w oczach. Go zdarzyło się po raz pierwszy i było kolejnym drobnym triumfem. Oczywiście ten efekt nie mógł być trwały, ale zanim smarkate zaczną chlapać ozorami, minie bezpośrednio niebezpieczeństwo, a zresztą i tak nikt im nie uwierzy.

Ta dyskusja jednak na nowo obudziła podejrzenia Ewy.

- Nadal chcę wiedzieć, dlaczego przez tyle miesięcy kłamałeś, że uczysz w tym więzieniu - oznajmiła, kiedy wieczorem rozbierali się do snu.

Wilt miał odpowiedź i na to.

- Słyszałaś, co ci faceci z MI5 mówili o ustawie o tajemnicy państwowej.

- Z MI5? - zdziwiła się Eva. - Oni byli z MSW. Co ma do tego MI5?

- Z żadnego MSW, byli z wywiadu wojskowego - odparł Wilt. - A jeśli chcesz posyłać czworaczki do najdroższej szkoły dla pseudocudownych dzieci i nie głodować...

Spierali się do późna w nocy, ale właściwie Wilt nie musiał przekonywać Ewy zbyt długo. Przeprosiny urzędników z ambasady zrobiły na niej zbyt duże wrażenie i nie padło przy tym ani jedno słowo o kobietach. Zresztą miała swojego Henry'ego z powrotem w domu i najlepiej było zapomnieć, że cokolwiek się w Baconheath wydarzyło.

Tak więc Wilt siedział obok doktora Boarda z uczuciem lekkiej satysfakcji. Nawet jeśli było mu sędzone padać ofiarą głupoty i pomyłek innych ludzi, w ostatecznym rozrachunku z nimi wygrywał. I wołał już być kimś takim, niż odnoszącym sukcesy nudziarzem jak doktor Mayfield albo jeszcze gorzej, obrażonym na cały świat nieudacznikiem.

- Zdarzają się cuda - zauważył doktor Board, kiedy dyrektor wreszcie usiadł i wykładowcy zaczęli opuszczać aulę. - Ćwierć miliona funtów w podręcznikach? Musi to być unikalny przypadek w historii brytyjskiej edukacji. Milionerzy-filantropi fundują zazwyczaj lepsze budynki dla gorszych studentów. Ten najwyraźniej jest geniuszem.

Wilt nic nie odpowiedział. Być może posiadanie zdrowego rozsądku było jakąś formą geniuszu.

Na komisariacie policji w Ipford były inspektor Hodge, obecnie tylko sierżant Hodge, siedział przed komputerem w centrum kontroli ruchu drogowego i usiłował skupić się na problemach związanych z przepustowością skrzyżowań oraz systemami parkowania poza godzinami szczytu. Nie było to łatwe. Nie doszedł jeszcze do siebie po działaniu gazu obezwładniającego, a przede wszystkim po dochodzeniu w sprawie jego dochodzenia, wszczętym przez nadinspektora i kierowanym przez naczelnika.

Sierżant Runk bynajmniej nie przyszedł mu z pomocą.

- Inspektor Hodge dał mi do zrozumienia, że pan nadinspektor wyraził zgodę na założenie podsłuchu w samochodzie pana Wilta - zeznał. - Działałem na jego polecenie. Tak samo było z ich domem.

- Z ich domem? Chcecie powiedzieć, że ich dom też był na podsłuchu?

- Owszem. I z tego, co wiem, nadal jest - odparł Runk. - Nakłoniliśmy do współpracy sąsiadów, państwa Gamerów.

- Dobry Boże - wymamrotał naczelnik. - Jeśli to dotrze do prasy brukowej...

- Nie sądzę - uspokoił go Runk. - Pan Gamer się wyprowadził i jego żona wystawiła dom na sprzedaż.

- Więc zdemontujcie ten cholerny podsłuch, zanim znajdą go nowi właściciele - warknął naczelnik i poszedł zająć się Hodge'em.

Kiedy z nim skończył, inspektor został zdegradowany do stopnia sierżanta policji drogowej i znajdował się na skraju załamania nerwowego z powodu groźby, że jeśli jeszcze raz da plamę, trafi do szkoły dla policyjnych psów jako obiekt ćwiczebny.

A jakby tego wszystkiego było mało, Flint awansował na szefa Wydziału Narkotyków.

- Facet najwyraźniej ma wrodzony talent do tej roboty - stwierdził naczelnik. - Spisał się znakomicie.

Nadinspektor miał zastrzeżenia, ale zachował je dla siebie.

- To chyba u Flintów rodzinne - zauważył rozsądnie.

I przez dwa tygodnie podczas trwania procesu nazwisko Flinta pojawiało się niemal codziennie w „Ipsford Chronicle”, a nawet w niektórych gazetach o ogólnokrajowym zasięgu. Również w policyjnej kantine rozpływano się w pochwałach. Flint - Pogromca Handlarzy Narkotyków. Flint - Postrach Sali Sądowej. Ataki adwokatów, którzy słusznie próbowali zakwestionować legalność jego metod śledczych, Flint odpierał, przedstawiając fakty i liczby, daty i miejsca oraz dowody rzeczowe, co do jednego autentyczne. I wszystkie insynuacje tylko wzmocniły prezentowany przezeń wizerunek uczciwego, staroświeckiego gliny. Wystarczyło przeniesienie wzrok z Flinta na szemrane typy siedzące na ławie oskarżonych, aby zrozumieć, po czyjej stronie leży sprawiedliwość. W każdym razie rozumiał to sędzia i przysięgli. Złoczyńcy dostali wyroki od dziewięciu do dwunastu lat więzienia, a Flint awans na nadinspektora.

Ale sukces Flinta sięgał poza salę sądową, do sfer, w których obowiązywała dyskrecja.

- Przywiozła to świństwo od swoich kuzynów z Kalifornii? - zagulgotał lord Lynchknowle, kiedy odwiedził go naczelnik policji. - Nie wierzę w ani jedno słowo. To wierutne kłamstwo.

- Niestety nie, staruszkule. Jesteśmy tego zupełnie pewni. Przeszmuglowała paskudztwo w butelce bezcłowej whisky.

- Wielki Boże. Myślałem, że dostała je w tym parszywym college'u. Zawsze byłem przeciwny jej studiom. To wszystko wina jej matki. - Lord Lynchknowle umilkł i popatrzył tępo na bujne łąki za oknem. - Mówiłeś, że jak się to cholerstwo nazywa?

- Formalina - odparł naczelnik. - Albo anielski pył. Zazwyczaj się to pali.

- Nie wiem, jak można palić formalinę - powiedział lord Lynchknowle.

- Ale kto by zrozumiał kobietę?

- To nie jest możliwe - przyznał naczelnik i zaręczywszy, że koroner uzna, iż śmierć panny Lynchknowle była nieszczęśliwym wypadkiem, wyszedł, aby zająć się innymi kobietami, których postępowania nie potrafił zrozumieć.

Skutki obsesji Hodge'a na punkcie rodziny Wiltów najbardziej dawały się we znaki w Baconheath. Do Mavis Mottram i Matek Przeciwko Bombie dołączyły kobiety z całego kraju i demonstracja przybrała dużo większe rozmiary. Wzdłuż ogrodzenia powstało obozowisko złożone z prowizorycznych szałasów i namiotów, a pokazywanie przez telewizję scen gazowania szacownych Angielek w średnim wieku oraz wleczenia ich w ka-

jdankach do zamaskowanych ambulansów nie wpływało najlepiej na stosunki Amerykanów z policją fenlandzką.

Sytuację utrudniało jeszcze to, że stosowana przez Mavis taktyka blokowania kwater cywilnych prowadziła do gwałtownych starć między Amerykankami, próbującymi rozproszyć nudę życia w bazie wyprawami na zakupy do Ipsford i Norwich, a MPB, które nie chciały ich wypuścić albo, co było bardziej irytujące, pozwalały im wyjść, lecz nie wpuszczały ich z powrotem. Telewizja pokazywała te awantury tak regularnie, że brytyjski minister spraw wewnętrznych popadł w konflikt z amerykańskim sekretarzem obrony, ponieważ obaj upierali się, że to ten drugi odpowiada za pilnowanie prawa i porządku.

Tylko Patrick Mottram skorzystał na całej tej aferze. Pod nieobecność Mavis przestał brać zaordynowane mu przez doktor Kores hormony i na nowo zacieśnił swe stosunki ze studentkami Uniwersytetu Otwartego.

Również w samej bazie wszystko się zmieniło. Generał Belmonte, nie mogąc dojść do siebie po szoku, jakim był widok gigantycznego penisa, który sam się obrzezuje, po czym przybiera kształt rakiety i wybucha, został odesłany do domu dla obłąkanych weteranów w Arizonie, gdzie nafaszerowany środkami uspokajającymi mógł siedzieć na słońcu i wspominać szczęśliwe dni, kiedy jego B 52 bombardował wietnamską dżunglę. Pułkownik Urwin wrócił do Waszyngtonu i opanowanego przez koty ogrodu, w którym hodował okazowe narcyzy, i poświęcił swą wybitną inteligencję problemowi naprawy stosunków anglo-amerykańskich.

Najdotkliwiej ucierpiał Glaushof. Przerzucono go na najbardziej zapadły i radioaktywny poligon doświadczalny w Newadzie i skierowano do takich zadań, aby odpowiadał wyłącznie za własne, stale zagrożone bezpieczeństwo. Natomiast Mona Glaushof pojechała z porucznikiem Harahem do Reno, gdzie przeprowadziła szybki rozwód i wygodnie żyła z alimentów w Teksasie. Była to miła odmiana po wilgotnych Fenlandach i słońce nigdy nie przestawało świecić. Świeciło również Evie, gdy krzątała się po domu, zastanawiając się, co zrobić na kolację. Dobrze było znów mieć Henry'ego i to bardziej stanowczego niż kiedykolwiek przedtem. „Może - pomyślała, odkurzając schody - powinniśmy w te wakacje wyjechać gdzieś na tydzień albo dwa bez dzieci”. I zobaczyła się w wyobraźni na Costa Brava.

Ale Wilt rozstrzygnął już tę kwestię.

- Po tym wszystkim, co przeszedłem w tym semestrze, nie zamierzam pozwolić, żeby czworaczki zatruwały mi wakacje na jakimś paskudnym kempingu - powiedział wesoło, gdy siedzieli z Peterem Braintree w „Kocie w Worku”. - Wysyłam je do Walii na obóz, gdzie będą miały w progra-

mie jazdę na kucykach i wspinaczkę skałkową. Niech wyżywają się w tym i na instruktorach. A ja wynająłem domek w Dorset i przeczytam sobie znowu *Judę nieznanego*.

- Dość ponura lektura na wakacje - zauważył Braintree.

- To lektura terapeutyczna - odparł Wilt. - Przypomni mi, że świat zawsze był zwariowany i że ucząc w college'u, wcale nie mamy tak najgorzej. Jest też antidotum na mniemanie, że dzięki aspiracjom intelektualnym można do czegoś dojść.

- A propos aspiracji - wtrącił Braintree - co, u licha, zamierzasz zrobić z trzydziestoma tysiącami funtów, które ten obłąkany filantrop przyznał twojej sekcji na podręczniki?

Wilt uśmiechnął się do swojego kufla piwa. Określenie „obłąkani filantropi” pasowało jak ulał do Amerykanów z ich bazami lotniczymi i bronią jądrową oraz do wykształconych idiotów z Departamentu Stanu, którzy zakładali, że nawet najbardziej nieudolny liberalny naprawiacz świata musi być morderczym stalinistą i członkiem KGB - i którzy bulili potem miliardy dolarów, próbując naprawić wyrządzone przez siebie szkody.

- Przede wszystkim ofiaruję dwieście egzemplarzy Władcy much inspektorowi Flintowi - powiedział w końcu.

- Flintowi? Dlaczego akurat jemu? I na co mu przeklęty Władca much!

- To on powiedział Evie, że jestem w... - Wilt urwał. Nie było sensu naruszać ustawy o tajemnicy państwowej. - Będzie to nagroda - podjął - dla policjanta, który aresztuje Nieuchwytnego Nagusa. Wydaje mi się, że to odpowiedni tytuł.

- Owszem - przyznał Braintree. - Ale dwieście sztuk to chyba lekka przesada. Nie wyobrażam sobie, żeby nawet najbardziej inteligentny gliniarz chciał przeczytać dwieście egzemplarzy tej samej książki.

- Zawsze może je rozdać tym biedakom w bazie. Użeranie się z Mavis Mottram musi być piekłem. Nie, żeby się nie zgadzał z jej poglądami, ale ta cholerna baba jest zdecydowanie szurnięta.

- Nadal zostaje ci kupa forsy do wydania - powiedział Braintree. - Mnie to pasuje, bo w Sekcji Angielskiego potrzebujemy książek, ale nie sądziłem, że Komunikacja i...

- Nie używaj tych słów. Wracam do nazwy Przedmioty Ogólnokształcące i do diabła z całym tym cholernym żargonem. Mayfield i reszta rajfurów socjoekonomii mogą się ugryźć. Od tej pory będę robił wszystko po swojemu.

- Jesteś bardzo pewny siebie - zauważył Braintree.

- A żebyś wiedział - odparł z uśmiechem Wilt.

Koniec